

George Quiryn

# Zaufajcie Drakuli

Kiedy załomotał do drzwi, brałem właśnie prysznic. Stukał mocno, niecierpliwie, akurat tak, jak to robią gliny, którym się śpieszy. Wyłączyłem prysznic i narzuciłem na mokre ciało włochaty płaszcz kąpielowy. Idąc przez pokój zostawiałem za sobą mokre ślady.

- Proszę poczekać, już otwieram...

Przelotnie spojrzałem w lustro i przyglądziłem dłonią ociekające wodą włosy. Twarz miałem zmęczoną i nabrzmiałą. Szczęki i podbródek pokrywał nalot jednodniowego zarostu. Walenie do drzwi nie ustawało. Podeszedłem do nich i odsunąłem zasuwkę.

Wlazł do środka i popatrzył na mnie bladymi, pozbawionymi wyrazu oczami. Był wysoki, zwalisty i łysawy. Ubrany był w zieloną, drelichową, spraną do niemożliwości koszulę i wyszarzałe dzinsy. Do koszuli przypiętą miał srebrną gwiazdę. Przy szerokim, skórzanym pasie dyndała mu się potężna kabura.

- Nareszcie pan otworzył - powiedział, a w jego niskim głosie zabrzmiał ton wyrzutu. - Myślałem już, że pan zasnął...

Wzruszyłem-ramionami.

- Kąpałem się - wyjaśniłem - nie mogłem otwierać goły.

Pokiwał głową sceptycznie i podeszedł do fotela z poskręcanych aluminiowych rurek i wymyślnie ukształtowanych płatów kolorowego plastyku. Usiadł ostrożnie, wyciągając przed siebie długie nogi, obute w skórzane sandały. Ja siadłem na tapczanie, na którym leżało moje ubranie. Sięgnąłem do spodni i z ich kieszeni wydobyłem paczkę papierosów i gazową zapalniczkę. Zapaliłem papierosa.

Przyglądał mi się obojętnie i milczał. Choć przed chwilą walił w drzwi mojego pokoju tak, jakby się paliło, to teraz wyraźnie czekał, aż odezwę się pierwszy. Ale mnie się też nie śpieszyło. Pałem spokojnie i gapiłem się w jego srebrzystą gwiazdę, jakbym po raz pierwszy w życiu widział taką błyskotkę. Była tandetnie wykonana i bardziej przypominała dziecienną zabawkę niż prawdziwą gwiazdę szeryfa. Za to kolt, którego wykładana kościaną masą kolba sterczała z nie dopiętej kabury, z pewnością nie był zabawką. I w wyglądzie faceta także nie było niczego zabawnego. Nie można było mieć najmniejszej wątpliwości, że to twardy glina, z którym lepiej nie wdawać się w jakiegokolwiek dyskusyjki.

Otarł wierzchem kościstej dłoni zroszone maleńkimi kropelkami potu czoło i nie widząc widać innego wyjścia, zdecydował się przemówić:

— Ma pan jakieś dokumenty?

Wzruszyłem ramionami.

— Oczywiście, szeryfie.

— Chciałbym rzucić na nie okiem.

Sięgnąłem do leżącej na tapczanie marynarki, z jej wewnętrznej kieszeni wydostałem portfel. Nie pozwolił mi go otworzyć. Wyciągnął kościste łapsko i prawie wyrwał mi portfel z ręki. Ten gest był tak niespodziewany i szybki, że nie zdążyłem zareagować.

Pomyślałem, że nawet jak na glinę jest trochę zbyt bezceremonialny. Ale nie powiedziałem nic. Na początek pragnąłem po prostu zorientować się, czego właściwie ode mnie chce. W Holiday Beach byłem po raz pierwszy w życiu i nikt mnie tu nie znał. W tej sytuacji nie warto było już na samym wstępie wdawać się w sprzeczki z chamskimi gliniarzami. To się zupełnie nie opłacało.

Wyciągnął z portfela prawo jazdy i oprawioną w celofan fotokopię mojej licencji. Książeczki czekowej ani zwitka banknotów nie ruszył. Najpierw zaczął wpatrywać się w prawo jazdy. Trwało to bardzo długo, tak jakby chciał zapamiętać na zawsze każdą literkę wydrukowaną na podłużnym kartoniku. Kilka razy zerknął przy tym na mnie spod opuszczonych powiek, jakby porównywał zdjęcie z oryginałem. Wreszcie westchnął ciężko i włożył prawo jazdy do portfela. Potem zabrał się do studiowania licencji. Ta czynność zabrała mu jeszcze więcej czasu.

Czekałem cierpliwie i paliłem papierosa. Za oknem tężał lipcowy upał. W pokoju było jednak zupełnie znośnie. Klimatyzacja działała bezbłędnie.

Oderwał oczy od licencji i zapytał:

- Jak pan właściwie się nazywa?

- Tam jest napisane.

- Niech pan sam powie.

- George Quiryn...

- Tam jest napisane jeszcze coś więcej, jakieś słowiańskie nazwisko... trudno to przeczytać...

- Wystarczy George Quiryn, reszta nieważna, nie używam...

Oderwał wzrok od licencji i jego wyblakłe, wodniste oczy przylepiły się do mojej twarzy. Poczulem ciężar tego spojrzenia. Odłożył licencję i jeszcze raz otarł czoło zewnętrzną stroną dłoni.

- Jednym słowem, jest pan prywatnym łapaczem...

- Zgadza się.

- Po co pan tu przyjechał?

Wzruszyłem ramionami.

- A po co przyjeżdża się na Florydę?...

- Do nas przyjeżdżają w sezonie. Na jesieni, w zimie i na wiosnę. O tej porze roku turyści nas nie odwiedzają...

- Ale ja przyjechałem. Czy nie wolno?

- Wolno. Tylko że my nie lubimy prywatnych łapaczy...

- Nie ma takiego przepisu, który by zabraniał prywatnym łapaczom spędzać urlop tam, gdzie im się podoba...

Włożył fotokopię licencji do portfela, podał mi go i powiedział:

- Słuchaj, koleś. Zapamiętaj sobie jedną rzecz. Mytu bardzo lubimy turystów. Dla turysty wszystko u nas stoi otworem. Turysta może chodzić na plażę, kąpać się w morzu i oglądać krokodyły na farmach. Ale my nie lubimy takich, którzy wtykają nosy w nie swoje sprawy. Z takimi to my jesteśmy na noże. Kapujesz?

Pokiwałem mu głową, starając się nadać twarzy wyraz całkowitej i posłusznej aprobaty. Włożyłem portfel z dokumentami do wewnętrznej kieszeni marynarki, zdusiłem papierosa w popielniczce stojącej na ustawionych obok tapczanu stoliku i powiedziałem:

- Oczywiście, że rozumiem. Nikt nie lubi, jeżeli ktoś niepowołany pakuje swoje trzy grosze w nie swoje sprawy. Jedno jest tylko dla mnie niepojęte. Skąd panu w ogóle przyszło do głowy, że mam ochotę na coś takiego? Czy ostrzegacie w ten sposób wszystkich turystów, czy też może tylko ja mam pod tym względem specjalne prawa?

Podniósł się z fotela i podciągnął opadające portki. Jego twarz ani na moment nie zmieniła obojętnego wyrazu. Wydawało się, że moje słowa przelatują swobodnie, nie zahaczając jego uszu.

- Nie bądź za mądry, synu - mruknął gmerając przy klamrze swego szerokiego pasa. - Widzieliśmy tu nie takich cwaniaków. Słyszeliśmy o tobie różne rzeczy. Nam tu takich mądrałów po prostu nie potrzeba. Tu jest prowincja, synu. Ludzie żyją spokojnie, jak Pan Bóg przykazał, i cwaniaki z Nowego Jorku nie mają u nas czego szukać. Chciałbym, żebyś to rozumiał...

- Zrozumiałem, szeryfie...

- W porządku. W takim razie zbieraj się stąd.

- Jak to zbieraj?...

- Zwyczajnie. Ogol się, ubierz, zapłać, co jesteś winien, ładuj się do wozu i spływaj...

- Szeryfie - odpowiedziałem możliwie najłagodniejszym tonem - przyjechałem dopiero godzinę temu...

- W lecie u nas niezdrowy klimat, chłopcze. W swoim własnym interesie powinieneś zmyć się stąd jak najszybciej. My tu takich nie potrzebujemy...

Mówił to wszystko spokojnie, beznamiętnie, a jego wyblakłe oczy ani na chwilę nie straciły wyrazu krańcowej obojętności.

Przybrałem minę, która miała wyrażać zdumienie przemieszane z poczuciem urażonej godności.

- Nie mam zamiaru wyjeżdżać. Jestem wolnym obywatelem Stanów Zjednoczonych. Płacę podatki i przysługują mi pełne prawa obywatelskie. Mogę przebywać, gdzie chcę i jak długo mi się to podoba...

Coś w rodzaju uśmiechu przewinęło się po jego kamiennie obojętnej twarzy.

- Pomyliłeś się, synu - odrzekł spokojnie - nie wszędzie wolno ci przebywać. Spróbuj na przykład wleźć bez przepustki na poligon atomowy w Newadzie... Chciałbym posłuchać, co chłopaki z tamtejszej ochrony powiedzieliby na taką gadkę o prawach obywatelskich. Pojedź, a sam się przekonasz...

Miałem dość tej rozmowy. Nie prowadziła do niczego. Postanowiłem wyjaśnić sytuację ostatecznie.

- Szeryfie, bardzo dziękuję za troskę o moje zdrowie i tak dalej, ale mam zamiar zostać tu przez jakiś czas. Po prostu chcę tu spędzić swoje wakacje. I nie ma żadnego prawa, przepisu czy ustawy,

które by mi tego zabroniły. W Holiday Beach nie ma ani poligonu atomowego, ani wyrzutni raketowej. Macie tu tylko dużo piasku na plaży, sporo palm i krokodyle na farmach...

Podszedł leniwie do drzwi i flegmatycznie ujął klamkę potężną łapą. Zrobił to ruchem ostrożnym, delikatnym, jakby się bał, że ją może niechcący urwać. Jeszcze raz przypatrzył mi się obojętnym wzrokiem i lekko wzruszył ramionami.

- W porządku, synu - powiedział - zrobisz, jak uważasz. W każdym razie nie będziesz mógł potem wnosić pretensji, że cię nie ostrzegłem...

W jego głosie było tylko obojętne znużenie, ale nie miałem najmniejszej wątpliwości, że to, co mi powiedział, powinienem potraktować jako zupełnie niedwuznaczną groźbę. I kiedy już wyszedł z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi, na których oprawiony w ozdobne ramki wisiał wydrukowany regulamin motelu, zrozumiałem jasno, że w Holiday Beach czeka mnie mnóstwo kłopotów, i chyba nic poza kłopotami.

Usiadłem ciężko na tapczanie i bezmyślnie gapiąc się w okno, za którym był spalony słońcem trawnik, zacząłem rozważać sytuację. Rozumiałem, że najmądrzejsze, co powinienem uczynić, to posłuchać szeryfa i zmykać stąd gdzie pieprz rośnie. Wiedziałem jednak, że tego nie zrobię. Firma „George Quiry — dyskretne dochodzenia prywatne” nie miała zwyczaju wystawiać do wiatru swoich klientów. Nawet wtedy, jeżeli tym klientem była tylko zapłakana dziewczyna o wielkich błękitnych oczach i długich rękach sprawiających wrażenie kruchych łodyg jakiegoś egzotycznego kwiatu. Zwłaszcza wtedy...

Stan Oliver Halifax z ciężkim westchnieniem uniósł się z wygodnego fotela, ustawionego za ogromnym mahoniowym biurkiem, na którym obok telefonu znajdował się tylko syfon z wodą sodową, butelka bourbona i szeroka szklaneczka o grubym dnie. W ustach czuł delikatny posmak wypitej whisky, a w głowie narastający niepokojąco ucisk. Ucisk w każdej chwili mógł zmienić się w obrzydliwy ból, który sprawiał, że ten wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o ostro zarysowanym podbródku i energicznej twarzy stawał się rozdygotanym, bezwolnym wrakiem, niezdolnym do myślenia i działania.

Podszedł do okna. Z jasnego nieba, na którym nie było ani jednej chmurki, lało się słońce. Już teraz poczuł lepką falę gorąca, która go ogarnie, kiedy za chwilę opuści klimatyzowane wnętrze i pomaszeruje wzdłuż betonowych niecek, gdzie w płytkiej, nagrzanej słońcem wodzie leniwie taplają się setki gruboskórnych aligatorów. Oczywiście, nikt go nie zmuszał, aby tam szedł, ale wiedział, że pójdzie, i to bez względu na to, czy uciskająca czaszkę obręcz zmieni się w przenikający, trudny do zniesienia paroksyzm bólu, czy też pozostanie tylko nieprzyjemną dolegliwością, na którą od biedy można nie zwracać uwagi. Dochodziła godzina jedenasta, a o tej porze już od lat Stan Oliver Halifax przeprowadzał obchód swej krokodylej farmy.

Chwilę pogapił się jeszcze na rząd palm za oknem, pomasował czubeczkami palców skronie i wyszedł z gabinetu.

Lucille Ambler, platynowowłosa sekretarka o atomowym biuście, przerwała na chwilę polerowanie paznokci i obrzuciła szefa szybkim spojrzeniem.

- Znowu, Stan? - zapytała, a w głosie jej było współczucie.

Oczywiście nie kochała szefa, choć sypiała z nim i mieszkała w jego domu. Lubiła go jednak i naprawdę było jej przykro, gdy widziała, jak ten energiczny i sprawny fizycznie mężczyzna pod wpływem bólu zmienia się w sflaczały, drżący worek tłuszczu i mięśni.

- Nic mi nie jest. Dlaczego uważasz, że ma mi coś być? - Wzruszył ramionami.

- Poznaję to po tobie, kochanie - powiedziała szczerze. - Zawsze widać po tobie, kiedy zbliża się atak. Chyba lepiej będzie, jeśli zamówię wizytę u doktor Fletcher...

- Niczego nie będziesz zamawiać - warknął gniewnie - czuję się lepiej niż kiedykolwiek. Rozumiesz, dziecinko?

Nienawidził, kiedy okazywano mu współczucie i troszczono się o niego. Nie lubił nikomu nic zawdzięczać. Uważał się za twardego faceta i rzeczywiście był twardym facetem.

Uśmiechnęła się sceptycznie.

- Jak uważasz. Ale ostatnio nie najlepiej wyglądasz. Przydałoby ci się trochę odpoczynku.

- W porządku. Pilnuj swoich spraw, koteczku. - Ruszył ku wyjściu. Kiedy już nacisnął klamkę, zatrzymał się na moment i rzucił przez ramię: — Aha, uważaj, Lucille... Być może zadzwoni do mnie z Miami mecenas Cornelius Ford. Miał zatelefonować później, ale to szybki facet i może odezwać się przed terminem. W razie gdyby dzwonił, nie splawiaj go, tylko poproś, aby zaczekał, i poszukaj mnie. Będę na terenie. Zrób to samo, jeśli zadzwoni szeryf...

Posłusznie skinęła głową. A kiedy wyszedł, znowu zabrała się do polerowania paznokci. Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić. Po minucie podjęła decyzję. W podręcznym spisie telefonów odszukała numer doktor Fletcher. Wykręciła go i w imieniu szefa zarezerwowała wizytę w godzinach popołudniowych. Miała właściwie stuprocentową pewność, że Stan Oliver Halifax będzie dziś potrzebował pomocy lekarskiej. Doświadczenie uczyło ją, że doktor Fletcher nie lubi nie zapowiedzianych wizyt i za każdym razem przekonanie jej sekretarki, iż pan Halifax musi być natychmiast przyjęty, sprawiało Lucille mnóstwo kłopotów. Nienawidziła kłopotów, więc wołała zaklepać termin wizyty już teraz.

Kiedy Lucille rozmawiała przez telefon z sekretarką doktor Fletcher, Stan Oliver Halifax energicznym krokiem maszerował wzdłuż betonowych płotków, za którymi wylegiwały się aligatory. Nieruchome, jakby skamieniałe w upale, bardziej przypominały martwe kłody drzew niż żywe stworzenia. Ich gruba łuskowata skóra przywodziła na myśl splekaną korę zbutwiałych pni, pokrytych delikatnym zielonkawym nalotem wilgotnych glonów i porostów.

Stan Oliver Halifax nie lubił swoich aligatorów. Z wczesnego dzieciństwa wyniósł wstręt do wszystkich gadów. Już sam widok nagiej i gładkiej skóry węża czy chropawej skóry krokodyla napełniał go obrzydzeniem. Martwy i nieruchomy wzrok gadów, tak bardzo odmienny od spojrzenia stworzeń ciepłokrwistych, przyprawiał go o przykry dreszcz. Ale nikomu, kto by go

obserwował, gdy codziennie przechadza się między basenami krokodylej farmy, nawet przez myśl by nie przeszło, ile wysiłku kosztuje go ten gospodarski obchód i jak mu trudno za każdym razem przewycięzać obrzydzenie ogarniające go nieodmiennie, ilekroć zbliżał się do betonowych niecek wypełnionych aligatorami.

Dwóch pracowników, ubranych mimo upału w długie gumowce, uzbrojonych w stalowe widły, brodziło w jednym z basenów. Pokonując wstręt i irracjonalne uczucie strachu (betonowa balustrada całkowicie zabezpieczała przed zębami gadów, a poza tym najedzone aligatory nigdy nie atakowały ludzi), podszedł bliżej i zapytał:

- Stało się coś?

Zauważyli go dopiero teraz. Starszy wyprostował się i leciutko skłonił głowę gestem wyrażającym szacunek. Młodszy, zajęty odpychaniem widłami aligatora, którego długi, najeżony setkami zębów pysk znalazł się zbyt blisko jego zanurzonych po kostki w mulistej wodzie nóg, nie odwrócił nawet głowy.

- Tak, proszę pana — powiedział starszy - dwie sztuki padły w nocy. Musimy usunąć ścierwo.

- Dlaczego padły?

- Nie wiadomo, proszę pana. Wieczorem były jeszcze okay. Żarły tak jak wszystkie.

- Zawiadomcie doktora Shelneya...

- Już zawiadomiłem, proszę pana. Będzie za godzinę. Zobacz, co się stało. Ale na mój gust to nie krokodyla zaraza. Nie wzdęło ich, proszę pana...

- W każdym razie zachowajcie maksymalną ostrożność. Nie wolno zawlec zarazy do innych basenów. Po wyjściu z tego musicie odkazić gumowce.

- Wiem o tym, proszę pana. Już przygotowałem chloraminę... — wskazał widłami na ustawioną tuż przy balustradzie blaszaną wanienkę, pełną jakiejś bezbarwnej cieczy.

Stan Oliver Halifax wiedział, że natychmiast po opuszczeniu basenu obaj pracownicy powinni wejść do tej wanienki i postać w niej przez chwilę, by ich gumowce zanurzyły się całkowicie w bakteriobójczym roztworze. Był prawie pewny, że zrobiliby to także bez jego przypomnienia, ale wolał nie ryzykować. Dwa lata temu krokodyla febra spustoszyła farmę i naraziła go na poważne straty. Wyzdychały wtedy prawie wszystkie młode sztuki i za ich niewielkie skórki zapłacono grosze. Od tej pory Stan Oliver Halifax uczulił się na zagadnienia higieny.

Kiedy odchodził od basenu, poczuł, że nieznośny ucisk w skroniach, odczuwany już od rana, zwiększa się i powolutku, ale nieuchronnie zbliża się do granicy, poza którą zaczyna się ból. Po zlanym potem grzbiecie przeleciał mu chłodny dreszcz. Bał się tego bólu, bał się jego przenikliwych igieł, od których ukłuć nie było ucieczki. Jeszcze bardziej lękał się tych godzin, które następowały potem, gdy ból ustawał, a on zapadał w odrętwiały, pełen koszmarów półsen. W tym stanie rzeczywistość zlewała się ze zwidzeniami i widywał rzeczy, których nigdy nie chciałby oglądać, i słyszał głosy, o których na zawsze pragnąłby zapomnieć.

Przed kilku laty, nie mogąc dłużej znieść coraz częściej powtarzających się ataków, poddał się w klinice w Miami długotrwałym badaniom neurologicznym. Zapis encefalograficzny wykazał jakieś drobne odchylenia od normy. Lekarze długo nie potrafili uzgodnić diagnozy. W końcu zaproponowali, by Stan Oliver Halifax poddał się operacji, która - być może — przyniesie poprawę.

Nie poddał się operacji. Myśl, że jacyś faceci dłubać mu będą lancetami w odsłoniętym mózgu, napęniała go przerażeniem... Wkrótce potem usłyszał o doktor Fletcher i został jej pacjentem.

Po trwających kilka miesięcy seansach psychoanalitycznych doktor orzekła, że cierpienia Stana Olivera Halifaxa mają podłoże wyłącznie psychiczne. Ustaliła ich praźródła ukryte w okresie wczesnego dzieciństwa pacjenta i zaproponowała poddanie się swoistej psychoterapii.

Seanse psychoterapeutyczne rzeczywiście przynosiły ulgę. Ataki zdarzały się teraz o wiele rzadziej. A i te, które się przytrafiały, łatwo było przerwać. Wystarczało po prostu pojechać do pani doktor i poddać się terapii. Tylko że Stan Oliver Halifax nie cierpiał tych seansów i za każdym razem, gdy opuszczał gabinet pani doktor, przyrzekał sobie solennie, że to już ostatnia wizyta...

Jestem po prostu przemęczony—pomyślał — wystarczy trochę odpocząć i nie przejmować się wszystkim tak bardzo, a wtedy odwiedziny u doktor Fletcher nie będą konieczne. Postanowił się nie przejmować. Powtarzał sobie uporczywie, że nie ma już powodów do niepokoju, bo wszystko zostało ostatecznie załatwione. No, prawie ostatecznie. Przypomniawszy sobie mecenasa Corneliusa. Teraz bardzo wiele zależało od niego. Facet starał się, to nie ulegało wątpliwości. Jest także oczywiste, że szeryf Norton da sobie radę z nieproszonym gościem z Nowego Jorku. Jimmy Norton to swój chłop i gdy potrzeba, potrafi być twardy jak kawałek betonu. Poza tym zależy mu na przyjaźni Stana Olivera Halifaxa. W roku przyszłym wybory i Jimmy doskonale rozumie, że bez poparcia Stana Olivera Halifaxa nie może nawet marzyć o nowej kadencji. W Holiday Beach bez aprobaty Stana Olivera Halifaxa nikt nie obejmie urzędu pochodzącego z wyboru, i ludzie świetnie o tym wiedzą...

Ucisk na skronie jakby trochę zelżał. Mogło to oznaczać, że nie będzie musiał szukać pomocy doktor Fletcher... Przyśpieszył kroku. Nagle dobiegł go głos, który sprawił, że ponownie poczuł się źle.

- Halo, tato! Dokąd tak się śpieszysz?

Młody, jasnowłosy człowiek, który zawołał na niego, spoczywał w wygodnym leżaku, ustawionym pod wyniosłą, starą palmą. Jedyńm jego strojem były wzorzyste szorty i wielkie ciemne okulary. W ręku trzymał książkę.

Stan Oliver Halifax skręcił w prawo i zbliżył się do syna. Obręcz uciskająca mu głowę zmieniała się w cierniową koronę.

\* \* \*

Wsiadłem do swojego ramblera i ruszyłem w kierunku bramy. Chudy facet wychylił się z okienka biura recepcji i pomachał ręką. Miał nieprzyjemną, wymiętoszoną twarz i zaspane oczy zwiernaka,



którego przed terminem obudzono z zimowego snu. Gdy przyhamowałem, zapytał:

— Czy zwalnia pan domek?

- Przecież zapłaciłem za trzy dni...

Dodałem gazu i wyjechałem z terenu motelu. Pomyślałem, że pytanie faceta z recepcji wskazywało, iż szeryf i tam złożył wizytę. Nie bardzo potrafiłem zrozumieć, skąd tutejszy szeryf mógł wiedzieć, że nie jestem jednym z tysiąca zwyczajnych turystów, którzy odwiedzają te strony dla słońca, palm, piasku i krokodylich farm. Pocieszyłem się jednak, że wcześniej czy później i tak by się zorientowano, po co przyjechałem, więc przestałem się martwić. Trudno. Jakoś trzeba będzie sobie poradzić. Zjadłem zęby na rozmaitych rozróbkach i wiedziałem, że niezbyt łatwo dam się wykopsać z gry.

Wjechałem na szosę wiodącą do Key Largo. Autostrada skończyła się już w Miami i teraz jechałem lokalną drogą o czterech pasmach ruchu. Wzdłuż niej rozłożyły się zabudowania Holiday Beach - niskie, zatopione w zieleni kolorowe domki z oknami nieodmiennie zasłoniętymi przeciwsłonecznymi żaluzjami. Przed każdym z domków obowiązkowo pełniło wartę kilka postrzępionych palm. Było bardzo pusto i tylko gdzieniegdzie pod palmami stały leżaki. Lipiec na Florydzie rzeczywiście nie jest miesiącem turystycznym. Tropikalne słońce w zenicie, obezwładniający, lepki upał i miliony przylatujących tu co wieczór znad nagranych bagnisk Parku Narodowego Everglades moskitów potrafią wypłoszyć turystów szybko i skutecznie.

Jechałem wolno i uważnie rozglądałem się po okolicy. Mijałem ustawione wzdłuż drogi nieczynne automaty z papierosami, gumą do żucia i coca-colą oraz oszklone stoiska, w których w sezonie sprzedawano prażoną kukurydzę. Przejechałem obok wesołego miasteczka, martwego teraz i cichego. Wielka karuzela i diabelski młyn, okryte półprzezroczystymi płachtami z plastikowej folii, robiły wrażenie groźnych stworów przeniesionych tu z kadru japońskiego filmu o fantastycznych potworach.

Zaraz za wesołym miasteczkiem, jakieś pięćdziesiąt jardów od szosy, rozłożył się niski, lśniący niklami i taflami lustrzanych szyb niewielki pawilon. Fantazyjny neon na frontonie głosił:

**„U Freda. Bar. Wstąp! Nie pożałujesz!”**

Zaparkowałem samochód na podjeździe, wysiadłem i stosownie do zaproszenia wszedłem do środka.

W podłużnej salce, zapełnionej stolikami, nie było nikogo. Wielki telewizor, umieszczony na podwyższeniu pod ścianą, i grająca szafa pokryte były wyraźnie widoczną warstwą kurzu. Kurz był też na kontuarze baru. Pociągnąłem delikatnie po nim palcem. Pozostał wyraźny ślad. Stanowczo właściciel czy też zarządca tego interesu nie należał do przesadnych czyszcioszków. Oczekałem pół minuty, a potem uciekłem się do wypróbowanego sposobu. Zacząłem pokaszliwać. Najpierw delikatnie, a gdy to nic nie pomogło, znacznie głośniejszym. W końcu brzmiało to już tak, jakby niedźwiedź grizzly zakrztusił się w czasie posiłku.

Kaszlanie nie dało jednak rezultatu. Zniecierpliwiony, zawołałem półgłosem:

- Hej! Jest tam kto?

Tym razem poskutkowało. Wzorzysta, wisząca za barem zasłona rozchyliła się i wylazł zza niej rudy i piegowaty jegomość, ubrany w biały kitel. W prawym ręku trzymał przeraźliwie kolorowy komiks i robił wrażenie człowieka, którego przemocą oderwano od niesłychanie pochłaniającej go czynności. Popatrzył na mnie jak na coś pośredniego między zdechłym szczurem a jadowitym skorpionem i wydał w nieprzyjemnym grymasie grube wargi. Nie powiedział ani słowa.

Nie zrażony, usadowiłem się na wysokim stołku przy barze i uśmiechając się przyjaźnie, zapytałem:

- Można tu coś zjeść?

- Można.

- A co na przykład?

- Tylko hamburgery. Teraz jest po sezonie.

- To podaj mi, przyjacielu, dwa hamburgery i piwo.

Podał mi hamburgery i puszkę imbirowego piwa, wyciągniętego z ogromnej lodówki, w której można by było zamrozić hipopotama. Nawet nie pofatygował się otworzyć mi puszkę. Przysiadł na stołku z drugiej strony baru i wsadził nos w komiks, który rozłożył przed sobą.

Nie chciałem go zrażać, ale zaryzykowałem jeszcze jedną prośbę.

- Przyjacielu, czy mógłbym poprosić o szklankę?

Podał mi ją z ciężkim westchnieniem. Otworzyłem puszkę i nalałem sobie piwa. Potem zjadłem hamburgery. Wypiłem piwo i zapaliłem papierosa.

Rudzielec, całkowicie zagubiony w piekielnie kolorowym świecie niesamowitych przygód, które są udziałem supermenów o wyrazistych szczękach i olbrzymich, rozrośniętych barach oraz dziewczyn o monstualnych biustach, nie zwracał na mnie uwagi. Musiałem z nim koniecznie porozmawiać, ale zupełnie nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Był tak chętny do rozmowy jak ślimak, którego możemy spotkać na grządce ogródka.

- Nie macie zbyt wielu klientów...

Pokiwał potakująco głową, ale nie oderwał oczu od komiksu.

- W sezonie pewnie jest inaczej...

Znowu milczące potaknięcie, z tym że w niechętnym ruchu jego głowy było już wyraźne zniecierpliwienie.

- W sezonie - brnąłem dalej - nie wystarczy tu jedna osoba do obsługi klientów...

Nie zareagował na zaproszenie do pogawędki. Puścił moje słowa mimo uszu.

Zrozumiałem, że owijając sprawę w bawelnę, mogę tylko pogorszyć sytuację. Jego czas był widać zbyt cenny, by mógł go marnować na nieobowiązujące pogaduszki. Wyrąbałem więc prosto z mostu:

- Posłuchaj, przyjacielu, w sezonie pracowała tu jedna dziewczyna, taka blondynka...

Oderwał oczy od barwnych obrazków i po raz pierwszy przyjrzał mi się z jakimś zainteresowaniem, ale nie odpowiedział.

- Mam do niej interes. Nie wiem jednak, gdzie mieszka...

- Tu pracowały dwie dziewczyny - mruknął - jedna jest już pochowana...

- Wiem - powiedziałem - zabił ją jakiś zboczeniec. Mnie chodzi o tę drugą, o tę blondynkę...

- Złapali tego zbrojnego. - Rudzielec wykrzywił grube wargi w nieprzyjemnym uśmiechu. - Złapali go i posadzili na gorącym fotelu. Usmaży się jak wszyscy diabli!

- I o tym wiem - zapewniłem cierpliwie - czytałem gazety. Pisano o tym... Mnie chodzi o tę drugą dziewczynę...

- Ten zboczeniec - rudzielec ani myślał popuszczać tematu - uważał, że jest strasznie ważnym facetem. Zadzierał nosa. To był gość, który myślał, że wszystko mu wolno. Spalił kartę powołania do wojska, a potem zabił tę dziewczynę. A teraz będzie się smażył na gorącym siedzeniu! I nic mu nie pomogą jego zasmarkani kumple, choćby od rana do wieczora darli mordy o ochronie naturalnego środowiska i wyzysku człowieka przez człowieka!... Przeklęta czerwona hołota!...

Teraz ja milczałem. Trzeba było dać mu się wygadać. Warto było się przekonać, co naprawdę miejscowi myślą o całej sprawie...

- Ten zafajdany zboczeniec - rudzielec podniecał się coraz bardziej - przyłaził tu prawie co wieczór. Zachciało mu się porządnej amerykańskiej dziewczyny... Zanudzał ją i przeszkadzał w pracy... Wiele razy miałem ochotę chwycić go za te długie kudły i spuścić mu solidne manto. Nie mogłem wprost patrzeć na jego wredną mordę!...

- To dlaczego go pan nie przegnał?

Ochłonął trochę i wzruszył ramionami.

- No wie pan, jak to jest... Ostatecznie był klientem. Coś tam zawsze zamawiał... Ale - ożywił się znowu — odegrałem się na tym łachmycie. To właśnie dzięki mnie siedzi za kratkami. I dzięki mnie usmażają mu tylek!

- Co pan powie... - w moim głosie była nutka leciutkiego niedowierzania.

- Właśnie! - zaperzył się i trochę poróżwiał między piegami. - Będę głównym świadkiem oskarżenia! Widziałem - pochylił się do mnie konfidencjonalnie - jak przyszedł do niej poprzedniego wieczoru, i słyszałem, jak się z nią umawiał...

- To rzeczywiście jest pan ważnym świadkiem - stwierdziłem dość obojętnie - może pan sobie, przyjacielu, pogratulować. Pana nazwisko będzie z okazji procesu w gazetach...

Przyjrzał mi się podejrzliwie. W jego otoczonych czerwonymi, bezrzęsymi powiekami oczach zapaliły się iskiereczki zaniepokojenia.

- A właściwie to pana nic to chyba nie obchodzi?

- Prawdę mówiąc — powiedziałem - to mam interes do tej drugiej dziewczyny, tej, która tu pracowała w tym samym czasie co i ta zamordowana...

- Chodzi panu o Kate?

- Oczywiście o Kate!

- Nie ma jej teraz. Dałem jej miesiąc urlopu... Zrozumiałem, że dziewczyna jest tu w dalszym ciągu

zatrudniona. To mi bardzo ułatwiało sytuację.

- Wyjechała?

- Kate? Wyjechała? Widać, że pan jej nie zna...

Oczywiście, że miał rację. Nigdy w życiu jej nie widziałem. Przed chwilą nawet nie wiedziałem, że ma na imię Kate, i dotąd nie znałem jej nazwiska. Wołałem jednak, żeby rudzielec się tego nie domyślił, przerwałem mu więc pośpiesznie:

- Wiem, że Kate nie lubi wyjeżdżać... Myślałem jednak, że może tym razem...

- I tym razem - przerwał mi ostro - ta zwariowana dziewczyna całe dni siedzi na plaży. Od takiego opalania można dostać raka skóry. Powtarzam jej to od trzech lat. Ale ona myśli, że jest od wszystkich mądrzejsza... Opalać się w lipcu na Florydzie... Też coś!

Gniewnie wzruszył ramionami.

- Czy mógłby pan, przyjacielu, podać mi jej adres?

- O, co to, to nie! - zachnął się rudzielec. - Kate to porządna amerykańska dziewczyna. Taka mała dama z Południa. Zwariowana, ale porządna! Nic z tego nie będzie, mój panie! Stary Fred nie zajmuje się stręczycielstwem...

Gorliwie zacząłem go przekonywać, że nie mam wobec Kate żadnych niegodnych zamiarów, że szanuję porządne amerykańskie dziewczyny i chcę się z nią widzieć wyłącznie w interesach. Plotłem mu, że reprezentuję poważną firmę adwokacką z Nowego Jorku, a Kate poszukuję w związku z pewną skomplikowaną sprawą spadkową. Być może, wywodziłem mętnie, pannie Kate należy się pewien legat zawarowany w testamencie starego i zdziwaczałego przemysłowca, który zszedł ze świata przed dwoma laty. Wszystko wskazuje, że testatorowi chodziło właśnie o pannę Kate, i dlatego muszę się z nią koniecznie zobaczyć.

Słuchał piąte przez dziesiąte i wyraźnie z każdą sekundą tracił zainteresowanie. Mruknął jeszcze kilka razy, że nie ma zamiaru bawić się w stręczycielstwo, i zatopił wzrok w komiksowych obrazkach.

Zdecydowałem się wtedy na środki radykalne. Ofiarowałem rudzielcowi dwadzieścia dolarów. Przyjął je chętnie i podał mi adres Kate. Przy sposobności wypsnęło mu się, że nazwisko panny Kate brzmi Malory. Na szczęście nie zorientował się, że tego nie wiem. Oszczędziłem w ten sposób następną dwudziestkę.

\* \* \*

W okręgowym więzieniu w Miami oczywiście nie było klimatyzacji. Cuchnęło za to ostro karbolem i czymś bliżej nie określonym, przywodzącym wspomnienie zapachu czosnku.

Barczysty strażnik w mundurowej koszuli wprowadził mecenasa Corneliusa Forda do betonowego kojca, w którym stał drewniany stolik i dwa krzesła. Starannie zamknął drzwi i poszedł

sobie. Cornelius Ford usiadł ciężko na jednym z krzeseł i otarł spocony kark jedwabną chusteczką. Ubrany był w bawełniany lekki garnitur i jedwabną koszulę, która - zupełnie mokra od potu - przyklejała mu się do pleców.

Mecenas Cornelius Ford był siwym, starszym panem o nienagannyh manierach i wyglądzie dżentelmena z Południa. I rzeczywiście pochodził z Południa. Całe życie przemieszkał na Florydzie, ale mimo to nie potrafił jakoś przywyknąć do tutejszych letnich upałów. Ta wizyta w więzieniu kosztowała go wiele wysiłku. Wiedział, że była niezbędna, zdawał sobie sprawę, że stoi przed zadaniem, którego wykonanie wymaga maksimum opanowania, delikatności i kunsztu, ale wszystko to nie zmieniało faktu, że czuł, jak z minuty na minutę narasta w nim rozdrażnienie. Niespokojnie zerkał na zegarek i na gęsto okratowane, ale za to pozbawione szyb i umieszczone wysoko pod sufitem okienko, przez które wlewało się do wnętrza rozprażone upałem powietrze.

Wreszcie przyprowadzono więźnia śledczego Jamesa Hiltona. Strażnik, stojąc w progu, pchnął go lekko do środka i uśmiechnął się do mecenasa:

- Będę na korytarzu. Gdy zechce pan wyjść, proszę zastukać.

Mecenas kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

Strażnik wycofał się. Zatrzasnął drzwi. Klucz zachrobotał w zamku.

Cornelius Ford poderwał się z krzesła i szeroko uśmiechnięty przywitał się z więźniem.

James Hilton ubrany był w wyszmelcowane, pozbawione pasa dżinsy i niemiłosiernie wygniecioną koszulę, upstrzoną ręcznie malowanymi kwiatami. Prawy rękaw był rozdarty. Długie, dawno nie myte włosy więźnia zwisały zlepionymi strąkami po obu stronach ziemistej, wychudzonej twarzy. James Hilton był źle ogolony, pod prawym okiem rozlewał mu się żółtozielony siniec, a górną wargę przykrywał chropawy strup świeżo zagojonej rany. Od więźnia bił ostry zapach karbolu i potu, co napawało mecenasa Corneliusa niewypowiedzianym wstrętem. Oczywiście nie dał tego po sobie poznać choćby najdrobniejszym skrzywieniem twarzy. Serdecznie uścisnął rękę więźnia i szerokim gestem wskazał mu krzesło.

- Są jakieś wiadomości? - zapytał James Hilton.

Starał się nadać swemu głosowi brzmienie nonszalanckiej obojętności. Nie bardzo mu się to udało. Widać było, że ogromnie mu zależy, aby były jakieś nowe wiadomości, i to w dodatku wiadomości pocieszające.

Uśmiech zmył się z twarzy mecenasa. Cornelius Ford rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Niestety, synu. Nic pocieszającego. Nie należy jednak tracić nadziei...

- Myślałem - James Hilton nie potrafił ukryć rozczarowania - że ten prywatny łaps coś wywęszy...

- Wybij sobie, synu, z głowy tego cwaniaczka z Nowego Jorku - w głosie adwokata zabrzmiała namaszczone powaga. - Twoja siostra zrobiła wielkie głupstwo, że dała mu się omotać. Wyciśnie ją jak cytrynę, pozbawi ostatniego centa i potem będzie jeszcze z niej kpił w żywe oczy. Znam takich. Są gorsi od szakali...

- Pan tego nie rozumie - James Hilton przerwał mu niecierpliwie - ten człowiek ma zobowiązania wobec naszej rodziny. Mary sądzi, że można mu zaufać.

- Głupio sądzi. Nigdy nie można ufać prywatnemu detektywowi. To są, synu, ludzie specjalnego rodzaju. Czasami trzeba ich zatrudniać, ale nigdy nie można im ufać. Zebrałem zresztą pewne informacje o tym ptaszku. Ten pan Quiryń to szczególnie nieciekawym facet... -Mecenas Cornelius Ford, mówiąc to, pilnie obserwował reakcje więźnia śledczego Jamesa Hiltona, a że nie były one takie, jakich pragnął, dodał pojednawczo: -Zresztą może zostałem źle poinformowany. Możliwe, że ten wasz detektyw jest cudownym wyjątkiem od reguły obowiązującej w jego parszywym fachu, możliwe nawet, że zostanie po śmierci kanonizowany. Nie w tym rzecz. Sęk w tym, synu, że nie jest ci potrzebny nawet najgenialniejszy detektyw, tylko po prostu zwyczajny, znający się na swej robocie adwokat...

James Hilton spróbował się uśmiechnąć.

- Zdaje się, że mam takiego. Jestem panu bardzo wdzięczny, panie mecenasie, i nie wiem, jak się panu odpląć. Pan zresztą wie, że zupełnie nie mam pieniędzy...

Cornelius Ford niecierpliwie machnął wypielegnowaną dłonią.

- Nie mówmy o pieniądzach. Jestem opłacony przez Chrześcijańskie Stowarzyszenie Pomocy Niezamożnym Więźniom, poza tym etyka zawodowa nakazuje mi bronić ludzi bez względu na to, jak wysokie honorarium mogą uiszczyć. Nie martw się o moje sprawy. Pomyśl raczej o swoich. A one, niestety, nie wyglądają zbyt różowo...

- Bardzo źle?

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Zupełnie niedobrze...

- Przecież nie mogą skazać niewinnego...

- Będą święcie przekonani, że posyłają na krzesło właściwego człowieka...

- Ale przecież ja jej nie zabiłem!

- Nie musisz mnie o tym przekonywać. Nie mnie. W czasie procesu trzeba będzie przekonać dwunastu przysięgłych. To nie ja, ale oni muszą uwierzyć w twoją niewinność, a obawiam się, że niestety, nie uwierzą...

- Dlaczego?

- Powiem ci prawdę, synu. Nie obraż się za szczerość. Sprawiasz bardzo złe wrażenie. Tacy jak ty bywają zazwyczaj skazywani...

- Przecież to nonsens! - Więzień śledczy James Hilton zaperzył się i na policzki wypełzły mu ceglaste, nieregularne plamy wypieków. - Nie można skazywać kogoś tylko dlatego, że sprawia złe wrażenie, przecież to jest... -zaciął się, bo nie potrafił znaleźć odpowiednio mocnych słów, by wyrazić swe oburzenie.

Mecenas Cornelius Ford uśmiechnął się nieznacznie.

- Zgadza się z tobą. W pełni się zgadzam. To jest okropne. Niemniej to się zdarza. Na ławie przysięgłych zasiadzie dwanaście osób nagle i niespodziewanie oderwanych od swych codziennych

zająć. Kilku z nich rzeczywiście będzie starało się zachować jaki taki obiektywizm w ocenie tego, co usłyszą i zobaczą w czasie rozprawy. Ale oni będą w mniejszości. Większość będzie się w trakcie procesu tylko okropnie niecierpliwiła. Tacy przysięgli są z reguły wrogo nastawieni do oskarżonego. Podświadomie żywią do niego pretensję, że przez to, iż zmuszeni zostali do oceniania jego winy czy niewinności, oderwano ich od spraw, które naprawdę są dla nich ważne i interesujące... A że ty w dodatku wywrzesz na nich zdecydowanie nieprzyjemne wrażenie...

- Dlaczego mam wywrzeć nieprzyjemne wrażenie?

- Chociażby twój wygląd zewnętrzny. Masz posiniaczoną twarz. To nie wzbudza zaufania...

- To policja mnie tak urządziła, musi pan to po prostu powiedzieć w czasie rozprawy...

- I sądzisz, że to pomoże? Większość przysięgłych pomyśli tak: „Z tego faceta to niezły ptaszek. Musieli diablo być pewni jego winy, jeżeli tak go potraktowali”. Doświadczenie życiowe będzie im podpowiadało, że niewinnego się nie bije. Wiele przecież razy w życiu stykali się z policjantami i żaden nie dotknął ich nawet palcem...

- To demagogia! Przecież pan doskonale wie, jaka jest nasza policja!

- Ty wiesz i ja to wiem, ale nie sądz, że oni będą o tym wiedzieć. Przeciętny człowiek, nawet jeżeli stale czyta w gazetach, że policja jest brutalna, dopóki sam nie oberwie, ma instynktowne zaufanie do policji. To mu daje pewność siebie. Nie licz na to, że wśród tych dwunastu będą w większości ludzie, którzy osobiście zapoznali się z policyjną pałą... A poza tym nie tylko twoje sińce nie wzbudzają zaufania... Także twoja fryzura, sposób zachowania, poglądy, tryb życia...

- Co oni wiedzą o moich poglądach i trybie życia?

- Nie bój się. Prokurator już zadba, by się dowiedzieli. Przysięgli nie będą zachwyceni, gdy usłyszą, że niezależnie od tego, iż odpowiadasz przed sądem za morderstwo pierwszego stopnia, toczy się przeciwko tobie dochodzenie z innego paragrafu. Spaliłeś publicznie kartę powołania do wojska...

- Jestem przeciwnikiem przemocy i integralnym pacyfistą. Nie oczekuje pan chyba, że poszedłbym do wojska i zabijał Bogu ducha winnych Wietnamczyków...

Mecenas Cornelius Ford teraz już nie ukrywał pobłażliwego uśmiešku.

- Nie agituj mnie, synu, tu nie wiec. Wczuj się w sytuację, postaraj się zrozumieć przysięgłych. Stanie przed nimi posiniaczony, długowłosy facet z gatunku hippie. Każdy twój ruch, każdy gest będzie bacznie obserwowany i oceniany. Przeciętny Amerykanin z prowincji nie cierpi takich jak ty. Będziesz dla nich uosobieniem wszelkiego diabelstwa, które zagraża poczciwej Ameryce. Będą szczerze oburzeni, gdy się dowiedzą, że zamiast wypełnić swój patriotyczny obowiązek, spaliłeś kartę powołania. Zrozum, będą wśród nich i tacy, których synowie właśnie teraz taplają się gdzieś w wietnamskich bagnach. Oni będą rozumować tak: „Jeżeli nasi synowie walczą teraz z tym cholernym Vietcongiem, z jakiej racji ten długowłosy rniqlanc nie tylko uchyla się od służby wojskowej, ale w dodatku w żywe oczy kpi z naszych synów i demonstracyjnie pali kartę

powołania?" Wywołasz ich oburzenie i wzbudzisz nienawiść. W takiej sytuacji wystarczą jako tako prawdopodobne dowody, aby uznać cię za winnego...

- Nie ma dowodów przeciwko mnie. Nie mogą mieć takich dowodów!

- Prokuratura ma zeznanie Freda O'Conolly'ego... Przysięgnie, że natrętnie napastowałaś tę dziewczynę i że słyszał, jak w końcu umówiła się z tobą na ten właśnie wieczór, kiedy została zamordowana...

- Nie przyszła na spotkanie!

- To ty tak twierdzisz. Dowieść tego nie potrafimy. Nie masz alibi. Kiepska sprawa...

Więzień śledczy James Hilton ponuro zwiesił głowę. Przez prawy policzek przebiegło mu nerwowe drżenie.

Mecenas Cornelius Ford otarł jedwabną chustką spocone czoło i kark, odetchnął głęboko i po kilkunastu sekundach milczenia przemówił znowu:

- W normalnej sytuacji byłaby to tylko bardzo obciążająca poszlaka, a nie dowód winy, w twoim wypadku jednak brak alibi i jedno obciążające zeznanie w zupełności wystarczą przysięgłym do wydania werdyktu. Jestem zresztą pewny, że prokuratura ma w zanadrzu coś więcej niż zeznanie Freda O'Conolly'ego i twój brak alibi...

- Jak to?

- Znam dobrze prokuratora Harrisa. Nie lubi przegrywać. Wie, że gdyby na podstawie niewystarczających poszlak uzyskał nawet skazanie w pierwszej instancji, to wyrok by się nie ostał w procesie rewizyjnym. Mimo to wyznaczył termin rozprawy już na poniedziałek. Wierz mi, Harris nigdy nie ryzykuje. To tęgi fachman. Musi, zrozum, musi mieć przeciwko tobie coś więcej niż zeznanie jednego rudzielca... Sęk w tym, że zupełnie nie mogę wywąchać, czym nas zastrzeli na rozprawie.

- Nie może nic mieć. Jestem niewinny...

- Możesz być sobie sto razy niewinny, a ja zapewniam cię, że jak amen w pacierzu, tak Harris wyskoczy w sądzie z czymś takim, by wyrok skazujący był tylko formalnością...

Zamilkł i uważnie przyjrzał się swojemu klientowi. Starał się wywnioskować, czy jego wywody odniosły właściwy skutek. James Hilton powinien zrozumieć, że nie ma żadnych szans i nic nie uchroni go przed spaleniem na elektrycznym fotelu.

Wydawało się, że zrozumiał. Wykrzywił się w grymasie, który miał imitować uśmiech, i zapytał:

- W takim razie rezygnuje pan z obrony? Pan chyba też nie lubi przegrywać...

- Co ci przyszło do głowy, synu? - W podniesionym głosie mecenasa Corneliusa Forda zabrzmiało oburzenie. - Jestem zawsze ze swoimi klientami, aż do samego końca, i co więcej, mogę cię zapewnić, że istnieje szansa, iż mimo wszystko wyjdiesz z tego cało...

- Co pan powie! - Więzień śledczy James Hilton starał się przybrać ton ironicznej kpiny. - Wyniosę całą głowę, mimo że moja osoba wzbudzi wstręt i nienawiść przysięgłych, a tęgi fachman, prokurator Harris, ma w zanadrzu dowody, którymi przyspili mnie do elektrycznego fotela?



- Nie kpij. Posłuchaj uważnie. Mam sporo doświadczenia i niejednego już wyciągnąłem za uszy z celi śmierci. Są dwa sposoby, żeby cię ocalić. Zaraz ci o nich opowiem, tylko proszę, nie przerywaj, poczekaj, aż skończę. Jeżeli będziesz miał zastrzeżenia, wyłożysz je później. Dobrze?

Więzień śledczy James Hilton apatycznie skinął głową. Robił wrażenie człowieka, któremu przed chwilą zawodowy bokser zaaplikował tęgiego haka w podbródek.

- A więc uważaj. Najważniejsze dla nas jest przede wszystkim to, żeby nie skazali cię na śmierć. Zwykle mawiam, że gdy nie można uciec z płonącego pokoju przez drzwi, nie trzeba się wahać ze skokiem przez okno. Tak jest i w tym wypadku. Nie ma żadnych szans, by ocalić ci życie, jeżeli będziemy się upierać przy twojej niewinności. Za to gwarantuję, że wyjdiesz cało, jeśli obronę oprzemy na założeniu, że jednak jesteś winien...

- Co takiego?! - Wrzask Jamesa Hiltona był tak donośny, że Cornelius Ford z niepokojem spojrzął na drzwi, za którymi po korytarzu spacerował strażnik...

- Obiecałeś nie przerywać - głos mecenasa zabrzmiał serdecznym wyrzutem. - Najpierw posłuchaj, a potem będziesz protestował...

James Hilton wzruszył gniewnie ramionami, ale zastosował się do życzenia obrońcy. Cornelius Ford zaczął mu więc wyklądać swoją koncepcję.

- Istnieją dwie możliwości. Pierwsza jest zresztą wątpliwa, choć pozornie daje duże korzyści. Przyznasz się do winy, a my postaramy się udowodnić, że działałeś w stanie psychicznym wykluczającym wszelką odpowiedzialność... Sposób, w jaki zadano śmierć tej dziewczynie, wskazuje, że było to typowe morderstwo seksualne, a w takim wypadku zawsze można sugerować niepoczytalność sprawcy...

- Jestem całkowicie normalny i nie zamordowałem tej dziewczyny... - w stłumionym warknięciu Hiltona czaiła się wściekłość.

- Niestety - ze smutkiem stwierdził mecenas - wydaje mi się, że rzeczywiście jesteś w pełni odpowiedzialny za swoje czyny i trudno będzie znaleźć biegłych, którzy zawyrokowałiby inaczej... W tej sytuacji nie możemy stawiać na niepoczytalność. Pozostaje więc ugoda z prokuratorem... Skażą cię wtedy wprawdzie bez rozprawy na dziewięćdziesiąt dziewięć lat więzienia, ale to zawsze lepsze niż elektryczne krzeselko...

\* \* \*

Kate Malory mieszkała w niskim szeregowcu. Do każdego mieszkania prowadziło oddzielne wejście od ulicy. Długo stukąłem bezskutecznie do jej drzwi, aż wreszcie otworzyły się sąsiednie i ukazała się w nich czarna czarownica, którą można straszyć niegrzeczne dzieci, gdy nie chcą jeść szpinaku.

Zapytałem o Kate Malory. Czarownica nadspodziewanie uprzejmie wyjaśniła mi, że panny Kate nie ma w domu, ale z pewnością będzie za jakieś dwie godziny. Zwykle wraca o tej porze. Jeżeli bym jednak bardzo się spieszył, to radzi mi poszukać jej na plaży.

Podziękowałem grzecznie i wróciłem do samochodu. Nie miałem zamiaru szukać panny Kate na plaży. Po prostu nie wiedziałem, jak wygląda. Nie chciałem też niepotrzebnie wałęsać się po miasteczku. Pamiętałem o odwiedzinach dzielnego szeryfa i uznałem, że nie należy za bardzo pchać się w oczy. Zaparkowałem więc samochód w zacienionej, bocznej uliczce, odchyliłem siedzenie maksymalnie do tyłu i paląc papierosa za papierosem, rozmyślałem o całej sprawie.

Zaczęła się dla mnie przed tygodniem, kiedy w moim niechlujnym pokoju biurowym w Bronx pojawiła się dziewczyna o rękach jak łodygi egzotycznych kwiatów. Wyglądała jakby żywcem wyjęta z secesyjnego obrazka i miała nieprawdopodobnie wielkie oczy koloru morza. Tego rodzaju dziewczyna nigdy przedtem nie przekroczyła progu mojego biura. Popatrzyłem w jej morskie oczy i choć jestem twardym facetem, który już dawno nie wierzy we wróżki, pomyślałem sobie, że w staroświeckich gadkach o rzucaniu uroków kołacze się jednak jakaś odrobina prawdy... A kiedy jeszcze dowiedziałem się, że nazywa się Mary Hilton, natychmiast zrozumiałem, że jeżeli zażąda, będę gryzł szkło i popijał je kwasem siarkowym.

To, co spowodowało, że bez najmniejszego oporu zgodziłem się ratować Jamesa Hiltona oskarżonego o morderstwo pierwszego stopnia, wydarzyło się dawno, przed dwudziestu laty. W jesienny dzień roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego kapral Ralf Hilton, ojciec Jamesa i Mary Hiltonów, ocalił mi życie po raz pierwszy. To było na krwawej plaży pod Inczon, w pobliżu Seulu. Miałem wtedy niespełna dwadzieścia lat i bardzo zielono w głowie. Do piechoty morskiej poszedłem na ochotnika. Dali mi mundur, hełm pokryty siatką maskującą, kupę granatów i półautomatyczny, dziesięciostrzałowy karabin do garści. Szkolono nas przez kilka miesięcy. Potem załadowano na okręty desantowe. Przez dwie godziny oglądałem z pokładu, jak nasze odrzutowce i pancerniki pastwią się nad plażą pod Inczon. Było to piekielne widowisko. Cały brzeg płonął. Nad płomieniami, podsycanymi co chwila jaskrawymi rozbłyskami nowych wybuchów, rozsnuwały się gęste obłoki tłustego dymu. To płonął napalm. W te smoliste kłęby dymów co kilkanaście sekund wlatywały z piekielnym rykiem, wlokąc za sobą smugi buchającego z dopalaczy ognia, nasze odrzutowce. Potem pancerniki przeniosły ogień w głąb lądu i odrzutowce zniknęły z pola widzenia.

Podpłynęliśmy bardzo blisko do brzegu. Skakaliśmy w wodę, nie głębszą niż półtora jarda. Błyskawicznie dobrnęliśmy do brzegu i zaczęliśmy biec po piaszczystej plaży, na której tu i ówdzie dopalały się jeszcze plamy napalmu. Rozsadzała mnie dzika euforia. Pragnąłem dopaść przeciwników, pakować w nich pociski z szybkostrzelnego karabinu, rozpruwać im brzuchy płaskim bagnetem. Jednocześnie gdzieś w głębi świadomości kołatało połączone z uczuciem zawodu przekonanie, że się to nie spełni, że się to nie może stać. Na tej plaży przecież nie mogło być już nikogo żywego. Robota pancerników i odrzutowców była solidna...

Upojeni poczuciem mocy i zwycięstwa, bieглиśmy nie zwracając uwagi na straszliwy smród dopalającego się napalmu i na to, że nasze podkute buty grzęzną rozpaczliwie w miążskim piasku. I wtedy zagadał karabin maszynowy. Seria była długa, wyciągnięta. Moi koledzy natychmiast przywarli do ziemi. Ja i dwóch innych biegło nadal. I wtedy kapral Ralf Hilton uratował mi życie

po raz pierwszy. Po prostu rąbnął mnie w plecy kolbą karabinu tak mocno, że zwałem się na piasek. Ci dwaj inni pobiegli jeszcze ze trzy metry. Potem padli miękko na ziemię, poszarpani pociskami z kaemu. Dopiero po kilku minutach zrozumiałem, że kapral Hilton ocalał mi życie.

Drugi raz zrobił to w kilka miesięcy później. Była ostra, koreańska zima. Nigdy nie przeczuwałem, że w tym azjatyckim kraju może być tak zimno. Cofaliśmy się w rozsypce. Czołgi T-34 rozjechały naszą kompanię tak niespodziewanie i szybko, że chłopcy z bazookami nie zdążyli nawet oddać po jednym strzale. Była noc, sypało miłym śniegiem. Krańcowo wyczerpani, zagubieni w pofałdowanym terenie, parliśmy przed siebie, a mroźny wiatr przenikał na wskroś nasze płaszcze i mundury. I wtedy złamałem nogę. Uwięzła w jakimś niewidocznym pod śniegiem wykrocie, a kiedy chciałem ją wyswobodzić, upadłem tak nieszczęśliwie, że piszczał pękł jak zapalka. Oczywiście nie było mowy, aby iść dalej. Gdyby zostawili mnie samego, po kilku godzinach zmieniłbym się z pewnością w zeszywniałą mrożonkę. Ale nie zostawili mnie. To znaczy kapral Ralf Hilton nie zostawili Włókł mnie ze sobą. Oparty na jego ramieniu, kuśtykałem na jednej nodze, a kiedy nie chciałem już tego robić! sklął mnie od ostatnich i nawet kilkakrotnie strzelił po pysku. W końcu wziął mnie na plecy i wywracając się co kilka kroków i przeklinając straszliwie mnie, moją nogę! czerwonych, wojnę i Organizację Narodów Zjednoczonych, pod której błękitnym sztandarem odbywała się ta koreańska impreza, taszczył ze sobą.

O świcie jakimś cudem dobrnęliśmy do szosy. Hilton już nie miał siły nawet kłąć. Ja tylko skowyczałem od czasu do czasu z przenikliwego bólu. Zwaliliśmy się bezwładnie w przydrożnym rowie i czekaliśmy na śmierć. Doczekaliśmy się kolumny naszych opancerzonych transporterów, nawiewających na południe. Oczywiście zabrali nas ze sobą. Kiedy już noga mi się zrosła po trzymiesięcznym pobycie w szpitalu, wróciłem do jednostki. Miałem dość tej parszywej wojny, dość piechoty morskiej i już wcale nie pragnąłem zabijać kogokolwiek. Przeklinałem ten czerwony dzień, kiedy usłyszawszy w radiu o koreańskiej awanturze i zamiast czekać jak wielu innych na normalne wezwanie przesłane przez pocztę, pobiegłem - niczym szczur do pułapki - do biura werbunkowego.

Takie właśnie wezwanie spalił publicznie James Hilton, syn kaprala Ralfa Hiltona. Nie chciał zabijać nieznanym sobie Azjatów, którzy nie zrobili mu nic złego. Mając tyle lat co ja w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, James Hilton okazał się stokroć mądrzejszy. Nic zresztą dziwnego. Był przecież synem Ralfa Hiltona. Wspaniałego człowieka, który dwukrotnie uratował mi życie, a potem, kiedy zaprzyjaźniliśmy się, nauczył mnie nienawidzić wojny.

„To nie jest nasza wojna - powtarzał mi wielokrotnie kiedy dzieliliśmy ziemiankę na linii frontu, która zamarła na kilkadziesiąt miesięcy - żółtki powinni to załatwić między sobą”.

W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym jego syn także uważał, że Wietnamczycy powinni między sobą załatwić swoje porachunki. I spalił kartę powołania. W tydzień później aresztowano go pod zarzutem potwornego morderstwa.

Z racji swojego parszywego zawodu staram się czytać w gazetach wszystko, co traktuje o zbrodni. Czasem robię sobie nawet wycinki dotyczące ciekawszych spraw. Nigdy nie wiadomo, do czego mogą się przydać. Czytałem też o Jamesie Hiltonie, którego nazwano „Wampirem z Florydy”. W nowojorskiej prasie były o tym tylko wzmianki, bez wnikania w szczegóły. Potraktowano to jako jeszcze jedno lokalne morderstwo, na które zwrócono uwagę tylko dlatego, że ofiara przed śmiercią była zgwałcona i torturowana w wyrafinowany sposób.

James Hilton nazwany został „Wampirem z Florydy” trochę na wyrost. Zarzucano mu przecież tylko jeden mord. Prawdziwym wampirem, wzbudzającym ogólne zainteresowanie publiczności, zostaje się dopiero wtedy, gdy ma się na sumieniu całą serię okrutnych morderstw. Gdyby czternaście ofiar Kuby Rozpruwacza zamordowanych zostało przez czternastu różnych zbrojców, nikt by na to nie zwrócił większej uwagi.

Zupełnie nie skojarzyłem Jamesa Hiltona, „Wampira z Florydy”, z Ralfem Hiltonem, moim nieżyjącym już od lat dziesięciu przyjacielem. Ralf Hilton mieszkał w Santa Fe w Teksasie, Jamesa Hiltona zaarrestowano w Holiday Beach na Florydzie. Wiedziałem, że Ralf miał dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca, ale zupełnie zapomniałem ich imion.

Po powrocie z wojny koreańskiej rozstaliśmy się z Hiltonem. Obiecywaliśmy sobie oczywiście, że będziemy często się spotykać. Oddzieleni dystansem tysięcy mil, nie spotkaliśmy się ani razu. Od czasu do czasu pisywaliśmy do siebie.

Był taki okres, że kilka razy przy różnych okazjach wspomniano o mnie w nowojorskich gazetach. Oczywiście, nie w „New York Timesie”, tylko w zafajdanych brukowcach. Nie wiem, jakim cudem Ralf to przeczytał w swoim Teksasie i napisał do mnie żartobliwy list, w którym zwracał się do mnie per „Drogi Holmesie” i zapewniał, że mógł zaimponować swoim dzieciakom serdecznym przyjacielem, sławnym detektywem.

Trochę mnie ten list zdenerwował. Moja praca jest zazwyczaj wyjątkowo paskudna i prawdę powiedziawszy, wstydzę się jej. Babranie się aż po łokcie we wszelkiego rodzaju brudach, nawet jeżeli się to robi fachowo i sprawnie, nie jest z pewnością czymś napawającym dumą. Nigdy nie chwalebę się swoim zawodem wobec ludzi, których spotykam prywatnie. Nawet pewna cizia, z którą sypiałem przez dwa lata, aż do chwili, kiedy puściła mnie kantem, nie miała zielonego pojęcia, na czym polegają moje „interesy”. Biedula myślała, że pośredniczę w sprzedaży używanych samochodów. Tak jej kiedyś na odczepne powiedziałem...

Na list Ralfa odpowiedziałem więc dość cierpko. Nie odpisywał przez, kilka tygodni. Robiłem sobie wyrzuty, że za ostro potraktowałem jego żartobliwą epistołę. Machnąłem więc nowy list. Tym razem przyszła szybka odpowiedź. Pani Jane Hilton donosiła, że jej mąż Ralf zmarł na atak serca.

Rąbnęło to mnie solidnie. Przez trzy dni chodziłem jak struty. Trzeciego dnia wieczorem zalałem się jak świnia. W barze na mojej ulicy płakałem w kamizelkę barmanowi, a potem zacząłem tłuc szkło. Pokaleczyłem się przy tym okropnie i krwawiłem jak zarzynany świniak. Na szczęście obeszło się bez interwencji glin. Barman Joe i kilku stałych klientów, z którymi nieraz popijałem,

obezwładniło mnie i związało. Rano byłem cholernie zawstydzony. Przeprosiłem Joe'go, zapłaciłem za wszystkie szkody, uzyskałem przebaczenie i z bolącą głową zmyłem się do domu.

Potem szybko zapomniałem o Hiltonie. To znaczy nie raz i nie dwa przypominało mi się to i owo z naszych frontowych doświadczeń, ale te wspomnienia wałęsały się na zupełnych marginesach świadomości.

Tydzień temu do mojego biura weszła dziewczyna jakby wyjęta z secesyjnego obrazka. Miała nieprawdopodobne, morskie oczy i ręce, które wywoływały cholernie mocne wrażenie.

Wpatrywałem się w nią jak sroka w gnat. Pożerałem ją wzrokiem. Wydała mi się istotą niezbyt realną, która przybyła na dwudzieste siódme piętro biurowca prosto z zaświatów.

- Czy pan George Quiryń? - zapytała, a jej głos wydał mi się podobny do brzmienia pień anielskich.

Wprawdzie nigdy nie słyszałem, w jaki sposób zawodzą pieśni aniołowie, ale tak sobie właśnie to wyobraziłem.

- Tak. Nazywam się George Quiryń - odpowiedziałem nie swoim głosem i koniuszkiem języka zwilżyłem spierzchnięte wargi.

Podeszła do mojego biurka, na którym w nieludzkim bałaganie poniewierały się sterty zupełnie niepotrzebnych papierzysk, postawiła na nim swą torebkę z granatowego plastyku, przyjrzała mi się uważnie i wyrecytowała jednym tchem:

- Dzień dobry. Nazywam się Mary Hilton. Jestem córką Ralfa Hiltona. Przyszłam do pana w sprawie mojego brata Jamesa. Pan wie, to ten „Wampir z Florydy”. On jest niewinny. Błagam, niech go pan uratuje...!

\* \* \*

Lucille Ambler, piękna sekretarka Staną Olivera Halifaxa, nudziła się w swoim gabinecie. Nigdy nie miała za wiele roboty. Stan Oliver Halifax w zasadzie sam załatwiał swoje sprawy. Osobiście nadzorował pracę na farmie i osobiście kontrolował w sezonie działalność wesołego miasteczka, którego także był właścicielem. W sprawach giełdowych (Stan Oliver Halifax prowadził dość liczne i na ogół szczęśliwe operacje giełdowe) utrzymywał kontakt telefoniczny z zaufanym biurem maklerskim w Nowym Jorku i Lucille nie miała najmniejszego pojęcia, na czym polegają jego interesy. Nawet swą korespondencję wystukiwał osobiście na płaskiej maszynie typu Portable. W tej sytuacji do podstawowych obowiązków Lucille należało odbieranie telefonów i witanie czarującym uśmiechem interesantów i gości, którzy przychodzili do szefa. Oczywiście sypiała też ze Stanem Oliverem Halifaxem, ale to zdarzało się tylko trzy razy w tygodniu, i nigdy w godzinach urzędowych.

Nudzila się więc śmiertelnie za swoim biureczkiem i smętnie wyglądała przez okno, za którym były palmy i rozbielone niesamowitym upałem niebo. Od czasu do czasu zerkała na swój elektroniczny zegarek, porównywała jego wskazania z wielkim zegarem biurowym, zawieszonym na ścianie. Małe tranzystorowe radio bez przerwy sączyło muzykę przeplatana reklamami, ale

Lucille miała już dość i muzyki, i reklam. Najchętniej wyszłaby na zewnątrz i pospacerowała pod palmami albo nawet rozciągnęła się na plaży. Niestety, nie było to możliwe. Szef powiedział, że czeka na ważny telefon z Miami.

Jej zły humor pogłębiało jeszcze przekonanie, że i po południu nie będzie mogła zająć się własnymi sprawami. Z wyglądu twarzy szefa wywnioskowała, że nieuchronnie zbliża się atak i trzeba będzie odwieźć go do Miami, do doktor Fletcher, nudzić się przez kilka godzin w poczekalni, a następnie towarzyszyć szefowi w drodze do domu. Gdy przychodził atak, Stan Oliver Halifax nie był zdolny do prowadzenia wozu. Tymczasem na dzisiejszy wieczór Lucille planowała samotny wypad do kina. Wyświetlać właśnie w nim miano horror z najnowszym wcieleniem Drakuli. Lucille uwielbiała horrory, a zwłaszcza uwielbiała Drakulę. Wtulona w miękki fotel, drżąc z wewnętrznego napięcia, mogła godzinami wpatrywać się w szalejące na ekranie wampiry. Zwłaszcza nieodzowne w tego rodzaju filmach sceny, podczas których połyskujące kły wampira zbliżały się do obnażonej szyi wrzeszczącej z obłądnego strachu dziewczyny, przyprawiały ją o rozkoszny dreszcz, niebezpiecznie bliski spazmowi miłosnej ekstazy. Do kina chodziła zawsze samotnie. Jej przeżyciom nie potrzebni byli świadkowie, świadomość obecności kogoś znajomego sprawiała, że odczucia stawały się mniej intensywne i...

Pomyślała z żalem, że ominie ją dzisiejsze rendez — vous z Drakulą. Zagryzła wargi i ze złością popatrzyła na telefon. Żeby chociaż ten adwokat zadzwonił! Miałaby wtedy pretekst, by wyjść z gabinetu i poszukać szefa przebywającego gdzieś na terenie farmy...

Mecenas Cornelius Ford jednak nie zatelefonował. Stało się za to coś znacznie przyjemniejszego. Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Patrick Halifax, ubrany jedynie we wzorzyste szorty i ciemne okulary. Długie, bardzo jasne włosy spadały mu miękką falą na kark i pięknie kontrastowały z ciemnym brązem opalonego torsu. Patrick Halifax był szczupły, piękny i wysoki. Wcale nie przypominał ojca. Jego matka była Szwedką i po niej Patrick odziedziczył skandynawską urodę.

- Halo, Patrick! - ucieszyła się Lucille. - Szukasz ojca? Wszedł na farmę, poczekaj, niedługo powinien wrócić...

Lucille postarała się, by to proste zdanie zabrzmiało jak najbardziej kusząca i perwersyjna propozycja. Sypiała wprawdzie ze Stanem Oliverem Halifaxem, ale już od dawna marzyła, żeby od czasu do czasu miejsce obola niej w łóżku zajął także Patrick Halifax. Niestety, na marzeniach się tylko kończyło. I tym razem nic nie wskazywało, aby Patrick raczył ją zauważyć. Uśmiechnął się do dziewczyny przyjaźnie, ale bezosobowo i odpowiedział:

- Halo, Lucille! Nie szukam starego. Widziałem goj przed chwilą na farmie. Chciałem po prostu skorzystać z telefonu...

Usiadł przy biurku, podniósł słuchawkę i wykręcił jakiś numer. Kiedy czekał na połączenie, wpatrywał się w dziewczynę przez ciemne okulary, ale Lucille podejrzewała, że nie dostrzega ani jej obiecującego spojrzenia, cedzonego spod przyklejonych rzęs, ani atomowego biustu, prawie że

wyskakującego z kusząco wydekoltowanej bluzki. Zrobiło się jej przykro. Nie lubiła, gdy młodzi j mężczyźni patrzyli na nią jak na jakiś obojętny, martwy przedmiot.

Patrick Halifax uzyskał wreszcie połączenie.

Przysłuchiwała się bez skrępowania temu, co mówił. Zorientowała się, że rozmawia z jakąś księgarnią w Miami. Upominał się o książki, które obiecano mu wysłać. Zamawiał nowe tytuły. Tytuły i nazwiska autorów nic nie mówiły Lucille. Domyślała się tylko, że chodzi prawdopodobnie o tomiki poezji. Patrick Halifax sam pisał wiersze (kilka z nich zamieścił przed tygodniem pewien awangardowy miesięcznik redagowany w Nowym Jorku) i starał się orientować w bieżącej produkcji poetyckiej.

Pewnego dnia Lucille w rozpaczliwym usiłowaniu zainteresowania Patricka swoją osobą poprosiła go o pożyczenie jednego z kolorowych tomików, które stale nosił ze sobą. Podał jej go z uśmiechem. Wieczorem zasiadła do lektury. Wyobrażała sobie, że jeżeli przeczyta go uważnie, znajdzie jakiś temat do rozmowy z Patrickiem. Nic z tego nie wyszło. Nie potrafiła przebrnąć przez książeczkę do końca. To, co było w niej wydrukowane, układem graficznym przypominało wprawdzie wiersze, ale nie miało nic wspólnego z poezją, którą pamiętała z lat szkolnych. Zresztą i tamta poezja nudziła ją śmiertelnie... Przez pół godziny bezradnie starała się zrozumieć o czym właściwie mówią te strzępki dziwacznych zdań. Po dwóch dniach oddała bez słowa pożyczony tomik. Nawet nie zapytał, jak się jej te wiersze podobały...

Patrick rozmawiał z księgarnią przez mniej więcej dziesięć minut, bębniąc przy tym nerwowo palcami po blacie biurka. Podobały jej się te palce, długie i ruchliwe. Miała ochotę ich dotknąć. Oczywiście nie zrobiła tego. Nagle przyszło jej do głowy, że być może, uda się zatrzymać tu chłopaka na dłużej, nawiązać z nim rozmowę i choć raz przełamać niewidzialną barierę, którą tak starannie izolował ją od siebie... Pomysł był śmiały i trochę ryzykowny, ale postanowiła spróbować.

Kiedy skończył już rozmawiać, powstał i uśmiechając się zdawkowo, skinął głową w grzecznym podziękowaniu, powiedziała:

- Usiądź jeszcze na chwilę, Patricku, chciałam powiedzieć ci coś ważnego... - starała się nadać swemu głosowi barwę zafrasowanej nieśmiałości. Po jego opalonej twarzy przemknął leciutki grymas niechęci. Wyraźnie nie miał ochoty na rozmowę z dziewczyną. Był jednak dobrze wychowanym młodzieńcem,! więc posłusznie przysiadł na krześle.

- Widzisz - kontynuowała nieśmiało - nie wiem, czy zauważyłeś, ale... ja bardzo lubię twojego ojca. Jest dla mnie nie tylko szefem, ale... kimś naprawdę bliskim...

Uśmiechnął się grzecznie.

- Oczywiście, że zauważyłem to, Lucille. Staremu potrzebny jest ktoś taki jak ty... Mama umarła tak dawno... Nie myśl - dodał szybko - że mogę mieć coś przeciw waszej przyjaźni. Prawdę mówiąc, bardzo się cieszę, że' tak się to wszystko ułożyło...

Pomyślała ze złością, że ten piękny chłopak mógłby nie okazywać tak otwarcie swej zupełnej obojętności wobec tego, co łączy ją ze Stanem Oliverem Halifaxem. Nie dała jednak za wygraną.

Była uparta i lubiła postawić na swoim. Pomysł polegał na tym, że jeżeli Patrick Halifax nie zauważał jej jako partnerki do łóżka, to jednak, być może, dostrzeże jako osobę zatroskaną o człowieka, który jest jego ojcem. A jeśli już raz zauważy... jeżeli połączą ich swoiste więzy współnictwa... Postanowiła kontynuować rozpoczętą grę.

- Widzisz, Patricku - powiedziała po chwili milczenia - martwię się o twojego ojca... Jestem naprawdę poważnie zaniepokojona...

Nerwowym ruchem ściągnął okulary. Zobaczyła błękitne oczy okolone prawie białymi rzęsami. Widać było, że zainteresował się jej słowami.

- Ataki miewa teraz znacznie rzadziej... - bąknął niepewnie.

- Rzadziej. Ale nie o to chodzi... Od jakiegoś czasu jest zgaszony, brak mu radości życia... Czasami robi wrzaski, jakby w ogóle nie orientował się, co dookoła niego się dzieje...

Nie bardzo wiedziała, jak wyrazić to, co miała na myśli. A mówiła szczerze. Jeżeli w samym pomysle rozmowy z Patrickiem kryło się wyrachowanie, to jej treść dotyczyła rzeczywistości i była nacechowana współczuciem dla Staną Olivera Halifaxa, którego zachowanie wydawało się Lucille od kilku tygodni mocno niepokojące. W okresie tym miał tylko dwa ataki swojej „piekielnej migreny”, ale wielokrotnie przez całe dni zachowywał się tak, jak przedtem zdarzało się to tylko w kilka godzin po ustąpieniu ataku... I to naprawdę niepokoiło Lucille.

- Staje się czasem jakiś dziwny... Wtedy go się trochę boję... - wyznała z lekkim zawstydzeniem.

Przyglądał się dziewczynie uważnie, zmarszczył wysokie czoło i niespokojnie odgarnął włosy, które niesfornie spadły mu na oczy. Potem powiedział:

- Chyba macz rację... I ja zauważyłem coś podobnego... Choćby dzisiaj... Podszedł do mnie, gdy czytałem książkę na leżaku, i mówił tak dziwnie...

- Co mówił?

Patrick nie uznał za wskazane zaspokoić jej ciekawości. Zamiast odpowiedzi usłyszała pytanie:

- Czy próbowałaś dowiedzieć się, co go gnębi?

- Tak. Wiele razy...

- Powiedział ci coś?

- Tylko raz, ale bardzo niewiele i niewyraźnie... Był wtedy ogromnie zdenerwowany...

Lucille wolała nie wgłębiać się bliżej w okoliczności. Szef wyjaśnienia złożył w sytuacji dosyć specjalnej. Przed dziesięcioma dniami zdarzyło się po raz pierwszy, że zawiódł jako mężczyzna. Zgnębiony i zawstydzony wymamrotał coś, co miało być usprawiedliwieniem.

- I co ci powiedział?!

W głosie Patricka było tyle żarliwego zainteresowania, że Lucille czuła smak triumfu. Udało się! Nareszcie się udało. Po raz pierwszy piękny chłopak zwracał się do niej bez tej obojętnej grzeczności, która ją tak drażniła.

- Powiedział niewiele, ale zawsze coś - delektowała się swym sukcesem, oceniając w myśli rozmiary wyłomu, jaki potrafiła uczynić w otaczającym Patricka pancerzu — wyznał mi po



prostu... że zdarzyło się coś strasznego, o czym nie chce mówić. I to właśnie jest przyczyną jego przygnębienia...

Ze zdumieniem i zaniepokojeniem zauważyła, że wyraz zainteresowania zniknął z twarzy Patricka. Jego oczy znowu stały się obojętne.

- Więcej nic nie powiedział?

- Więcej nic. Ale - zdobyła się na determinację - wyciągnę to z niego! Mam na to swoje sposoby!

- Tu zamilkła i trochę się zaczerwieniła, a potem dorzuciła szybko: -1 wtedy... naradzimy się, jak mu pomóc...

Znowu nacisnąłem guzik dzwonka nad którym przylepiono czerwone serduszko wycięty z laminatu. Tym razem naciskałem długo i z pełnymi poświęceniem. Ta cholerna dziewczyna była przecież w domu. Z zaparkowanego wozu widziałem, jak otwierała drzwi, ustawivszy uprzednio na ziemi wielką plażową torbę z barwnym wizerunkiem kaczoza Donalda Ubrana była w bardzo obcisłe hot-pantsy koloru bordo Na jednym z pośladeków bieleł się rozcapierzony odcisk dłoni, na drugim białe litery głosiły: „Kochaj mnie!”

Była więc w domu, ale nie chciała otworzyć. Nie wiedziałem, co robić. Plułem sobie w brodę, że nie zaczepiłem jej na ulicy. Kto mógł jednak przewidzieć, iż traktuje swą chatę jak bazę atomową, do której nie ma prawa wchodzić nikt obcy. W końcu przestałem dzwonić Oparłem się plecami o ścianę i paląc papierosa gapiłem się na ulicę. Po prawej stronie miałem drzwi mieszkania. Kate Malory, po lewej były jakieś inne drzwi. Otworzyły się te drugie. Wylazła z nich znana mi już Murzynka o posturze Baby Jagi dla ubogich rasistów.

- A, to znowu pan! — powiedziała uśmiechając się z wdziękiem hipopotama. - Panna Kate już jest w domu. Widziałam, jak wracała.

Skinąłem głową.

- Wiem. Ja też widziałem.

- No to niech pan dzwoni...

- Nie robię nic innego od dziesięciu minut...

- A!... - Zamyśliła się, a jej nieprawdopodobnie jasne białka zagubionych w fałdach tłuszczu oczu błysnęły niepokojąco. — W takim razie pewnie nie chce pana wpuścić...

- I ja tak sądzę...

Zamilkła, ale nie wycofała się do swojej pieczary. Należała do gatunku czarownic ciekawych życia i ludzi. Czekwała na dalszy rozwój wypadków. Z zainteresowaniem obserwowała, jak jeszcze raz atakuje dzwonek.

- Pewnie się boi wpuszczać do siebie obcego... - stwierdziła z nagłym zrozumieniem. - Nie dziwię się jej zresztą. Tyle się teraz czyta o rozmaitych bandziorach napastujących samotne kobiety... Obejrzała sobie pewnie pana przez judasza - wskazała maleńki otvorek otoczony złotą obrączką - i nie wzbudził pan jej zaufania.

- Pani jakoś mnie się nie boi - zauważyłem z ponurym uśmieszkiem. - Nie wyglądam chyba na smoka, który pożera niewinne dziewice...

Odsłoniła w szerokim uśmiechu olśniewająco białe zęby. Kiedy się uśmiechała, można było zacząć nabierać wątpliwości, czy rzeczywiście o północy w towarzystwie czarnego kota i sowy warzy tajemne mikstury z szaleju i blekotu i przygotowuje balsamy z sadła wisielców.

- Bo ja to taka strachliwa znowu nie jestem! Ale... ona to ma powody do strachu. Biedaczka - dodała ze zrozumieniem. - Mieszkała tu z nią koleżanka z pracy. I właśnie tę koleżankę - głos mojej rozmówczynie nabrał nagle teatralnego patosu — zamordował jakiś wampir!

Spojrzała na mnie uważnie, pilnie bacząc, jakie wrażenie wywrze ta niecodzienna informacja. Postanowiłem nie sprawić jej zawodu i przybrałem minę uprzejmego zainteresowania.

- Gliny mówią - słowo „gliny” wymówiła z bezbrzeżnym lekceważeniem i pogardą — że go złapali. Ma to być podobno jeden chłopak, który pracował w pralni. Z gatunku długowłosych. U nas takich nie lubią... A zwłaszcza jego. Przed paru tygodniami zebrał kilku innych i spalili przed radą miejską swoje karty powołania... Mówię panu — oczy czarnej damy rozbliły radosnym podziwem - ale była heca na czterdzieści cztery fajerki!

— Jeżeli - zapytałem ostrożnie - ten wampir już siedzi, to czego właściwie boi się panna Kate? Chyba zboczeńcy! nie grasują u was stadami?

Przysunęła się do mnie, wyraźnie podniecona i uradowana, że udało się wciągnąć mnie do rozmowy.

— Gliny myślą, że mają właściwego człowieka, panna Kate wcale nie jest o tym przekonana...

Rozmowa stawała się coraz bardziej interesująca. Nie chciałem jednak płoszyć swojej rozmówczynie, wykazując zbyt wyraźne zaciekawienie, mruknąłem więc tylko coś I z uprzejmym niedowierzaniem. Podziałało. Przysunęła się jeszcze bliżej i prosto do ucha opowiedziała mi o wątpliwościach panny Kate. Jak na prawdziwą czarownicę przystało, zionęła ostrą wonią czosnku i cebuli. Zniosłem to mężnie.

Z tego, co mówiła, wynikało, że panna Kate nie może uwierzyć w winę długowłosego chłopaka z pralni. Nie wyobrażała sobie, by w taki sposób mógł postąpić z dziewczyną, w której był niedwuznacznie i romantycznie zakochany. Przychodził codziennie wieczorami do baru „U Freda”, gdzie obie dziewczyny pracowały, zamawiał piwo i godzinami wodził wzrokiem za Marilyn. Bo dziewczyna, którą zamordowano, miała na imię Marilyn. Często przynosił jej kwiaty. Marilyn podśmiewała się trochę z wielbiciela, ale traktowała go bardzo uprzejmie. Podobno imponowało jej, że ktoś zaleca się do niej w taki staroświecki sposób. Kate Malory także polubiła nieśmiałego chłopca i jak mogłem wywnioskować ze słów czarnej lady, chyba żałowała, że to Marilyn, a nie ona jest przedmiotem jego adoracji... Kiedy więc Marilyn została zamordowana, a wkrótce potem chłopca aresztowano, Kate nie mogła uwierzyć, że był sprawcą zbrodni...

— A teraz wierzy? — zapytałem, tłumiąc dyskretnie ziewnięcie. Chciałem, żeby baba nie pomyślała, że wykazuję poważniejsze zainteresowanie jej opowieścią.

— Teraz?! — czarownica była niezmordowana. - Teraz to ja nie wiem... Kiedy Kate zaczęła głośno mówić, że to chyba nie James zabił Marilyn, bo on proszę pana nazywał się James, James Hilton, przyszedł do niej sam szeryf Norton. Do pracy do niej przyszedł, do baru „U Freda”. Wywołał ją na zaplecze i długo z nią rozmawiał... Od tej pory panna Kate już nie opowiada, że nie wierzy w winę tego chłopaka... Ale - jej oczka znowu zabłyśły złośliwymi ognikami — jak pan widzi, boi się wpuszczać do mieszkania obcych mężczyzn..

Postanowiłem zdekonspirować się przed gadatliwą sąsiadką panny Kate. Dużo na tym nie traciłem. Rozmowa z szeryfem wykazała, że moje incognito od początku było fikcją. W jakiś niezrozumiały sposób miejscowi gliniarze wywąchali, że przyjechałem popsuć im robotę.

Pochyliłem się ku czarnej damie.

- A pani - zapytałem konfidencjonalnie - co właściwie pani myśli o tej historii?

Zesztywniała jakby obłana betonem. Wyraz jej oczek stał się nieufny i wrogi. Już się nie uśmiechała.

- Pan to pewnie glina, co?... Wyszczrzyłem zęby w szerokim uśmiechu:

- Proszę pani, czy ja wyglądam na glinę? Zawsze myślałem, że mam wygląd przyzwoitego człowieka...

- W takim razie gazeciarz? - Była w dalszym ciągu nieufna i nastroszona.

- Ani ze mnie glina, ani pismak. Zaraz się pani przedstawię...

Niespiesznie wyciągnąłem portfel, wydobyłem bilet wizytowy i wcisnąłem go do jej pulchnej łapy.

Podniosła bilet do oczu, przeczytała, obejrzała i prawie obwąchała. Na. mojej wizytówce wydrukowany jest taki tekst:

**George Quiryn Prywatny doradca Pewność! Szybkość! Zaufanie! Dyskrecja!**

Niektórzy koledzy po fachu upiększają bilety wizytowe rysunkiem szeroko otwartego oka. Na moich wizytówkach brak takiej ozdóbki. Wydaje mi się, że jest ona pretensjonalna i nie budzi zaufania klientów, którzy ukończyli już szkołę i z mleka przerzucili się na whisky.

- A więc prywatny tajniak...

- Coś w tym rodzaju...

- Nie lubię glin. Nawet prywatnych. Widzi pan, my kolorowi, nie ufamy białym policjantom...

Po raz pierwszy w tej rozmowie przypomniała sobie, że jest czarna i mówi do białego człowieka. Żalowała chyba, że wdała się ze mną w pogaduszki...

- Proszę pani - zapewniłem ją z możliwie maksymalnym natężeniem szczerości w głosie - dajmy spokój przesądom rasowym. Pani jest kobietą światową i ja' jestem facet światowy. Możemy się dogadać bez względu na to, jakiego koloru były nasze mamusie. Rzecz w tym, że muszę porozmawiać z panną Kate... To jest bardzo ważne, zwłaszcza po tym, co usłyszałem od pani...

- Dla kogo ważne? - Była dalej nieufna.

- Przede wszystkim dla Jamesa Hiltona. Są ludzie którzy tak jak panna Kate i... pani - podkreśliłem to z naciskiem — nie wierzą w winę tego chłopaka. Jemu trzeba pomóc...

- Skąd pan wie, że ja nie wierzę? - obruszyła się.

- Niech pani nie bierze mnie za skończonego naiwniaka. Po prostu ze sposobu, w jaki pani mi to wszystko opowiedziała.

- Co pan chce zrobić?

- Porozmawiać z panną Kate Malory. To w tej chwili. A tak w ogóle to chcę wyciągnąć Hiltona z tej historii...

- Dla kogo pan pracuje?

- Są tacy...

Znowu zniżyła głos do szeptu, a w jej oczkach zamigotały ogniki diabelskiej ciekawości:

- Czerwoni...? Wzruszyłem ramionami.

- Co też pani opowiada! Dlaczego czerwoni? Czy on w ogóle był czerwony?

- Był. Przecież spalił kartę powołania...

- To nie dowód. Nie każdy, kto nie chce dać się zabić na tej parszywej wojnie, musi być komunistą...

Nie dała się przekonać.

- Dobra, dobra. Niech już będzie, jak pan chce - uśmiechnęła się porozumiewawczo - ale mnie nie potrzebuje się pan pietrać. Mój stary - znowu zniżyła głos - też był czerwony... Wywalali go za to z każdej roboty...

Nie miałem zamiaru wdawać się w dyskusję polityczną. Chciałem po prostu, żeby mi pomogła. Zmieniłem więc temat.

- Panna Kate nie chce mnie wpuścić. Gdyby tak pani spróbowała wstawić się za mną...

- Czemu nie... Zaraz spróbujemy.

Podeszliśmy do drzwi. Najpierw zadzwoniła, a potem załomotała zaciśniętą pięścią. Zadudniło, jakby ktoś walił w afrykański tam-tam. Jednocześnie krzyknęła:

- Panno Kate! Niech pani otworzy! To ja, Suzane! Niech się pani nie boi!

Krzyczała tak głośno, że słysząc ją było z pewnością w całym domu, ale nie dało to żadnego rezultatu. Pani Suzane była wyraźnie zawiedziona.

Uśmiechnąłem się do niej i powiedziałem głośno i wyraźnie:

- Proszę pani, zrobimy tak. Teraz odejdę i odjadę. Panna Kate, która zapewne dobrze nas słyszy, może przez okno sprawdzić, że rzeczywiście odchodzę. Wtedy pewnie panią wpuści i będzie pani mogła jej wytłumaczyć, po co przyszedłem. Ja wpadnę znowu wieczorem. Dobrze?

Pani Suzane z aprobatą pokiwała głową. Wskazała na mieszkanie Kate Malory i nakreśliła palcem na czole maleńkie kółeczko.

Ukloniłem się i odszedłem. Nie oglądałem się za siebie. Słyszałem tylko, jak Suzane łomocze ponownie do drzwi i pokrzykuje do panny Kate.

Podszedłem do swego ramblera. Kiedy otwierałem drzwi, w wylocie ulicy ukazał się duży ciemny samochód z błyskową lampą na dachu. Wymalowane na burcie wozu białe litery głosiły:

„Holiday Beach. Urząd Szeryfa. Policja”

Wóz policyjny zahamował ostro tuż obok mego ramblera, drzwiczki otworzyły się gwałtownie. Dwóch wysokich facetów w mundurowych koszulach podeszło do mnie. Przy pasach dyndały im się pałki i kabury z ciężkimi rewolwerami. Policjant o mordzie wypasionego buldoga zuł intensywnie gumę i przyglądał mi się obojętnie. Policjant o chudej, pociągłej twarzy. ozdobionej wąsikiem a la David Niven, powolnym ruchem wydobył z kabury colta i wycelował go we mnie.

- Załóż ręce na kark.

Założyłem ręce na kark. Wtedy ten o buldogowatej gębie wprawnie obmacał mnie w poszukiwaniu broni. Nie znalazł. Nie miałem broni.

- Możesz opuścić ręce. Wsiadaj do wozu. Wsiadłem.

Schował colta, podszedł do mego samochodu, wsparł lewą rękę na masce i powiedział:

- Pokaż dokumenty...

Podąłem mu prawo jazdy i moją licencję.

Nawet nie rzucił na nie okiem, tylko niedbale wpakował je do kieszeni. Doskonale wiedział, kim jestem. Obszedł wóz, otworzył drugie drzwi i usiadł obok mnie. Zacuchnęło wodą kolońską i jakimś pachnidłem. Rozparł się wygodnie. Splótł dłonie na brzuchu i nie patrząc na mnie, powiedział:

- No, to dobra, jedziemy.

- Dokąd?

- Oczywiście do urzędu szeryfa. Mój kumpel pojedzie przodem, trzymaj się za nim.

Wyjąłem kluczyk ze stacyjki i wrzuciłem go do kieszeni.

- Nigdzie nie jadę. Nie macie prawa mnie tak zgarniać.

- Co ty powiesz? - zdziwił się uprzejmie. - Sądzę, bracie, że jednak pojedziesz. Jesteś zatrzymany do dyspozycji szeryfa.

- Nie macie prawa. Zanim się kogoś zatrzyma, trzeba mu powiedzieć, co się mu zarzuca...

- Masz rację - zgodził się chętnie - nie mam nic przeciwko formalnościom. Otóż dowiedz się, że przed kilkoma minutami dzwoniła do nas panna Kate Malory i skarżyła się na faceta, który siłą stara się wdrzeć do jej mieszkania. Tym facetem jesteś ty... Pewnie zostaniesz oskarżony o napastowanie samotnych dziewcząt. Za to można nieźle posiedzieć... Nie pogarszaj więc swej sytuacji przez stawianie oporu policji...

Postanowiłem nie pogarszać swojej sytuacji. Wyciągnąłem kluczyk z kieszeni i zapaliłem silnik.

\* \* \*

Fred O'Conolly, właściciel baru „U Freda”, poślinił wskazujący palec i przewrócił kolejną kartkę komiksu. Miał specjalny sposób czytania komiksów. Najpierw długo kontemlował obrazki na całej stronie i zupełnie nie zauważał napisów, a dopiero gdy miał dość oglądania, zabierał się do

studiowania „dymków”. Przedłużało to przyjemność obcowania z obrazkową literaturą. Fred O'Conolly z przyjemnością czytywał wszelkie komiksy, łącznie z historyjkami o Mickey Mouse i kaczorze Donaldzie. Miał jednak swoje ulubione rodzaje. Szczególnie chętnie oglądał specjalne komiksy „dla dorosłych”. Ten, który czytał teraz, należał właśnie do tego gatunku. Na kolorowych obrazkach kłębiły się półnagie i zupełnie nagie postacie, demonstrujące wyraziście podkreślone szczegóły anatomicznej budowy. Barwy były ostre i soczyste. Napisów w tym komiksie było mało. Dominowała akcja. Bohaterka utworu, panna Domicelle, była systematycznie gwałcona i torturowana przez gangsterów i cybernetyczne roboty. Demoniczny, łysy profesor IVAN, szef gangsterów i twórca robotów, z uciechą obserwował na ekranie ogromnego telewizora nieszczęścia Domicelli...

Oglądanie i lektura tak pochłonięły Freda, że nie zauważył, kiedy zjawiała się klientka. Dopiero gdy się odezwała, oderwał nieprzytomne oczy od fascynujących obrazków. Naprzeciwno, na wysokim barowym stołku siedziała młodzianka dziewczyna w bardzo opiętej bluzce z niezwykle śmiałym dekoltem. Fred chwilę nie mógł | oderwać oczu od tego dekoltu i w myśli porównał demon-stracyjnie odsłonięte wdzięki klientki z kształtami panny Domicelli z komiksu. Porównanie wypadło na niekorzyść klientki. Gdyby Fred zdolny był do refleksyjnych uogólnień, pomyślałby z pewnością, że i w tym wypadku życie nie dorównuje sztuce...

- Podaj mi podwójną whisky, Fred - rezolutnie poleciła dziewczyna — może być z lodem.

Fred O'Conolly uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Raczej polecałbym coca-colę albo sok grapefruitowy, panienko...

- Kiedy ja mam ochotę na whisky. Nie marudź, Fred. -Zabawnie przekrzywiła głowę i lekko przesunęła się na stołku, a jej nie podtrzymywane stanikiem piersi podskoczyły jakby żywe.

Wlepił w nią spojrzenie i w ostatniej chwili powstrzymał się przed oblizaniem koniuszkiem języka spierzchniętych warg. Zapomniał o Domicelli gwałconej przez roboty. Ta mała była zupełnie dobra. Zresztą zawsze tak uważał...

- Nie mogę pani podać whisky, panno Norton - powiedział przepraszająco - nie jest pani jeszcze pełnoletnia...

- Nie wyglądam na pełnoletnią? - Uśmiechnęła się zalotnie. - Przyjrzyj mi się, Fred...

Teraz już nie potrafił powstrzymać się od oblizania warg. Pochylił się w jej kierunku i nie odrywał oczu od biustu.

- Bardzo mi przykro, panienko - powiedział z prawdziwym żalem - pani oczywiście wygląda na pełnoletnią, ale ja wiem, że ma pani dopiero szesnaście lat...

- Siedemnaście...

- ...iw dodatku nazywa się pani Norton.

- I cóż z tego?

- Pani ojciec nie pochwaliłby mnie, gdybym podał pani whisky. Już by się postarał, żebym utracił licencję na sprzedaż alkoholu! Pani ojciec, panno Bobbie, jest surowym człowiekiem...

- Fred! Ty się naprawdę boisz mojego starego? – w słodkim głosiku Bobbie zadzwieczyła drwina. - Coś podobnego!

Fred pomyślał, że rzeczywiście boi się szeryfa Nortona. Przypomniał sobie rozmowę, jaką miał z nim przed godziną, i ogarnęła go wściekłość. Skąd, u jasnej cholery, mógł przypuszczać, że nie należy nikomu obcemu podawać adresu Kate Malory! Przybrał bardzo poważną minę powiedział:

- Nie o to chodzi, panno Norton. Szanuję i podziwiam pani ojca. Jesteśmy obaj członkami Legionu Amerykańskiego, ale nie o to chodzi. Przede wszystkim chodzi i prawo. Prawo naszego stanu zakazuje sprzedawania niepełnoletnim alkoholu o stężeniu powyżej czterech pół procenta. Prawo jest po to, żeby było przestrzegane. W tym leży siła Ameryki...

- Nie truj, stary! - Bobbie straciła wreszcie cierpliwość. - Wiem doskonale, że sprzedawałeś whisky i gin smarkulom o kilka lat młodszym ode mnie... Jeżeli już trzęsiesz się ze strachu, że ktoś może zobaczyć, podaj mi ją w jakiejś filiżance i zapraw coca-colą...

Fred wzruszył ramionami i westchnął ciężko.

- No dobrze, panno Norton. Zrobię to dla pani. Jest pani moją stałą klientką...

- No pewnie - roześmiała się już uspokojona - kupowałam u ciebie syrop klonowy, kiedy jeszcze nie odrosłam od ziemi. Pamiętasz, Fred? Sprzedawałeś mi syrop na kredyt...

Nalał solidną porcję whisky do filiżanki, dołał do pełna coca-coli i przesunął ku Bobbie naczynie. Starał się przy tym, aby jego palce zetknęły się z jej dłonią. A kiedy o się stało, poczuł, że przenika go przyjemny dreszcz. Dałby wiele, gdyby udało mu się zabrać z tą małą. Jest jeszcze bardziej pociągająca niż Marilyn, w którą godzinami wlepił ogłupiałe z miłości oczy chłopak z pralni.

Przypomniała mu się Marilyn, ale to było bardzo króciutkie przypomnienie. Natychmiast powrócił do rzeczywistości i spod półprzymkniętych powiek obserwował córkę szeryfa Nortona, podnoszącą do ust filiżankę z whisky zabarwioną coca-colą. Przylepiał wzrok do jej gładkiej, na czekoladowo opalonej skóry, kontemlował miękkie zagłębienia powyżej obojczyków, przewiercał spojrzeniem cieniutką zasłonę bluzki.

Dziewczyna powoli sączyła whisky, starając się nie zdradzić skrzywieniem ust, jak bardzo jej ona nie smakuje. Oczywiście, nieraz już w życiu piła alkohol, ale jakoś zupełnie nie potrafiła się w nim rozsmakować. Wydawał się jej wstrętny i palący. Whisky pozostawiała w ustach obrzydliwy posmak. W gruncie rzeczy po stokroć wolałaby napić się zwyczajnej coli czy słodkiego jak ulepek syropu klonowego, ulubionego przysmaku jej dzieciństwa. Jednak z determinacją sączyła zawartość filiżanki. Wyobraziła sobie miny ojca i matki, gdyby zobaczyli, co pije. Oczywiście, wcale nie pragnęła, aby drzwi baru otworzyły się i do środka wszedł kołyszącym, marynarskim krokiem szeryf Jimmy Norton albo wtoczyła się matka. W rzeczywistości bardzo bała się ojca i wolała z nim nie zadzierać. Matka też potrafiła być nieznośna. Bobbie na razie w zupełności wystarczała odegrana w wyobraźni scena odkrycia przewinienia wobec prawa stanowego i niewzruszonych zasad moralnych rodziców... Oto siedzi na wysokim barowym stołku, sączy whisky i pali papierosa.

Ojciec spogląda na nią groźnym wzrokiem i wyraźnie ma ochotę ściągnąć pas i zerznąć jej tyłek, matka w teatralnym geście załamuje obie ręce i zalewa się łzami. Ale Bobbie wcale się nie boi swoich starych. Na sąsiednim stołku siedzi facet o posturze Tarzana. Jedną ręką również trzyma szklaneczkę, drugą obejmuje Bobbie. Więc Bobbie może lekceważyć ponure spojrzenie ojca i mieć w nosie lamenty matki. Tarzan, jej Tarzan, z pewnością nie pozwoli skrzywdzić swej dziewczyny... Jest zupełnie bezpieczna... Bobbie wierzy, że niedaleki jest dzień, kiedy ta wizja stanie się rzeczywistością. Już wkrótce wyrwie się spod żelaznej ojcowskiej kurateli, raz na zawsze zapomni o surowej, purytańskiej atmosferze domu rodzinnego, o modlitwach przed jedzeniem, o nudzie wlokących się niemilosiernie niedzielnych nabożeństw w kościele baptystów i stale rozbrzmiewających w domu donośnych hymnów kościelnych. Matka ma dwie płyty z hymnami i słucha ich od rana do wieczora...

Wszystko to skończy się niedługo. Bobbie Norton jest już zdecydowana poderwać jakiegoś odpowiedniego tarzana i zanurzyć się po uszy w piękne, kolorowe życie, znane dotychczas z lektury tygodnika „Poznajmy się”, którego jest prenumeratorką... Oczywiście, ani ojciec, ani matka nie wiedzą o „Poznajmy się”. Tego rodzaju czasopismo nie może pojawiać się w domu Nortonów. Bobbie prenumeruje je na poste restante. Co środę chodzi na pocztę i odbiera starannie zaklejoną żółtą kopertę, na której wypisane jest jej nazwisko. Na kopercie nie ma adresu nadawcy ani żadnego nadruku. Nawet panienska wydająca w pocztowym okienku listy nie ma zielonego pojęcia, co zawiera żółta koperta. Po powrocie do domu Bobbie ukrywa kopertę pod poduszką panińskiego łóżeczka. Potem, w nocy, kiedy rodzice już śpią, wydobywa kopertę z ukrycia, wyciąga z niej kolorowe czasopismo długie godziny spędza na rozkosznej lekturze. Wielokrotnie czyta każdy artykuł i każde ogłoszenie, bardzo długo studiuje ilustracje, jakby je chciała na zawsze zapamiętać. Bo Bobbie nie kolekcjonuje przeczytanych numerów. Niszczy je starannie już następnego dnia. Matka Bobbie jest ogarnięta pasją porządkowania. Bez przerwy w poszukiwaniu kurzu i nieistniejących pajęczyn myszkuje po wszystkich kątach. Odkurza książki Bobbie, układa płyty, porządkuje jej szuflady. W całym domu nie ma zakamarka, do którego by wcześniej czy później w swej zajadłej pasji niszczenia kurzu nie dotarła. Dlatego Bobbie nie może przechowywać starych numerów „Poznajmy się”.

I ten numer, który spoczywa teraz w torbie plażowej, już jutro rano zostanie podarty na drobne strzępki, które Bobbie utopi w klozecie.

Wzrok dziewczyny pada na rozłożony na ladzie baru komiks, który Fred O'Conolly czytał, gdy weszła.

- Pokaż, co tam masz ciekawego... - uśmiecha się do Freda zalotnie i wyciąga rękę po komiks.

Doskonale wie, że podoba się obleśnemu rudzielcowi, i nie sprawia jej to przykrości. Już dawno, chyba przed dwoma laty, zauważyła, w jaki sposób wpatruje się w nią ten mężczyzna. Dostrzegła jego z trudem ukrywane podniecenie, zauważyła, że kiedy wydaje resztę, jego palce



nieprzypadkowo stykają się z jej dłonią, widziała czubeczek języka odruchowo zwilżający jego grube wargi, gdy niby od niechcenia przyjmowała pozę zapamiętane ze zdjęć w „Poznajmy się”...

Fred zawahał się przez chwilę. Niespokojnie zerknął w stronę drzwi - nikogo nie zauważył - i niedbałym ruchem przesunął komiks w kierunku dziewczyny.

Przyjrzała się obrazkom. Poczula na plecach i karku falę gorąca. Wrażenie było mocne. Podejrzewała, że lektura rudego Freda zawiera coś pieprznego, ale to, co zobaczyła, przekroczyło granice oczekiwania. Obrazki były nieprzyzwoite, były także okrutne. Poczula się nieswojo. Zerknęła na Freda. Wpatrywał się w nią intensywnie, a jego zmrużone oczy przybrały bardzo osobliwy wyraz.

- Podobało się? - zapytał lekko schrypniętym głosem. - To jest komiks dla dorosłych, panienko - dodał wyjaśniająco i uśmiechnął się kącikami warg.

Pomyślała nagle, że nie miałyby nic przeciwko temu, aby oprócz niej i rudzielca w pustym barze znalazł się ktoś jeszcze... Starła się dodać sobie pewności ironicznym uśmieszkiem i sięgnęła ponownie po odstawioną przed chwilą filiżankę...

\* \* \*

- Zdejmuj pasek. Wyciągaj sznurowadła...

- Fajnie mieszkacie, chłopcy - powiedziałem wesoło i rozejrzałem się po pomieszczeniu, do którego mnie wprowadzono.

Schludnie tam było i przyjemnie. Na ścianie wisiało rzeźbione w dębowym drewnie godło państwowe, w kącie stał niebiesko-biało-czerwony gwiazdzisty sztandar mojej ojczyzny. Było tam jeszcze biurko z dwoma telefonami i trzy krzesła. Okno okratowane. Jedne drzwi były normalne, z czarnych dębowych desek, w drugich, okutych blachą, umieszczono maleńkie okienko zaciągnięte gęstą siatką stalową.

Policjant o mordzie buldoga nie znał się na żartach ani na grzeczności. Nie powtórzył polecenia, tylko spojrział zimno i znacząco położył dłoń na uchwycie dyndającej u pasa pały. Z jego twarzyczki wyczytałem przeogromne pragnienie, abym spróbował stawiać opór. Postanowieni nie dać zakosztować mu tej przyjemności. Nie zasłużył sobie na to.

- Dobra, dobra - powiedziałem uspokajająco i rozpocząłem rozpinać pasek.

Sprawilem mu wyraźny zawód. Nie stracił jednak całkiem nadziei, że może mimo wszystko zaczną się stawiać. Wyciągnął z pokrowca pałkę i demonstracyjnie zaczął się nią bawić. Drugi policjant, ten z nivenowskim wąsikiem, zasiadł za biurkiem i coś pracowicie wpisywał długopisem do wielkiej księgi w płóciennej oprawie.

Kiedy przenikliwie zadzwonił telefon, nie spiesząc się, podniósł słuchawkę i wyrecytował znudzonym głosem:

- Holiday Beach. Urząd szeryfa... przy telefonie sierżant Mac Kenzie... - Przez chwilę słuchał uważnie głosu płynącego ze słuchawki, zerknął na mnie i powiedział: -Właśnie go przytargaliśmy, szefie... Nie stawiał oporu.

Zamilkł, przez jakiś czas słuchał, co do niego mówiono, potem odłożył słuchawkę. Wstał, podszedł do okna i zaczął przez nie wyglądać.

Powoli wywlekałem sznurowadło z prawego buta. Znowu zadzwieczał telefon. Sierżantowi nie chciało się podchodzić do biurka. Mruknął do tego z gębą buldoga:

- Odbierz.

Buldog podniósł słuchawkę lewą ręką i zamruczał do niej sakramentalną formułkę:

- Holiday Beach. Urząd szeryfa... - w prawej ręce ścisnął nadal pałę i nie spuszczał ze mnie rozmaślonego spojrzenia. - Nie ma szefa, proszę pana - powiedział i spojrzał w stronę Mac Kenziego - jest za to sierżant Mac Kenzie... Tak... zaraz go poproszę - odsunął słuchawkę od ucha, przycisnął jej mikrofon do mundurowej koszuli i rzucił półgłosem:

- Pan Halifax chce z tobą porozmawiać... Sierżant podszedł do biurka i przejął słuchawkę.

- Dzień dobry panu - powiedział. - Szef właśnie telefonował przed chwilą... Powiedział, że niedługo wraca do biura... Wtedy do pana zadzwoni... A jeżeli chodzi o tę sprawę - jego wzrok powędrował w moim kierunku -to właściwie wszystko jest załatwione... Tak, na pewno już nie będzie więcej przeszkadzał...

Bardzo mi się ta rozmowa nie spodobała. Wywlokłem drugie sznurowadło. Udawałem, że coś poprawiam przy bucie. Policjant podszedł i trącił mnie końcem pałki w nachylony kark. Wyprostowałem się i podałem mu pasek i sznurowadła. Niedbale rzucił je na biurko i wskazał mi drzwi z osiatkowanym okienkiem. Podeszliśmy do nich. Płaskim kluczem z wielką ilością skomplikowanych wycięć otworzył zamek, odemknął drzwi i wepchnął mnie do sąsiedniego pokoju. Usłyszałem za sobą trzaśnięcie, chrobot przekręcanego klucza, a jednocześnie głos sierżanta rozmawiającego przez telefon z panem Halifaxem urwał się jakby ucięty tasakiem.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu, w którym mnie zamknęto. Też było przytulne i schludne. Małe okienko bez szyb, ale za to bardzo pięknie okratowane dostarczało trochę światła i mnóstwa rozżarzonego upałem powietrza. Ściany były starannie pobielone najdalej przed, trzema laty, a piękny wysoki kibel na środku betonowej podłogi stanowił interesujący akcent dekoracyjny. Po jego blaszanej pokrywie, z której płatami łuszczyła się ciemnozielona farba, spacerowały odpasione muchy. Całość umeblowania uzupełniały dwie prycze z sosnowych desek. Na jednej leżał mocno obrośnięty facet w bliżej nie określonym wieku.

- Witaj, bracie - powiedział nie unosząc głowy ani o milimetr - witaj w Holiday Beach. Nasze plaże i nasze morze jest do twojej wyłącznej dyspozycji. Ceny umiarkowane, komfort i pogoda gwarantowane...

Usiadłem ciężko na wolnej pryczy. W celi było tak nieprawdopodobnie duszno i gorąco, że natychmiast zlałem się potem. Ściągnąłem marynarkę i rzuciłem ją obok siebie.

- Bardzo słuszne posunięcie - powiedział człowiek leżący na pryczy - ale koszuli nie ściągaj. Bez koszuli pożrą cię moskity... Mamy ich tu do licha i trochę. Też atrakcja turystyczna...

Wydobyłem z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnąłem ją w kierunku sąsiada. Nie przyjął poczęstunku.

- Nie używam - powiedział - dbam o swoje cenne zdroweczko. Jedni dbają o sławę, inni o konto bankowe ja dbam o zdrowie... Takie już mam hobby... Po prostu.

- Za co cię zapudlili?

- A ciebie?

- Za niewinność - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - Może ci się wydawać, że zalewam, ale naprawdę ani o włos nie przekroczyłem żadnego prawa. Przymknęli mnie zupełnie bezpodstawnie...

- Czemu mam ci nie wierzyć? - Usiadł gwałtownie na pryczy i dopiero teraz mogłem mu się dobrze przyjrzeć. - To specjalność policji w tym mieście. Oni uwielbiają zamykać za niewinność. To takie hobby tutejszego szeryfa...

Był młody. Znacznie młodszy, niż mi się to wydało w pierwszej chwili. Mocna opalenizna wskazywała, że niezbyt długo przebywa w areszcie.

- Ciebie też wsadzili za niewinność? - zapytałem, mordując pierwszego moskita, który pojawił się nie wiadomo skąd i natychmiast przyssał mi się do policzka.

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dwa rzędy błyszczących zębów.

- Wyobraź sobie, że tak. Nie mogli mnie tu dłużej znieść, więc zamknęli za włóczęgostwo. Właściwie w tutejszym prawie nie ma odpowiedniego paragrafu, ale szeryf powiada, że będę odpowiadał według prawa zwyczajowego. Obiecuje mi miesiąc karnych robót...

- Dlaczego im podpadłeś?

Zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Nie podobało im się moje hobby, właśnie to, że tak bardzo dbam o zdrowie...

Roześmiałem się.

- Naprawdę nie zalewam. Już kilka lat temu doszedłem do wniosku, że trzeba dbać o zdrowie, a nic tak nie wyniszcza organizmu jak nadmierna praca... Naturalnym stanem człowieka jest lenistwo. Spójrzmy na przykład na mieszkańców wysp Pacyfiku. Są zdrowi i szczęśliwi dlatego, że nie pracują. Żyją zgodnie z naturą...

- Ciekawy pogląd...

- Postanowiłem więc, że będę dbał o zdrowie, żył, w zgodzie z naturą i nigdy się nie przepracuję... Tylko ten cholerny klimat na północy... I strzeliło mi do głowy, żeby spróbować szczęścia na południu. Przywędrowałem aż tutaj...

- I tu się nie spodobałeś?

- Jakbyś zgadł. W sezonie, kiedy tu pełno turystów, jakoś nie zwracali na mnie uwagi. To umyłem samochód, to pomogłem przy bagażach, to poderwałem jakąś forsiastą starszą babeczkę, bo wyobraź sobie, one na mnie lecą, i żyłem sobie jak w raj. Ale zaczęły się te nieznośne upały i moskity dały w kość turystom. Wynieśli się w chłodniejsze okolice, sezon się skończył... I wtedy zauważyli mnie miejscowi. Wpadłem im w oko... Nie mogli mi darować, że nic nie robię i gwizdzę

sobie na wszystko. Tu na co dzień to jest bardzo porządnie, pracowicie i bardzo amerykańsko... W starym stylu oczywiście. Każdy aż wyłazi ze skóry, żeby zarobić kilka dolarów... Odpoczywać też zupełnie nie umieją... Po pracy, zamiast uczciwie poleżeć na słońcu, krzątają się nadal... Naprawiają samochody, przystrzygają trawę w ogródkach, sami remontują swoje domki... E - parsknął z niekłamanym wstrętem - rzygać się chce!

- I zamknęli cię za włóczęgostwo?

- Nie tak zaraz... Najpierw usiłowali mnie nawrócić.; Potem dali spokój, ale tak naprawdę to podpadłem im, zanim capnęli tego zboczeńca...

- Jakiego zboczeńca?

- Był tu taki chłopak. Naraził się Legionowi Amerykańskiemu, bo spalił swoją kartę powołania. Zupełnie dorzeczny gość, choć nie umiał dbać o zdrowie...

- Pracował?

- W pralni. Ktoś załatwił jedną dziewczynę. Zrobił się; straszny szum. Najpierw mnie zamknęli, dali w kość i chcieli, żebym się przyznał... Kiepsko już ze mną było. Miałem wprawdzie alibi, ale powtarzali, że niewarte funta kłaków. Na moje szczęście bardziej pasował im ten chłopak z pralni. W końcu wsadzili jego, a mnie dali kopa w tyłek i wyrzucili na ulicę. Ale mieli już na mnie baczenie... Napyskowałem jednemu ważnemu typowi, który próbował mnie umoralniać... Wczoraj mnie zwinęli i szeryf zasuwa, że będę odpowiadał za włóczęgostwo. Według prawa zwyczajowego. Dobrze i to. Kiedy mnie tu wlekli, bałem się, że im nie wyszło z tym z pralni i znowu chcą mnie zrobić w tę zarzniętą dziewczuchę... Muszą przecież mieć jakiegoś winnego, nie?...

Pokiwałem ze zrozumieniem głową, zapaliłem nowego papierosa i spróbowałem ułożyć się na pryczy. Była twarda jak wszyscy diabli. Zwinąłem marynarkę i podłożyłem ją pod głowę. Spodobał mi się ten chłopak, który miał takie dziwne hobby. Robił wrażenie bystrego gościa. Pomilczałem więc przez chwilę, a potem zapytałem:

- Jak tu żyją w tej dziurze?

- Mówiłem. Rzygać się chce. Głęboka prowincja, bracie. Jak tylko mnie wypuszczą, zmieniam klimat. Nie nadaję się do tutejszych ludzi. Będę próbował w Kalifornii. I to nie w takiej dziurze jak ta, gdzie wszyscy się znają i przez cały czas jesteś jak na patelni...

- Kto tu wszystkim kręci?

- Paru facetów z Legionu Amerykańskiego. Należą do niego wszystkie miejscowe szychy - szeryf, członkowie rady miejskiej... co ważniejsi obywatele...

- Kto to jest niejaki Halifax?

- Znasz go?

- Słyszałem to nazwisko...

- To taki miejscowy Rockefeller, bracie. Ma pół miasteczka w kieszeni, największą w okolicy farmę z krokodylami, lunapark i kupę domów... Za same czynsze musi strzelać co miesiąc niezłą forszę... Oczywiście też jest w Legionie i w radzie miejskiej... Twardy gość. Tak naprawdę to on tu

jest najpierwszy. Ważniejszy od szeryfa i od całej rady miejskiej... Okropna świnia z niego, bracie... ale prawdę mówiąc, powinienem mu być wdzięczny, i to do grobowej deski, ale jakoś dziwnie nie potrafię... Widać mam już taki paskudny charakter...

- Za co miałbyś mu być wdzięczny?

- Słyszałem, że to on namówił jednego faceta, właściciela baru, gdzie pracowała ta zamordowana kelnerka, aby pobiegł do szeryfa z donosem na chłopaka z pralni... Podobno ten z baru zupełnie prywatnie powiedział Halifaxowi, że słyszał, jak chłopak z pralni umawiał się z nią... Powiedział to tak sobie, jako ciekawostkę... Halifax naskoczył na niego i facet z baru pobiegł w te pędy do szeryfa wypełnić swój obywatelski obowiązek. Chłopaka z pralni związali, a mnie wykopsali z kicia. Teraz znowu siedzę... Gdy tylko wyjdę, zmywam się i ląduję w Kalifornii. Tam też jest niezły klimat, a ludzie podobno bardziej dorzeczni... - Zamilkł, odwrócił się tyłem i po chwili zaczął gwizdać, wyciągając tym gwizdaniem jakąś karkołomną melodię.

Pomyślałem sobie, że z przyjemnością pokręciłbym się koło pana Halifaxa. Facet mnie zainteresował. Z tego, co przed chwilą usłyszałem w sąsiednim pokoju, mogłem wywnioskować, że zainteresowanie było wzajemne. Różnica była tylko taka, że ja jeszcze pół godziny temu w ogóle nie wiedziałem o istnieniu pana Halifaxa, natomiast on, jak wszystko na to wskazywało, interesował się mną od pewnego czasu, a nawet postarał się, abym znalazł się w areszcie...

\* \* \*

Stan Oliver Halifax zatoczył się gwałtownie. Przez chwilę nie mógł złapać oddechu, a na czoło wystąpiły mu maleńkie kropelki potu. Uderzenie bólu, choć zapowiadane od rana narastającym uciskiem w skroniach, było - jak zawsze - niespodziewane i nagłe. Poczul, jakby ostry sztylet przewiercił mu czaszkę, a potem szybko przeniknął w głęb kręgosłupa. Halifax odniósł wrażenie, że w głowie nastąpiła eksplozja, a mózg rozpryskuje mu się na tysiące kawałków, z których każdy jest czymś niesłychanie bolesnym... Paroksyzm trwał króciutko. Tylko kilka sekund. Ból szybko ustąpił, pozostawiając po sobie odrętwienie karku i skóry na głowie, ale ciemne mroczki, które pojawiły się przed oczami, nie chciały zniknąć. Stan Oliver Halifax nie miał wątpliwości, że następne uderzenie przyjdzie najdalej za kwadrans, a po nim kolejne oraz że dzielące je odstępy będą się kurczyły i jeżeli nie uda się do doktor Fletcher, będzie już tylko ból, który przemieni go w pozbawione świadomości zwierzę. Jeszcze później pojawią się przywidzenia i majaki, intensywne, kolorowe i tak przerażające, że samo ich wspomnienie będzie go potem napawać grozą i wstrętem...

Odłożył słuchawkę telefoniczną. Rozmowa z mecenasem Corneliussem Fordem, rozmowa, na której mu tak bardzo zależało, stała się nagle czymś nieważnym. Zapomniał, jak bardzo niepokoił się o wynik misji zleconej Fordowi. Obchodziło go już tylko jedno: czy doktor Fletcher przyjmie go szybko. Pomyślał, że trzeba było znacznie wcześniej, tak jak radziła Lucille, zamówić wizytę...

Podniósł się z krzesła i ruszył w kierunku drzwi. Stąpił ostrożnie, jakby się bał, że każdy gwałtowniejszy ruch wywołać może nowy paroksyzm nieznośnego bólu... Wszedł do pokoju, w którym siedziała Lucille Ambler.

Jeden rzut oka wystarczył dziewczynie, aby zrozumieć, że to, na co czekała, wydarzyło się. Poczula narastającą złość. Ostatecznie rozwiła się szansa spędzenia dwóch rozkosznych godzin w towarzystwie nowego wcielenia Drakuli... Oczywiście, nie dała po sobie poznać, jak jest wściekła. Lucille była rozsądną dziewczyną i wiedziała, że właśnie w takich momentach do jej obowiązków należało wykazywanie maksimum troskliwości o szefa. Przybrała zatroskany wyraz twarzy i powiedziała:

- Zamówiłam jednak wizytę u doktor Fletcher. Możemy zaraz jechać...

Stana Olivera Halifaxa ogarnęło uczucie ulgi. Jednocześnie poczuł się nieco urażony. Ta nieznośna smarkula znowu zadecydowała za niego. Zamówiła wizytę wbrew wyraźnemu poleceniu... Powinien zmyć jej solidnie głowę... Skrzywił się, jakby połknął coś wyjątkowo niesmacznego. Na tym się jednak skończyło. Świadomość, że doktor Fletcher czeka, była pocieszająca. Stan Oliver Halifax szybko pogodził się więc z samowolą pięknej sekretarki.

- W porządku. Jesteś dobre dziecko – powiedział usiłując się uśmiechnąć - na przyszłość wolałby jednak...

Chciał powiedzieć, aby w przyszłości nie przejawiał tak daleko idącej samodzielności decyzji, ale zrezygnował. Mina Lucille wyrażała tyle szczerzej troski, że ni miał serca czynić jej wyrzutów.

- Słucham, szefie...

- Nic. Dobrze się stało, że zamówiłaś wizytę... Wyprowadź wóz... ale poczekaj - ożywił się nagle. - Spróbuj jeszcze zadzwonić do mecenasa Forda...

- Już idę po wóz - powiedziała Lucille.

Gdy zamykała za sobą drzwi, Stan Oliver Halifax siadał przy biurku i sięgał po słuchawkę.

Na zewnątrz ogarnęła ją fala upału. Słońce stało wysoko, na niebie nie było ani jednej chmurki, powietrze przesyciła wilgoć i oddychanie sprawiało pewne trudności. Szybko pobiegła do garażu i wyprowadziła samochód. Podjechała pod drzwi wejściowe. Wóz szefa był klimatyzowany, ale urządzenie działało tylko w czasie jazdy. Na razie we wnętrzu panowało nieznośne gorąco. Szeroko otworzyła drzwi i czekała zagryzając z niecierpliwości wargi. Oby wreszcie stary skończył z tym swoim telefonowaniem!... Chciała już jechać...

- Lucille... - znajomy głos zabrzmiał obok niej.

To był Patrick. Jak zwykle w ciemnych okularach, jak zwykle z nieodłączną książką w ręku. Pomyślała z satysfakcją, że dotychczas właściwie nigdy nie zdarzyło się, by do niej zagadał. Okazało się, że taktyka przyjęta dziś była nadspodziewanie skuteczna. Uśmiechnęła się przeprasza.

- Nie widziałam, jak podchodziłeś, byłam trochę zamyślona...

- Wybierasz się gdzieś?

- Wiozę twojego ojca do doktor Fletcher.

- A... - pokiwał głową ze zrozumieniem - znowu atak...

- Tak, na to wygląda...

Pomilczeli przez chwilę, a Lucille nie mogła oderwać wzroku od smukłej sylwetki chłopaka. Patrick nieśmiałym ruchem poprawił ciemne okulary i zapytał niezbyt pewnie:

- Znasz doktor Fletcher... Jaka ona jest?

Wzruszyła ramionami.

- Mnie się nie podoba. Wygląda na starą wydrę... Ale potrafi pomóc szefowi. Opuszcza jej gabinet jak nowo narodzony... Sam zresztą wiesz...

- Wiem - powiedział - nie bardzo tylko rozumiem, na czym to polega... Ojciec leczył się u tylu innych lekarzy i nie dawało to większych rezultatów, a ta kobieta potrafi mu pomóc. Kilka razy próbowałem wypytać ojca, jakie metody stosuje doktor Fletcher, zbywał mnie jednak zawsze byle czym...

Lucille także była ciekawa kuracji stosowanej przez panią doktor i także kilkakrotnie zagadywała szefa na ten temat. I podobnie jak Patrick niczego się nie dowiedziała. Stan Oliver Halifax trzymał język za zębami, Lucille nie zamierzała jednak przyznać się Patrickowi, że de ma zielonego pojęcia o przebiegu seansu w gabinecie doktor Fletcher. Wyjaśniła więc z całą powagą:

- No cóż, twój ojciec niezbyt lubi o tym rozmawiać, ale jak zrozumiałam z tego, co opowiadał, leczenie wygląda mniej więcej tak: Stan układa się wygodnie na kanapce opowiada jej swobodnie o swoich problemach, o tym, co o gnębi... Doktor Fletcher - Lucille dała się ponieść wyobraźni - stosuje też trochę hipnozy. Stan otwiera przed nią swoją duszę, wypowiada głośno wszystko, co o gnębi i boli.

- Sądysz, że mówi jej wszystko? Absolutnie wszystko?

- Nie wiem. Ale chyba powinien to robić... Mam nadzieję, że to robi. Nie można oszukiwać swego psychoanalityka! - oświadczyła z powagą.

Ostatnie zdanie wydało się jej szczególnie głębokie, pilnie obserwowała, jakie wrażenie wywarła na Patricku. Ale nic nie mogła wyczytać z jego twarzy. Jakże ten chłopak potrafi być kamiennie nieprzenikniony! Miała jednak nadzieję, że zdoła go rozruszać! Rezultaty osiągnięte w ciągu dzisiejszego dnia były przecież bardzo obiecujące! Humor Lucille Ambler z każdą chwilą ulegał wyraźnej poprawie. Pal diabli Drakule! - pomyślała. Ważniejsze, że ten chłopak zaczął ją wreszcie dostrzegać. Wprawdzie czuła, że ma przed sobą jeszcze daleką drogę, ale zaczęła wierzyć, że ją przebędzie...

Patrick jeszcze raz poprawił okulary i powiedział cichym głosem, który zabrzmiał jednak w uszach dziewczyny jak głośny i radosny hymn triumfu:

- Szkoda, że się to dziś zdarzyło... że musisz jechać ze starym. Miałem właśnie zamiar zaproponować ci, byśmy gdzieś razem wyskoczyli...

Nie zdążyła odpowiedzieć. W drzwiach biura ukazał się Stan Oliver Halifax. Był bardzo blady i chwiał się leciutko. Drugie uderzenie bólu przyszło szybciej, niż się spodziewał. Patrick podbiegł i ujął ojca pod rękę. Stan Oliver Halifax otrząsnął się niemrawo, odsunął syna i chwiejnym krokiem

ruszył do samochodu. Lucille, nie czekając, aż wsiądzie, włączyła silnik. Jeden rzut oka wystarczył, by ocenić sytuację. Trzeba się było spieszyć. Atak zaczynał się na dobre.

\* \* \*

Pozbawione paska spodnie opadały mi z bioder. Podtrzymywałem je i wpatrywałem się w szeryfa, usadowionego wygodnie w fotelu za biurkiem. Z jego wyblakłych oczu nie mogłem niczego wyczytać.

- Siadaj sobie wygodnie. - Leniwym kiwnięciem wskazującego palca prawej ręki pokazał mi krzesło. - Rozmowa będzie długa. Ciężko gada się na stojąco...

Usiadłem.

- No i dograłeś się — zauważył obojętnie - rano prosiłem, żebyś dał nam spokój i pojechał sobie do wszystkich diabłów...

- Szeryfie - odpowiedziałem spokojnym, zrównoważonym tonem - protestuję przeciwko bezprawiu, którego się wobec mnie dopuszczono...

Coś w rodzaju uśmiechu przewinęło się po jego wargach.

- Dobra. Przyjmijmy, że już zaprotestowałeś. Doskonale wiem, co chcesz powiedzieć. Nie warto strześcić języka po próżnicy. Porozmawiajmy lepiej poważnie. Napijesz się coli?

Skinąłem głową. Już od dawna pragnąłem się czegoś napić. Wargi miałem spieczone, a gardło wyschnięte.

Podniósł się z fotela, podszedł do lodówki i wyciągnął z niej dwie butelki coli. Otworzył je, jedną butelkę podał mnie, drugą przyłożył do ust. Pił przechylając głowę do tyłu. Wydatna grdyka drgała mu przy tym równomiernie.

Ja też piłem chciwie. Wydudliłem naraz z pół butelki. Zimny gazowany płyn orzeźwił znakomicie. Byłem gotowy do pojedynku z szeryfem.

- Dobra - powiedział wrzucając butelkę do kosza na śmieci w drugim końcu pokoju - popiliśmy sobie, teraz możemy rozmawiać. Otóż chcę ci powiedzieć, że bardzo mi się nie podobasz.

- Dlaczego?

- Przyjechałeś łowić ryby w mętnej wodzie...

- Nie rozumiem, szeryfie...

- Daj spokój, kochasiu, rozmawiajmy poważnie. Przyjechałeś, żeby nam popsuć robotę. A nikt nie lubi, kiedy mu się miesza. No nie?

W głębi ducha przyznawałem mu rację. Rzeczywiście, któż to lubi? Nie uważałem jednak za wskazane powiedzieć o tym szeryfowi. Powtórzyłem więc tylko z uporem:

- Nie rozumiem, dlaczego zostałem zamknięty. Nie łamałem żadnego prawa, nie przekroczyłem żadnego przepisu. Dopuszczono się wobec mnie bezprawia... Jako rolny obywatel Stanów Zjednoczonych, protestuję gorąco...

Przerwał mi leniwym machnięciem ręki.



- Powiedziałem już, że przyjąłem do wiadomości wszystkie twoje protesty. Chcę, synu, pogadać z tobą poważnie... Przedstawię ci sytuację z mojego punktu widzenia. Żyjemy tu sobie spokojnie. Różni są u nas udzie. Lepszy, gorszy, jak wszędzie. W każdym razie za dużo roboty nie mam... Czasem jakaś rozróbka, czasem ktoś okradnie turystów, czasem turysta się upije i zrobi awanturę. Ot, takie zwyczajne duperełki... Tak było do niedawna. Ale potem ktoś zamordował Marilyn Stocker. Paskudnie ją załatwił. Nie będę ci mówił o szczegółach... ale były naprawdę paskudne. Czegoś takiego nie widziałem jeszcze, choć żyję prawie sześćdziesiąt lat. Po prostu nie mogłem uwierzyć, żeby to zrobił ktoś miejscowy... I rzeczywiście. Potem okazało się, że była to robota obcego... przybłądy. Przyjechał do nas przed dwoma laty i pracował w pralni. Muszę ci powiedzieć, że wszyscy odetchnęliśmy, gdy się okazało, że to on, a nie ktoś z nas. Tu się wszyscy znają i byłoby cholernie przykro, gdyby prawda była inna i wyszło na to, że jeden z nas zdolny był do czegoś podobnego. Odstawiliśmy mordercę do Miami, do dyspozycji prokuratury okręgowej, zebraliśmy dowody... Rozprawa przed sądem przysięgłych wyznaczona jest na poniedziałek. Powoli zapominamy już o tej cholernej sprawie. Aż tu masz, babo, placek, zjawiasz się i chcesz wszystko rozpętać na nowo... - Zamilkł i spojrzał na mnie z wyrzutem. - Tak nie można, synu. Sprawa jest zamknięta. Nic tu nie wywieszysz...

- A nie przyszło panu, szeryfie, do głowy - powiedziałem cicho - że może ten facet z pralni jest niewinny? Że ten zboczeniec, który rzeczywiście zabił, przyczaił się tylko i będą nowe ofiary? Tacy jak on nigdy nie poprzestają na jednym morderstwie. To jest reguła, szeryfie. Od niej nie ma wyjątków...

Po raz pierwszy popatrzył na mnie z pewnym zainteresowaniem.

- Mylisz się, synu. Nie będzie nowych ofiar. Sprawa jest skończona. Zamknęliśmy właściwego człowieka. James Hilton jest winny jak wszyscy diabli... A ty żerujesz na ludzkiej naiwności i nieszczęściu. I dlatego mi się nie podobasz. Rozumiesz, o co chodzi?

- Nie rozumiem, szeryfie...

- Dobra. Jeżeli tak bardzo chcesz, powiem ci, co o tobie myślę. Jesteś cholernym, zapieprzonym draniem. Ten Hilton ma siostrę, która mieszka w Nowym Jorku. Nie znam jej. Być może to porządna dziewczucha. Nie wiem. Nie uwierzyła w winę Jamesa. Jej prawo. Nawet to ładnie o niej świadczy. Bo co to by była za siostra, która by z miejsca uwierzyła, że jej braciszek jest zboczeńcem i wypruwa flaki innym dziewczętom? Ta siostra wynajęła ciebie, żebyś przyjechał do nas i pomieszał śledztwo. I ty się zgodziłeś, żeby zarobić kilka dolarów. To będą bardzo paskudnie zarobione dolary. Ograbisz dziewczynę, wyżyłujesz ją do ostatka, nam tu zamącisz, sprawisz porządnym ludziom wiele kłopotów, a James Hilton i tak się nie wywinie od fotela... Bo on jest po prostu winien i ty o tym doskonale wiesz... Jesteś za cwany na to, żeby nie orientować się, jak rzeczywiście sprawy stoją...

Nie potrafiłem zrozumieć, skąd szeryf z Holiday Beach wie o Mary Hilton, o tym, że pracuję dla niej. Nie mówiłem o tym nikomu ani słowa... Z Mary Hilton rozmawiałem ostatni raz przed

pięcioma dniami... Co zdarzyło się w tym czasie? Komu zwierzyła się Mary Hilton? Tylko ona mogła być źródłem przecieku...

- Szeryfie - powiedziałem - wysłuchałem pana spokojnie, więc teraz niech pan mnie wysłucha. Zakłada pan, że jestem drańskim cwaniaczkim, który próbuje oskubać naiwną panienkę. A jeżeli tak nie jest? Jeżeli rzeczywiście wierzę w niewinność Jamesa Hiltona? Dlaczego pan nie pozwala mi przekonać się, jak jest naprawdę? Jeżeli James Hilton jest winien i prokuratura rozporządza niezbitymi dowodami przeciwko niemu, to choćbym stanął na głowie, nic nie potrafię zmienić. A jeżeli jednak okaże się, że jest niewinny...

- Jest winny.

- Przysięgli jeszcze nie wydali werdyktu Ma prawo do obrony. Chcę zebrać wszystko, co może świadczyć na jego korzyść...

- Hilton będzie miał uczciwy proces.

- Nie wątpię. Być może jednak w śledztwie przeoczono coś, co mogłoby skłonić przysięgłych do wyrokowania na jego korzyść. Człowiek jest omylny. Niech mi szeryf pozwoli popracować kilka dni...

- Widać, że mnie jednak nie zrozumiałeś, synu -w głosie szeryfa zadźwięczał cień smutku. - Jesteśmy już bardzo zmęczeni sprawą Hiltona. Mamy dosyć zamieszania. Śledztwo jest skończone, zapięte na ostatni guzik i nikt go nie będzie odgrzebywał. Chcemy najszybciej zapomnieć o tej paskudnej sprawie. Nie będziesz się nią zajmował, nie będziesz niepokoił ludzi, którzy tu żyją. I zapamiętaj: jak potrzeba, potrafię być twardy...

Nie miałem powodu wątpić, że potrafi być twardy. Wystarczyło tylko na niego popatrzeć. Jeżeli taki facet się uprze, to potrzeba solidnego trzęsienia ziemi, aby raczył zmienić stanowisko. Niestety, nie potrafiłem na razie zorganizować nawet drobnego trzęsienia ziemi. Fakt, że James Hilton był synem Ralfa Hiltona, który dwukrotnie uratował mi życie, nic dla nikogo nie znaczył.

Prawdę mówiąc najpoważniejszym argumentem przemawiającym za tym, że w sprawie Hiltona kryje się coś niewyraźnego, było to, co spotkało mnie dotąd w Holiday Beach. Zbyt dużo włożono wysiłku, żeby mnie z niej wykopsać... Przez chwilę miałem ochotę wygarnąć to szeryfowi. Ale tylko przez chwilę. Taka szczerość na razie się nie opłacała. Albo szeryf jest uczciwym facetem i szczerze wierzy w to, co mówi, a wtedy po prostu się obrazi i da mi wycisk, albo jest jednym z kółek miejscowej ferajny, której z jakichś powodów zależy, by nie babrać się więcej w sprawie zabójstwa Marilyn Stocker, a wtedy moja szczerość mogłaby mieć jeszcze gorsze skutki...

Pociągnąłem łyk coca-coli z butelki, którą trzymałem w ręku, i zapytałem:

- Co się stanie, jeżeli nie odkleję się od tej sprawy?

- Jeżeli cię to interesuje, synu, to mogę ci powiedzieć... Panna Kate Malory złoży zeznanie, że usiłowałaś siłą wdrzeć się do jej domu. Moi chłopcy to potwierdzą. Powiedzą, że byłeś pijany jak bela...

- Szeryfie - przerwałem uśmiechając się półgębkiem - sam pan widzi, że jestem trzeźwy jak nowo narodzony pętał...

- Wiem - potwierdził spokojnie - ale w sądzie będzie ładniej wyglądało, gdy zeznają, że zataczałeś się jak pijana świnia i bluzgałeś przekleństwami. Właściciel baru, w którym tak się zaprawiłeś, także zezna to samo... Co więcej, zezna też, że podstępem-wydostałeś od niego adres panny Malory...

Przestałem się uśmiechać. Oczywiście, mogłem się stawiać i krzyczeć, że taki numer nie przejdzie. W Nowym Jorku rzeczywiście trudno by było glinom załatwić mnie w taki sposób. Za to tu, gdzie nikt mnie nie znał, mogli mnie bezkarnie zamknąć na kilka tygodni... Oczywiście, potem bym apelował, dochodził swoich praw i pewnie nawet coś zwojował. Sęk w tym, że stałoby się to dopiero potem... Na razie byłbym całkowicie wyłączony z gry...

Przybrałem zboląłą minę urażonej godności.

- To, co szeryf mówi, bardzo mi się nie podoba... Nie wiedziałem, że u was można robić takie numery. Myślałem, że to uczciwe miasteczko.

- I jest uczciwe - stwierdził poważnie. - Wiedz, synu, że będzie mi przykro, gdy cię będę musiał w taki sposób załatwić... Bardzo nie lubię takich metod - w jego głosie zabrzmiał ton autentycznej szczerości - ale jeżeli potrzeba, zrobię to, bo dla mnie najważniejszy jest spokój uczciwych ludzi. Będę go bronił, choćbym miał w zamian zamknąć jakiegoś nowojorskiego cwaniaczka na trochę lipnych podstawach... Przybłęda, który zamordował Marilyn Stocker, stanie przed sądem i odpokutuje za swoją zbrodnię. I nic mu nie pomożesz, choć przyjechałeś, zacząłeś węszyć i twierdzisz, że Hilton jest niewinny... Jeżeli jest tak, jak mówisz, to znaczy, że pannę Stocker zamordował ktoś inny... Być może ktoś tutejszy. Tymczasem to brednia. Znamy się wszyscy od lat. Jesteśmy jedną wielką rodziną. Nikt z nas nie mógłby zrobić czegoś aż tak potwornego. Jestem tego pewny. I dlatego, synu, nie dopuszczę, abyś swoim węszeniem rzucił cień podejrzenia na kogokolwiek z nas... Tutejsi ludzie wybrali mnie szeryfem, bym bronił ich spokoju. Zaufali mi. I ja ich nie zawiodę, choćbym musiał trochę upaćkać sobie łapy... Skończyłem. To była nasza ostatnia rozmowa. Chcę ci dać jeszcze jedną szansę. Jeżeli w ciągu godziny opuścisz Holiday Beach, skardze panny Malory nie nadam dalszego biegu, ale jeżeli kiedykolwiek ośmielisz się tu wrócić...  
\_ w wyblakłych oczach szeryfa zapaliły się zimne błyski.

Z pewnością nie żartował. Co więcej: odniosłem wrażenie, że szeryf wierzy w to, co mówi...

Panna Bessie Carter, sekretarka i asystentka doktor Fletcher, przywitała ich zawodowym, uprzejmym uśmiechem. Wyszczrzyła swe końskie zębiska i powiedziała:

- O, pan Halifax! Pani doktor za chwilę pana przyjmie... Proszę na razie poczekać... - wskazała im fotele.

Poczekalnia urządzona była z dyskretnym smakiem. Ściany pomalowane były na różowo, wisały na nich kolorowe, pogodne obrazy. Wyściełane, nieco staroświeckie fotele, niewielki

dekoracyjny kominek wyłożony okładziną imitującą marmur i niski stylowy stolik, na którym rozrzucono kolorowe czasopisma i ustawiono wazon z pękiem pokrytych jeszcze rosą róż, nadawały całemu wnętrzu atmosferę przytulności. Nic tu nie nasuwało skojarzeń z cierpieniem i chorobą.

Stan Oliver Halifax przysiadł na jednym z foteli,

Lucille zrobiła to samo. Bessie Carter wyszła z poczekalni. Lucille sięgnęła po jedno z czasopism leżących na stoliku. Musiała uzbroić się w cierpliwość. Przed nią były co najmniej dwie godziny oczekiwania. Potem trzeba! będzie odwiedzić szefa do domu...

- Lucille... - powiedział nagle Stan Oliver Halifax - zabieraj wóz i wracaj do domu...

Spojrzała na niego ze zdumieniem. To, że odwoziła go do domu po wizycie u doktor Fletcher, stało się już zwyczajem. Choć Halifax opuszczał gabinet w stanie nieskończenie lepszym, niż doń wchodził, nigdy dotąd nie kwapił się do prowadzenia. Bywał piekielnie zmęczony i nie ryzykował siadania za kierownicą.

- Jak to, szefie?

- Normalnie. Od doktor Fletcher muszę wpaść do mecenas Forda. Nie dodzwoniłem się do niego... Zamówię taksówkę i wrócę nią do Holiday Beach. Rano wspominałaś, że wybierasz się do kina.

Lucille zrobiło się przyjemnie, że stary to zapamiętał. . Uznała jednak za wskazane zaprotestować:

- Nie ma mowy, szefie! Muszę cię odtransportować do domu.

Starł się do niej uśmiechnąć.

- Jesteś dobre dziecko, Lucille... Ale nie czekaj na mnie. Wizyta u mecenas Forda zajmie mi trochę czasu, i nie wiem, o której wszystko załatwię. To się może przeciągnąć.

- Jak szef uważa - zgodziła się posłusznie - mogę jednak poczekać...

- Jesteś dobre dziecko - wymamrotał Stan Oliver Halifax - ale zmykaj już do domu... albo do kina. Jak wolisz.

Poderwała się z fotela. Miała dziś stanowczo szczęśliwy dzień. Nie tylko potrafiła przełamać obojętność Patricka, ale także nie straci spotkania z Drakulą. Stary okazał się cholernie poczciwym facetem. Mimo okropnego bólu pamiętał, że wybierała się do kina. .

Drzwi od gabinetu uchylły się i panna Bessie Carter zawołała:

- Panie Halifax, pani doktor prosi!

Podniósł się z fotela i wszedł do gabinetu. Pokój doktor Fletcher miał już bardziej oficjalny wygląd. Białe, surowe ściany pozbawione jakichkolwiek ozdób, nowoczesne biurko, na którym stała kartoteka w wielkim plastikowym pojemniku, wyściełana ceratą leżanka, pokryta prześcieradłem, i kręcony stołek na jednej nodze nie stwarzały złudzeń. To był gabinet lekarski. Doktor Fletcher, pulchna blondynka w średnim wieku, nosiła wielkie okulary w rogowej oprawie i długi biały kitel

- A, pan Halifax, proszę, niech pan spocznie...

Usiadł na kręconym stołku i poczuł, jak łydki zaczynają mu dygotać, a głowa opada.

Panna Bessie podeszła i wymierzyła mu silnego kuksańca w plecy.

- Wyprostuj się, stara purchawko! - powiedziała. - Siedź porządnie. Nie jesteś u siebie w domu!

Pani doktor przysunęła do siebie pudło z kartoteką. Oczywiście, doskonale pamiętała swoich pacjentów, ale lubiła wszelkiego rodzaju oficjalne ceremonie. Nie spiesząc się wydobyla kartę chorobową Halifaxa. Wczytywała się w nią uważnie, choć dobrze wiedziała, co w niej napisane. Potem marszcząc się lekko, powiedziała:

- A więc, panie Halifax, stwierdziliśmy w kolejnych badaniach, że źródłem pana cierpień jest wewnętrzny konflikt osobowości... W głębi podświadomości jest pan jeszcze małym, nieśmiałym chłopcem, który chce, by nad nim dominowano... Pragnie pan podporządkować się woli silniejszego od siebie, komu musiałby pan całkowicie i bezapelacyjnie podlegać... Takie były wyniki psychoanalizy. Zgadza się? - Spojrzała bystro na pacjenta.

Poczuł, że w gardle robi mu się sucho. Nie patrząc na panią doktor wymamrotał:

- Tak... zgadza się... takie były wyniki ustaleń...

- Tymczasem tak się złożyło - kontynuowała doktor Fletcher - że już od wczesnego dzieciństwa okoliczności zmusiły pana do samodzielności, do liczenia na własne siły, do podporządkowywania sobie innych... Zgadza się?

- Takie były wyniki...-potwierdził szybko. Chciał, żeby ta wstępna część wizyty była już poza nim.

Bał się, że zanim doktor Fletcher zastosuje leczenie; dosięgnie go nowe uderzenie potwornego bólu.

- W takim razie - powiedziała doktor Fletcher -postaramy się panu pomóc, panie Halifax. Proszę, niech się pan rozbierze...

Podniósł się ze stołka i zaczął się rozbierać. Ściągnął marynarkę, spodnie, zrzucił pantofle i skarpetki. Kiedy rozpinął guziki koszuli, palce drżały mu i czynność ta przeciągała się ponad miarę...

- Prędej, panie Halifax - ponagliła go doktor Fletcher - nie jest pan jedynym pacjentem umówionym na dzień dzisiejszy. Musimy się pośpieszyć.

Zaczął się szybciej rozbierać.

- Panno Bessie, proszę przygotować pacjenta...

Panna Bessie podeszła do Halifaxa i wykręciła mu ręce do tyłu. Potem na przegubach jego rąk zatrzasnęła kajdanki, które wydobyla z przepastnych kieszeni białego fartucha. Otwartą dłonią z całej siły klapnęła Halifaxa po pośladku.

- Na kolana, tłusciochu! Ale już!

Ostrożnie ukląkł na oba kolana.

Doktor Fletcher podniosła się z krzesła. Powoli rozpięła guziki lekarskiego fartucha i zdjęła go. Ubrana była w obcisłą sukienkę z ciemnej, doskonale wyprawionej skóry. Sukienka była bardzo krótka, za to skórzane buty, opinające dokładnie łydki pani doktor, sięgały powyżej kolan. Zdjęła okulary, jednym ruchem rozpuściła włosy, spięte dotąd w wielki kok na tyle głowy. Z szuflady biurka wyciągnęła cienką szpicrutę i powoli zbliżyła się do pacjenta.

\* \* \*

W lusterku widziałem, że podążali za mną. Policyjny samochód z Holiday Beach towarzyszył mi już od kilku mil. Jechałem w kierunku Miami. Nie pozwolili mi nawet wrócić do motelu. Szeryf był nieustępliwy. Kierowałem się teraz do Miami z szybkością sześćdziesięciu mil, a oni jechali za mną. Chcieli mieć pewność, że rzeczywiście opuściłem Holiday Beach.

Ruch na drodze był raczej niewielki. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a olbrzymie odrzutowce, jeden za drugim, przelatywały nad szosą, kierując się do wielkiego portu lotniczego w Miami. Musiało być już niedaleko, bo ogromne maszyny leciały stosunkowo nisko i dostrzec można było nie tylko wielkie numery wymalowane na ich skrzydłach, ale także rzędy okienek. Mimo że było jeszcze zupełnie widno, błyskowe lampy umieszczone na brzuchach ich rybnich kadłubów połyskiwały jaskrawo w regularnych odstępach.

Dogoniłem kolumnę wielkich ciężarówek-chłodni. Wieziono w nich pewnie tuńczyki złowione przez motorowe kutry z Kay Largo. Pomyślałem, że szczęście mi sprzyja. Dołączyłem do kolumny o jakieś ćwierć mili od miejsca, w którym wielkie zielone tablice wskazywały drogę do Narodowego Parku Everglades. Zauważyłem je dziś rano jadąc do Holiday Beach. Czytałem kiedyś o parku, oglądałem filmy nakręcone wśród jego bagnisk i mijając drogowskaz, poczułem żal, że nie mogę skręcić w tamtym kierunku. Jestem zupełnie wolnym człowiekiem. Nie mam żadnego szefa, sam wyznaczam sobie termin urlopu, ale tak się jakoś składało, że nigdy nie miałem czasu na coś, co nie było związane z moją paskudną robotą... Teraz nadarzała się okazja, by wstąpić do Everglades.

Dodałem gazu i zacząłem wyprzedzać ciężarówkę. Kolumna była dość długa. W lusterku zauważyłem, że towarzyszący mi samochód jakoś nie decyduje się na pójście w moje ślady. Na to zresztą liczyłem. Z przeciwnego kierunku sunęło właśnie sporo samochodów, droga była dość wąska i jakikolwiek manewr musiał im się wydać ryzykowny. Chcieli więc przepuścić wymijające nas wozy. Nie czekałem na to. W odpowiednim momencie zredukowałem szybkość i błyskawicznie wpakowałem się w wąski odstęp dzielący dwie kolejne ciężarówkę. Miałem nadzieję, że kierowca wozu, przed którym nagle się znalazłem, ma niezły refleks.

Szczęście sprzyjało mi. Rzeczywiście chłopak miał refleks. Jakoś przyhamował i nie strzaskał mi tyłu wozu. Mój piracki wyczyn nie przypadł mu jednak do gustu. Zaczął wygrażać pięścią. Nie miałem czasu się przejmować. Musiałem pilnie uważać, by nie przegapić skrętu w prawo. Nie przegapiłem. Miałem dość dużą szybkość i ledwie zmieściłem się w zakręcie. Potem dodałem gazu. Szosa do Miami, ciężarówkę-chłodnie i policyjny samochód z Holiday Beach zostały daleko. Bałem

się trochę, że choć kryły mnie ciężarówki, glinom mogło się udać zauważyć, jak skręcałem, i za chwilę będę miał ich na karku. Ale widać nic nie spostrzegli. Musieli dawno minąć skrzyżowanie, a tymczasem droga za mną była pusta... Nie czułem się jednak pewnie. W każdej chwili mogli się zorientować, że ich zgubiłem, i rozpocząć poszukiwania. To, że skręciłem w prawo, narzucało się samo przez się...

Bacznie rozglądałem się dokoła. Jechałem wąską drogą pokrytą czarnym żużlem. Po obu stronach kłębiły się splątane krzewy zbite w gęstą, zieloną masę, przez którą nie można było przebrnąć, nie wycinając w niej drogi maczetą. Wyglądałem jakiejś wyrwy w zielonym murze. I wreszcie znalazłem. W pewnym miejscu w ciemnozielonej ścianie zauważyłem mroczny, wilgotny wlot, coś jakby pęknięcie w jednolitej powierzchni skały. Wjechałem tam ostrożnie.

Niskie gałęzie ocierały się o dach samochodu, koła toczyły się ciężko w bagnistym gruncie. W końcu nie można było już jechać dalej. Wyłączyłem silnik i wysiadłem z wozu. Ogarnął mnie zatechły, wilgotny upał, przy którym gorąco, jakie panowało w Holiday Beach, wydawało się tylko przyjemnym ciepłkiem. W nos uderzył ostry zapach zgnilizny. Setki moskitów od razu przyssały mi się do twarzy, dłoni i karku, a nogi ugrzęzły w miękkiej, ciastowatej mazi. Usiłując odpędzić moskity, ruszyłem w stronę drogi. Kiedy dzieliło mnie od jej skraju kilka jardów, usłyszałem szum zbliżającego się silnika. Zamarłem nieruchomo, wypatrując między liśćmi. Po chwili ich zobaczyłem. Samochód policyjny z Holiday Beach mijał powoli moje ukrycie. Zapaliłem papierosa, mając nadzieję, że dym odstraszy moskity, i czekałem. Potem wypaliłem jeszcze dwa. Dym nie pomagał. Moskity były zażarte i nieustępliwe. Po mniej więcej czterdziestu minutach znowu zobaczyłem swoich prześladowców. Wracali ze znacznie większą prędkością. Policyjny samochód tylko mi mignął przed oczami. Miałem nadzieję, że uznawszy, iż zgubiłem im się ostatecznie, dadzą mi spokój.

Wróciłem do wozu. Posiedziałem w nim jeszcze kilka minut, a potem wyprowadziłem samochód na drogę. Nie zawróciłem na szosę łączącą Holiday Beach z Miami. Pojechałem w przeciwnym kierunku. Droga była absolutnie pusta.

Zmrok już zapadał, kiedy dojechałem do szlabanu, obok którego stała niska drewniana chata z nie malowanych okrągłaków. Z jej płaskiego dachu sterczała w niebo telewizyjna antena. Koło szlabanu stał słup z tablicą. Napis na tablicy głosił:

**„Narodowy Park Everglades. Wjazd wszelkich pojazdów surowo zabroniony”.**

Z chaty wyszedł facet w zielonej koszuli i mundurowych portkach. Twarz miał czerwoną, obrzmiałą. Na lewym rękawie jego koszuli zobaczyłem czarny emblemat: stylizowaną sylwetkę krokodyla. Wysiadłem z wozu i powiedziałem:

- Dobry wieczór. Chciałem zwiedzić rezerwat...

Przyjrzał mi się podejrzliwie.

- O tej porze roku rzadko odwiedzają nas turyści... Główne wejście do parku jest bardziej na południe, piętnaście mil stąd...

- Chciałem rozpocząć zwiedzanie od tego miejsca...

- W nocy wstęp do rezerwatu jest zabroniony...

- Wiem. Zacznę od rana. W folderze wydanym przez Departament Ochrony Przyrody napisano, że przy każdym wejściu do rezerwatu są miejsca noclegowe.

- Będzie panu niewygodnie... Lepiej niech pan pojedzie do głównego wejścia, to wcale nie tak daleko.

- Jestem zmęczony. Jechałem cały dzień. Zostanę tutaj...

Wzruszył ramionami.

- Jak pan chce. Ja ostrzegałem. Płaci pan piętnaście dolarów,

Zapłaciłem piętnaście dolarów.

Kazał mi wprowadzić wóz na niewielki parking. Wjazd do niego ukryty był niedaleko szlabanu, w ścianie bujnej roślinności. Gdyby człowiek z krokodylem na rękawie wyraźnie mi go nie wskazał, nie trafiłbym tam w tym gęstniejącym mroku.

Zaparkowałem ramblera i wróciłem do szlabanu. Nie było tu już nikogo. Postąłem chwileczkę, a potem zapukałem do drzwi chaty. Nie czekając na zaproszenie, wszedłem do środka. Był tam mój niedawny rozmówca. Rozwalony na leżaku gapił się w telewizor i popijał piwo. Piramidka puszek piętrzących się koło jego nóg wskazywała, że zamierzał poświęcić tej czynności długie wieczorne godziny. Na ścianie obok oprawionego w cienkie listwy kolorowego planu Narodowego Parku Everglades wisiała na haku lornetka i myśliwski karabinek z lunetką. Gospodarz pomieszczenia, pochłonięty tym, co rozgrywało się na kolorowym ekranie telewizora, zdawał się nie zauważać mojego wejścia. Zdecydowałem przerwać mu sjęstę.

- Gdzie można zanoćować?

Nie odwracając głowy powiedział:

- Przejdzie pan za szlaban. Trochę dalej będzie ścieżka w lewo. Pójdzie pan nią i dojdzie do turystycznych pawilonów. Niech się pan tam rozgości... Aha, rano, zanim pan pójdzie do parku, proszę wpaść do mnie. Zaznajomi się pan z regulaminem i podpisze deklarację...

- Jeszcze jedno, czy można stąd zadzwonić?...

Był wyraźnie zniecierpliwiony moim natręctwem.

- Przy pawilonach jest automat...

Nie przeszkadzałem mu więcej. Pozostawiłem go sam na sam z urokami piwa i telewizji. Droge znalazłem łatwo. Pawilony okazały się czterema niewielkimi, przywodzącymi na myśl gołębniki, budami ustawionymi na wkopanych w ziemię palach. Do każdego prowadziły strome, niewygodne schodki przypominające drabinę. Wdrapałem się do jednego z gołębników. Długo po omacku szukałem kontaktu. Wreszcie znalazłem.

Wyposażenie wnętrza było więcej niż spartańskie. Były w nim dwa polowe łóżka, przykryte zielonymi kocami, drewniany stołek, a na podłodze z surowych desek stała miednica i wiaderko z pomarańczowego plastyku. Na jednym z łóżek siedziała wielka jaszczurka i przypatrywała mi się



uważnie nieruchomym spojrzeniem wypukłych czarnych oczu. Wykonałem gwałtowny ruch ręką. Wcale się nie przejęła. Wsunęła tylko nieprawdopodobnie długi język, którego koniuszek zadrgał konwulsyjnie.

Podszedłem do miednicy. Nalałem do niej wody, którą znalazłem w wiaderku. Obmyłem twarz, szyję i ręce. Woda była bardzo ciepła. Przez chwilę walczyłem z pokusą, aby się jej napić. Byłem straszliwie spragniony. Dałem jednak spokój. Picie nie przegotowanej wody w Narodowym Parku Everglades to czyste wariactwo. Pomyślałem, że nieco później skoczę do faceta, który okupował chatynkę obok szlabanu, i odkupię ze dwie puszki piwa!

Zwabione blaskiem żarówki roje moskitów wypełniały gołębnik jednostajnym, przenikliwym bzykotem. Język jaszczurki usadowionej na łóżku podrygiwał zabawnie! Ukąszenia moskitów stawały się coraz trudniejsze do zniesienia. Bojąc się, że zostanę żywcem pożarty, zgasilem światło i zwałem się na łóżko, na którym nie było jaszczurki. Postanowiłem, że zanim poszukam telefonicznego automatu, o którym wspominał strażnik, odpocznę przez chwilę. Przymknąłem powieki i usłyszałem przeraźliwy, ścinający krew w żyłach jęk. Steżałem ze zgrozy i poczułem, że skóra na plecach cierpnie mi z trwogi. Jęk powtórzył się. Tym razem trwał dłużej i stopniowo zmienił się w kwilenie zakończone pulsującym gwizdaniem... Odetchnąłem z ulgą. Zrozumiałem, że to tylko jakieś dziwne ptaszysko wita mnie w ten sposób w Narodowym Parku Everglades.

\* \* \*

Fred O'Conolly wjechał do Miami. Nie lubił tego miasta. Ostry odór benzyny wypełniającej zatłoczone samochodami ulice, natężenie hałasu, nieustannie atakujące uszy lawiną zmasowanych decybeli, migotanie tysięcy zapalających się i gasnących reklam świetlnych, cały ten specyficzny wielkomiejski klimat działał nań deprymująco. Fred uważał się za patriotę Florydy, uwielbiał jej niepowtarzalną atmosferę i czuł się dobrze jedynie w miejscach, które mu ją przypominały. Ale Miami było jej pozbawione. Tylko nieznośny upał i rachityczne, zakurzone, wpółuduszone spalinami i wyrastające gdzieniegdzie wzdłuż krawężników jezdni palmy przypominały, że miasto to leży na Florydzie, w pobliżu cudownych plaż i promenad Miami Beach, North Miami i Hollywood, które swą nazwę zapożyczyło od słynnego na całym świecie przedmieścia Los Angeles.

Na ulicach Miami, pełnych rozjazdów i wielopoziomowych skrzyżowań, panował wprawdzie upał, ale nie było słońca utopionego w gęstych oparach smogu. Przemierzając ulice Miami, trudno było uwierzyć, że stosunkowo niedaleko od niego, na południu, za białymi falochronami Key Largo, w nieprawdopodobnie błękitnym morzu rozciąga się bezkresne pasmo cudownych raf Florida Keys, na których z monotonnym łoskotem w dzień i noc rozbijają się świetliście rozmigotane fale przyboju..

Fred, wjeżdżając do Miami, tracił zawsze humor i ogarniało go pragnienie natychmiastowego powrotu za kontuar baru w Holiday Beach, do spokojnej senności małego miasteczka, gdzie w okresach, kiedy nie było turystów, wszyscy się znali i wszystko o sobie wiedzieli.

Tym razem wjazd do Miami nie sprawił Fredowi przykrości. Kierował prawie automatycznie, nie zwracając większej uwagi na mijane ulice. Jego myśli krążyły uporczywie wokół dziewczyny, której przed kilkoma godzinami pokazał komiks dla dorosłych. Zauważył ją oczywiście już dawno, kiedy niespodziewanie z nieśmiałej panienczki spijającej klonowy syrop przemieniła się w ponętą dziewczynę...

Widok Bobbie sprawiał mu przyjemność, ale córka szeryfa Nortona, bez względu na to, jak ponętnie mogła się prezentować, pozostawała zawsze córką szeryfa Nortona, człowieka, wobec którego Fred odczuwał respekt przemieszany z obawą. Nie miał wątpliwości, że szeryf Norton nie zna się na żartach...

Dopiero dziś przekroczył granicę, którą sobie wobec Bobbie wyznaczył... Przywołał z pamięci obraz dziewczyny z chwili, gdy zorientowała się, jakiego rodzaju komiks podsunął jej do przejrzenia. Doskonale zapamiętał cień zaskoczenia na jej twarzy i rumieńce, których nie umiała opanować... Czuł teraz trochę żalu, że mimo wszystko nie zdecydował się na coś więcej... Gdyby Bobbie nie była córką szeryfa...

Prowadząc wóz po zatłoczonych ulicach Miami, zaczął wyobrażać sobie, jakby mógł postąpić, gdyby dziewczyna nie nosiła nazwiska Norton. Fred był człowiekiem obdarzonym dużą wyobraźnią...

Skręcił w najbliższą przecznicę w lewo. Potem w prawo. Wyjechał ze śródmieścia. Znalazł się w dzielnicy, w której ruch był znacznie mniejszy, domy stosunkowo niewysokie, a palmy rosnące wzdłuż krawężników dorodniejsze. Zahamował przed niewielkim budynkiem. Ogromne sklepowe witryny na parterze zasłonięte były żółtymi firankami. Umieszczony nad wejściem dyskretny neon głosił: „Masaże. Tylko dla mężczyzn”. Tu zatrzymał samochód. Wysiadł z wozu i wszedł do środka.

W niewielkim pomieszczeniu, wybitym ciemnoczerwoną materią, panował półmrok. Ciepły krąg światła wydobywał z niego filigranowe biureczko, za którym i siedziała starannie uczesana blondynka w błękitnym kitlu. Z ukrytego gdzieś głośnika dobiegały dyskretne tony jakiejś powolnej melodii, granej na egzotycznych instrumentach.

Blondynka zapytała':

- Czym możemy służyć?
- Masaż.
- Oczywiście z kąpielą?
- Oczywiście.
- Czy życzy pan sobie jedną czy dwie masażystki?

Zawahał się chwilę, lecz szybko zdecydował:

- Mogą być dwie...
- Oplatę inkasujemy z góry. Wyłącznie w gotówce.

Wyciągnął portfel i zapłacił znaną sobie sumę. Blondynka wrzuciła banknot do szuflady biureczka i nacisnęła mały guzik ukryty we wnętrzu mebla. Jedna z czerwonych kotar rozchyliła się i wyszły zza niej dwie panienki odziane w mini-spódniczki z ciemnego materiału. Spódniczki trzymały się na szerokich szelkach, które spełniały jednocześnie rolę staników. Obie panienki były bose, a w ich rozpuszczone długie włosy wpięte były wielkie kwiaty. W milczeniu, uśmiechając się, podeszły do Freda, ujęły go pod obie ręce i wprowadziły za kotarę.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Fred O'Conolly opuszczał gabinet masażu - a był w nim około godziny - i odjeżdżał, aby załatwić sprawę, dla której przyjechał do Miami, Stan Oliver Halifax zamykał za sobą drzwi biura mecenasa Corneliusa Forda.

Mecenas usprawiedliwiał się długo, dlaczego dotychczas nie skontaktował się ze swym klientem. Twierdził, że wizyta w okręgowym więzieniu przeciągnęła się niespodziewanie długo. Więzień śledczy James Hilton wykazał mało chęci do efektywnej współpracy i mecenas Cornelius z uczuciem żywej niechęci wspominał kilkugodzinną z nim rozmowę. Z więzienia musiał bezpośrednio udać się do biura prokuratora Harrisa. Rozmowa z przedstawicielem oskarżenia w zapowiedzianym na poniedziałek procesie: „Lud stanu Floryda przeciw Jamesowi Hiltonowi” trwała też dość długo. Dopiero po zakończeniu rozmów w biurze prokuratora powrócił do domu, skąd mógł już bez przeszkód zatelefonować do Holiday Beach. Niestety, okazało się, że jego klient właśnie wyjechał do Miami... Pozostało więc tylko czekać w swoim biurze.

Cornelius Ford uważał, że wywiązał się ze swych zadań znakomicie i referując wyniki starań, promieniał optymizmem, dyskretnie akcentując zarazem ogrom trudności, jakie wypadło mu przewyciężyć.

Stan Oliver Halifax był także zadowolony. Musiał przyznać, że mecenas rzetelnie zapracował na swojej honorarium. Sprawa morderstwa popełnionego na osobie Marilyn Stocker wydawała się zamknięta. Z chwilą gdy za Jamesem Hiltonem zamkną się na dziewięćdziesiąt dziewięć lat bramy więzienia, nikt już nie będzie zastanawiał się nad tym, kto naprawdę zamordował kelnereczkę z baru w Holiday Beach. Po jakimś czasie może się co prawda zdarzyć, że Hilton spróbuje odwołać swe zeznania, ale niewiele mu to chyba pomoże. Możliwość apelacji w wypadkach, gdy proces zakończył się uzgodnionym między obroną a oskarżeniem wyrokiem skazującym, w praktyce równa się zeru. Stan Oliver Halifax pamiętał doskonale, jak beznadziejne okazały się wysiłki zmierzające do wznowienia procesu człowieka skazanego na dożywotnie więzienia, a obwinionego! o dokonanie głośnego na cały świat mordu politycznego! o zabójstwo pastora Martina Luthera Kinga.

Los Hiltona nie interesował nikogo. Upomnieć, się mogła za nim tylko siostra i wynajęty przez nią prywatny łaps z Nowego Jorku. Halifax wierzył, że nie ma on jednak żadnych szans, zwłaszcza jeżeli do chwili wydania wyroku na Hiltona posiedzi za kratkami aresztu! w Holiday Beach. Ufał, że szeryf Norton potrafi unieszkodliwić tego faceta.

Sytuacja wyglądała więc pomyślnie, ale mimo to Stan Oliver Halifax, opuszczając biuro mecenasa, był w dalszym ciągu pełen niepokoju, ponurych przeczuc i obaw.

Oczywiście nie dał tego po sobie poznać. Serdecznie i wylewnie uściśnął rękę mecenasa i gorąco podziękował za wysiłki. Gdyby nadal okazywał wielkie zainteresowanie sprawą zabójstwa panny Stocker, mecenas mógłby zacząć zastanawiać się, dlaczego właściwie Halifaxowi tak bardzo zależy na skazaniu Hiltona...

Cornelius Ford zaofiarował się, że sprowadzi telefonicznie taksówkę, która odwiezie jego klienta do domu. Halifax odmówił jednak. Chciał pospacerować trochę po mieście i spokojnie pomyśleć. Nieuchronne skazanie Jamesa Hiltona nie załatwiało wszystkiego. Trzeba było szybko podjąć dalsze kroki. A w tym wypadku Stan Oliver Halifax nie może liczyć na pomoc mecenasa Forda. Na niczyją pomoc. Musi działać sam... Dobrze chociaż, że ten cholerny ból głowy rozwiązał się bez śladu... Pomyślał o kobiecie, której dziwne zabiegi przyniosły mu ulgę. Ale w jego myślach o doktor Fletcher nie było wdzięczności... Przeciwnie, jak zawsze bezpośrednio po seansie był pełen głuchej, morderczej nienawiści do swej uzdrowicielki...

Wyruszyłem na poszukiwanie telefonicznego automatu. Według tego, co mi powiedział facet z chaty koło szlabanu, automat powinien być gdzieś w pobliżu. Noc była księżycowa i świeciły zawieszane nad Narodowym Parkiem Everglades gwiazdy, nie na wiele mogło mi się to jednak przydać. Nie miałem najmniejszego pojęcia, w którą stronę się udać.

Upał nie był już tak nieznośny, ale noc nie przyniosła radykalnej ochłody. Ciągłe było duszno jak w łaźni tureckiej i oddychało się z trudnością. Przez cały czas pamiętało się o tym, że się oddycha. I to było cholernie denerwujące. Może nawet bardziej niż moskity, do których nieustannej obecności powolutku zacząłem się przyzwyczajać.

Kiedy po kilku minutach krążenia w ciemności byłem blisko rezygnacji, niemal wpadłem na budkę telefoniczną. Okazało się, że ustawiono ją prawie tuż przy gołębniku, który zająłem. Przez chwilę zastanawiałem się, jakim cudem nie zauważyłem jej od razu. Pomyślałem, że widać jestem cholernie zmęczony i przydałoby mi się kilka godzin snu. Nie miałem jednak na to czasu. Zbyt dużo goj już zmarnowałem.

Budka była zupełnie taka sama jak te, do których' przywykłem w moim mieście. Oszklona kabina ze strefowym automatem telefonicznym. Kiedy wszedłem do środka, pod sufitem rozbłysło światło. Obok aparatu, na niewielkiej półeczce, leżała opasła książka telefoniczna zawierająca spis abonentów okręgu Miami. Odszukałem! Holiday Beach i nazwisko, które mnie interesowało. Szczęście mi sprzyjało. Okazało się, że panna Kate Malory ma telefon. Przystudiowałem dokładnie instrukcję wypisaną na automacie, w odpowiednie otwory wrzuciłem należytą ilość monet, nacisnąłem dzwignię, które należało nacisnąć, i wykręciłem numer panny Malory.

Po chwili usłyszałem w słuchawce jej głos. Był głęboki, miękki i przyjemny. Przedstawiłem się:

- Nazywam się George Quiryn. Jestem człowiekiem, którego oskarżyła pani o natrętne napastowanie...

- A... to pan, pan... - w jej głosie nie było specjalnego zdziwienia. - Bardzo się cieszę, że pana już wypuścili... W każdym razie jest mi przyjemnie, że jakoś się pan z tego wykaraskał...

Zabrzmiało to trochę osobliwie jak na oświadczenie kobiety, która kilka godzin temu oskarżyła mnie fałszywie przed policją. Nie uznałem jednak za wskazane okazywać zdziwienia. W swoim fachu przywykłem, że często, częściej, niż się tego można spodziewać, spotykałem się z zachowaniem, które nie mieści się w granicach racjonalnego przewidywania. Uznałem sprawę oskarżenia o napastowanie, przynajmniej na razie, za niebyłą. Od razu przystąpiłem do rzeczy.

- Chciałbym bardzo z panią porozmawiać... Sądzę, że mielibyśmy sobie wiele do powiedzenia... Czy może się pani jutro ze mną spotkać?

- Jutro? Jutro, proszę pana, to będzie niemożliwe...

- Dlaczego? Oczywiście - wyjaśniłem pospiesznie - jeżeli pani sobie tego nie życzy, nie będę nachodził pani mieszkania. Moglibyśmy spotkać się gdzieś na gruncie neutralnym, najlepiej poza Holiday Beach...

- Nie o to chodzi - przerwała niecierpliwie - po prostu jutro już mnie tu nie będzie. Zmywam się z tego cholernego miasteczka i niech mnie szlag trafi, jeżeli wrócę tu kiedykolwiek... Mam dosyć. Zupełnie dosyć... Rozumie pan?!

Nie bardzo rozumiałem, czego ma dosyć, ale nie uznałem na razie za wskazane pytać o to. Skoncentrowałem się na sprawie najważniejszej.

- Jednak bardzo bym chciał porozmawiać z panią... naprawdę. Bardzo wiele od tego zależy... Przecież pani podobno nie wierzy w winę Jamesa Hiltona...

- Nie będę o tym rozmawiać przez telefon - odpowiedziała po małej przerwie. - Zobaczę się z panem chętnie. Niech pan zaraz przyjeżdża. Będę czekać...

Teraz już nie potrafiłem ukryć zaskoczenia.

- A tym razem nie wezwie pani policji?

Parsknęła gniewnie do słuchawki:

- Niech pan nie gada głupstw! Przecież powiedziałam, że mam wszystkiego dosyć i wyjeżdżam z tej cholernej dziury! Czekam na pana...

- Postaram się przyjechać jak najszybciej. Tylko trochę jednak to potrwa... Jestem za miastem...

- Daleko?

- Dosyć daleko - odpowiedziałem enigmatycznie. Nie nabrałem do niej pełnego zaufania i wolałem nie zdradzać miejsca pobytu. - Oczywiście zaraz do pani przyjadę, najprędzej, jak tylko będę mógł... ale - zdecydowałem się to powiedzieć - mimo wszystko jestem trochę niespokojny... Nie bardzo mogę zrozumieć, dlaczego właściwie nasłała pani na mnie gliniarzy... Trochę się obawiam - wyznałem - że to się może... e... powtórzyć... A to byłoby mi bardzo nie na rękę...

- Niech się pan nie wygłupia! .Nie mam zamiaru pana sypnąć! Czy pan tego nie rozumie? Powiedziałam przecież, że już jutro mnie tu nie będzie... A jak już się stąd zmyję, mogę mieć ich w nosie! Czekam na pana! -J Odłożyła słuchawkę.

Wyszedłem z budki. Kiedy zatrzęsnałem drzwi, światło zgasło i ogarnął mnie mrok gęsty i zawiesisty, pełen odoru bagien, brzęczenia moskitów i tajemniczych szelestów dobiegających ze wszystkich stron. Podniosłem! oczy do góry i popatrzyłem w gwiazdy. Było ich mnóstwo.! Chyba jeszcze nigdy nie widziałem tylu naraz.

Nagle tuż nad głową pojawił się wielki rozcapierzony kształt. Odruchowo przysiadłem z wrażenia... Pomyślałem, że takie nietoperze pojawiać się mogą tylko w wyobraźni kogoś przeżywającego właśnie delirium. Tej wielkości nietoperze widywałem jedynie w kiepskich filmach grozy... Ale nie cierpiałem na białą gorączkę ani nie oglądałem kadru z filmu. Po chwili dwa podobnie koszarne stworzenia znowu bezszelestnie przemknęły nad moimi włosami. Mógłbym przysiąc, że na zroszonym potem czole poczułem powiew poruszonego błoniastymi skrzydłami powietrza... Z prawej strony, w gęstwinie! której macki zdawały się sięgać w moją stronę, coś poderwało się gwałtownie. Usłyszałem szelest i wyraźny chrzest łamanych gałązek. Potem wszystko ucichło.

Dobrnąłem do szlabanu. W chatce strażnika paliło się światło. Z wnętrza dolatywały odgłosy kłótni. W pierwszej chwili nie rozróżniałem słów, ale zaraz potem usłyszałem, jak jakiś mężczyzna wykrzykiwał głośno i wyraźnie:

- Wypruję ci flaki, kochanie!

Podbiegłem do okna i zajrzałem do środka. Strażnik spoczywał na leżaku w pozycji, w jakiej zostawiłem go przed godziną. Piramidka puszek z piwem wyraźnie się zmniejszyła. Groźne okrzyki pochodziły z telewizora, na którego ekranie jakiś wredny typ przyduszał panienkę w stroju mocno niedbałym...

Uspokojony, odszedłem od okna. Powędrowałem do parkingu. Od chatki doleciał mnie przeraźliwy wrzask mordowanej kobiety i narastające dźwięki muzyki. Wsiadłem do samochodu i zapaliłem silnik. Miałem nadzieję, że zagapiony w ekran strażnik nie usłyszy mego odjazdu...

\* \* \*

Doktor Fletcher czuła się zmęczona. Przyjęła dziś aż czterech pacjentów i kosztowało ją to sporo wysiłku. W dwu wypadkach były to wymagające wielkiego skupienia analityczne seanse diagnostyczne. Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnim pacjentem, odetchnęła z ulgą. Odesłała do domu pannę Bessie i przez jakiś czas uzupełniała dokumentację. Opisała drobiazgowo przebieg seansów analitycznych, a następnie zabrała się do wypełniania kart choroby pacjentów, których poddała zabiegom leczniczym. Studiując kartę Staną Olivera Halifaxa, długo się zastanawiała, zanim wpisała do niej adnotację: „Chory zdradza pewne oznaki zniecierpliwienia. Zauważono narastanie oporów psychicznych, co w przyszłości może zmniejszyć skuteczność leczenia.

Wniosek: przeprowadzić dodatkowy seans analityczny, zmierzający do utrwalenia w chorym wiary w skuteczność i nieodzowność terapii".

Uzupełnianie dokumentacji zajęło doktor Fletcher sporo czasu. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy opuściła gabinet. Była nie tylko zmęczona, ale i głodna. Przed powrotem do domu postanowiła zjeść obiad w jakiejś restauracji. Wybrała chiński lokal przy jednej z przecznic Main Street. Obsłużona została szybko i sprawnie.

Kiedy wyszła z restauracji i zmierzała do parkingu, gdzie stał jej wóz, poczuła na plecach czyjś wzrok. Wrażenie było bardzo konkretne. Rozejrzała się dookoła. Nie spostrzegła nikogo znajomego. Ulica była prawie pusta. Przechodnie, nieliczni i zajęci własnymi sprawami, nie zwracali na nią uwagi. Pomyślała z gorzkim sarkazmem, że choć pomaga wielu ludziom powrócić do psychicznej równowagi, sama chyba potrzebuje podobnej kuracji. Jako lekarz stojący twardo na gruncie faktów stwierdzonych przez naukę, nie wierzyła w możliwość wycucia czyjegoś spojrzenia. Nie mogła wyobrazić sobie fizjologicznego mechanizmu, który by leżał u podłoża takiego zjawiska. Niemniej przed chwilą odniosła wyraźne wrażenie, że jest obserwowana... Świadczyło to o nie najlepszym stanie nerwów. Wierzyła, że wszelkie irracjonalne odczucia są po prostu wynikiem zaburzeń prawidłowego funkcjonowania psychiki. Jestem przemęczona - pomyślała - porządnie przemęczona... Musza solidnie odpocząć...

Odnalazła na parkingu swój wóz i odjechała w kierunku domu. Mieszkała na przedmieściu Miami, tuż obok nadmorskiej szosy wiodącej do Miami Beach. Jej niewielki domek stał w ogródku, w pobliżu plaży. Doktor Fletcher była rozwódką i mieszkała sama.

Wprowadziła wóz do garażu i weszła do mieszkania przejściem łączącym garaż z hallem. Przywitały ją koty. Doktor Fletcher kochała koty. Trzy dorosłe syjameczki ocierały się o jej nogi i łapczywie domagały się pieszczoty. Pogłaskała je, równomiernie obdarzając drapaniem i nadstawiające się łby i wyprężone grzbiety. Potem poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Koty warowały przy jej nogach. Wyjęła z lodówki porcję mrożonej wątroby i ostrym, długim nożem, stanowiącym wymyślne połączenie sztyletu i piły, pocięła ją na drobne kawałeczki. Nóż położyła na kuchennym stole. Kiedy dawała kotom wątrobę, po raz drugi poczuła, że jest obserwowana. Wzdrygnęła się nerwowo i zerknęła w okno. Była za nim ciemność, w której doktor Fletcher niczego nie zauważyła. Skarciła się w duchu za tę reakcję. Jestem zmęczona - pomyślała - muszę bardziej panować nad odruchami. Nikogo tu nie ma, a poza tym, gdyby nawet ktoś na mnie patrzył, w żaden sposób nie mogłabym tego odczuć... Popularne wierzenie w możliwość wycucia czyjegoś spojrzenia jest tylko przesądem zupełnie pozbawionym racjonalnych podstaw...

Wyprowadziła najedzone koty z kuchni i poszła do łazienki. Wykąpała się i otulona w szlafrok wyszła na taras. Od pobliskiego morza wiał lekki wietrzyk. Poczuła, że upał wyraźnie zelżał. Usiadła na leżaku i wpatrywała się w ciemność. W zaroślach ogrodu cykały tropikalne świerszcze i od czasu do czasu odzywało się kwilenie jakiegoś nocnego ptaka. Koty, mrużąc przyjaźnie i wyginając grzbiety, ocierały się o jej nogi. Ogarnął ją spokój. Odpoczywała... Muszę zrobić sobie

jakieś wakacje - myślała. Zawieszę praktykę na miesiąc i przeniosę się do Miami Beach albo gdzieś bardziej na północ... Tak... Trzeba to będzie zrobić już w przyszłym tygodniu...

Usłyszała szelest za plecami, ale pogrążona w rozmyśleniach, nie zwróciła na niego uwagi. Mordercę zobaczyła dopiero wtedy, gdy się nad nią nachylał. Rozpoznała nóż, którym kroila wątrobę dla kotów. Nie zdążyła nawet krzyknąć.

Pałała papierosa za papierosem i robiła wrażenie mocno zdenerwowanej. W pokoju oprócz zapachu tytoniu snuła się także delikatna woń, którą od razu rozpoznałem, mimo że sam nigdy nie sięgałem po marihuanę. Byłem głodny i spragniony i powiedziałem jej o tym. Otworzyła puszkę soku grapefruitowego, poczęstowała biskwitami i ofiarowała mi prawie pełną butelkę bourbona. Wypiłem sok, pożarłem twarde jak podeszwy biskwity i nalałem sobie porcję whisky.

- Zmywam się stąd nieodwołalnie... Mam dosyć tutejszego grajdołka - powtarzała. - Jestem już spakowana - wskazała na dwie wyładowane walizy. - Odjeżdżam pierwszym porannym autobusem.

Postanowiłem wyjaśnić pewne sprawy do końca.

- Kiedy mnie zamknęli, szeryf powiedział, że wniosła pani skargę. Podobno napastowałem panią i usiłowałem siłą wdrzeć się do tego mieszkania. Czy nie mogłaby mi pani wyjaśnić, o co właściwie chodzi?

Gniewnym ruchem zduśiła w popielniczce dopiero co zapalonego papierosa.

- Ten cholerny szeryf odszukał mnie na plaży i zapowiedział, że pan do mnie przyjdzie. Opisał pana wygląd, zabronił wpuszczać do mieszkania i kazał natychmiast dzwonić, gdy się pan zjawi.

- I pani posłuchała?

- A co miałam robić?! Wtedy jeszcze nie byłam zdecydowana pryskać! Postanowiłam to dopiero później, jak sobie wszystko przemyślałam... Przecież chyba nie wyślą za mną listów gończych, no nie? - W głosie dziewczyny odczułem niepokój.

- To zależy - powiedziałem - zależy od tego, co przeciwko pani mają. Od tego, co pani przeskrobała.

- A panu kto powiedział, że w ogóle coś przeskrobałam?

- Proszę pani - uśmiechnąłem się do niej przyjaźnie znad wzniesionej szklaneczki whisky - jesteśmy ludźmi dorosłymi i nie potrzebujemy się czarować... Gdyby szeryf nie miał przeciwko pani jakiegoś haka, nie mógłby chyba nakłonić pani do tak daleko idącej współpracy i nie zastanawiałaby się pani, czy ją będzie ściagać listami gończymi. To chyba jasne...

- Cwany z pana facet.

- Taki już mam zawód. Gdybym nie umiał kojarzyć, nie zarobiłbym tych kilku dolarów.

- Pan jest podobno prywatnym detektywem?

- Zgadza się.

- To chyba zna się pan na prawie?

- Trochę się orientuję.



- To w takim razie - zdecydowała się - niech mi pan powie, czy będą mnie ścigali za granicą stanu...

- To zależy od tego, co pani przeskrobała...

- Narkotyki...

- Handel?

- Broń Boże! Nigdy w życiu nie sprzedałam nikomu choćby grama tego świństwa... To nie chodzi o handel, ale o posiadanie...

- To była heroina?

- Nie, trawa... Szeryf nakrył mnie kiedyś z całą paczką trawy...

- To nic poważnego, proszę pani - stwierdziłem z przekonaniem. - Tu, na miejscu, mogą się pani czepiać... Ale i tak w najgorszym wypadku skończy się na jakiejś grzywnie albo niewielkiej odsiadce. A jeżeli pani stąd wyjedzie, mogą za panią wysłać choćby i dziesięć tuzinów listów gończych - żaden policjant w Stanach nawet palcem nie kiwnie. W naszym kraju gliniarze są cholernie zapracowani i mają na głowie ważniejsze sprawy niż rozglądanie się za kimś, kogo gdzieś przyłapano z odrobiną marihuany... Może pani spać spokojnie...

- I tak właśnie sobie pomyślałam - stwierdziła z satysfakcją i zapaliła kolejnego papierosa. - Dostyc mam już tego świętoszkowatego szeryfa i całego tutejszego towarzystwa... Nie mam zamiaru dłużej tu kisać...

- Ma pani świętą rację - przytaknałem z przekonaniem - to nie miejsce dla dziewczyny z taką klasą jak pani. Marnuje się pani w tej dziurze.

- Niech mnie pan nie bierze pod włos. - Roześmiała się, przysiadła na tapczanie i wskazała papierosem na i butelkę bourbona. - Niech mi pan naleje jednego. Napiję się z panem...

Rozejrzałem się za czystą szklaneczką. Dwie stały na barku. Podniosłem się z fotela, przyniosłem szklaneczkę i nalałem mniej więcej na dwa palce.

- Nie widzę nigdzie wody sodowej...

- Niech się pan tym nie przejmuje.

Łyknęła od razu całą porcję. Nawet się nie skrzywiła. Napelniłem jej szklaneczkę na nowo.

- Właściwie o czym pan chciał ze mną mówić?

- O pani przyjaciółce, o Marilyn Stocker...

- Nie była moją przyjaciółką. To była bardzo głupia dziewczyna.

- Ale znała ją pani dobrze...

- Można i tak powiedzieć. Pracowałyśmy u tego cholernego rudzielca. Mieszkałyśmy razem jakiś czas. To taniej wypadało. Mieszkania w tej dziurze są okropnie drogie. Przywykli do ograbiania turystów i za byle norę żądają cholernych pieniędzy.

- Jaka ona była?

- Taka słodka idiotka. Miała całkiem pstro w głowie. Zupełnie nie umiała się szanować.

- Chłopcy za nią biegali?

- To ona za nimi latała. Wywracała oczami i pozwalała wszystkim się obmacywać... Gotowa była rozkładać nogi dla każdego, kto tylko miał na to ochotę. To się musiało źle skończyć. I w końcu źle się skończyło... Po śmierci wyglądała strasznie. - Wzdrygnęła się i sięgnęła po szklaneczkę. - Wezwali mnie, żebym ją oficjalnie zidentyfikowała. - Po jej twarzy przemknął cień. - Tak, to było naprawdę okropne...

- Pod zarzutem tego morderstwa aresztowano Jamesa Hiltona. Znała go pani?

- Znałam. Sympatyczny chłopak... Co wieczór przychodził do baru i zamawiał piwo. Siadywał stale w tym samym miejscu i godzinami wodził wzrokiem za Marilyn. Ona oczywiście to dostrzegała. Imponowało jej, że traktuje ją inaczej niż pozostali mężczyźni. Nazywała go królewiczem z bajki.

- Puszczala się z nim?

- Właśnie że nie... Z innymi tak. Z nim nigdy. Śmieszne, ale on jakby zupełnie nie zauważał, że gotowa by była z nim zaraz pójść, gdyby jej to zaproponował. Był strasznie nieśmiały. Wywracał tylko oczami i czasami przynosił kwiaty. Raz nawet z kwiatami wręczył jej kopertę. I wie pan co w niej było?

- List z wyznaniem miłości?

- Nie zgadnie pan! Nigdy pan nie zgadnie! Tam były wiersze - roześmiała się gorzko - pan sobie wyobraża? Wiersze dla Marilyn! Wiersze dla tej małej kurewki!

Pomyślałem, że panna Kate nie byłaby z pewnością zamordowana, gdyby była adresatką tych wierszy. Zachowałem to jednak dla siebie. Stwierdziwszy, że jej szklaneczka jest już pusta, napełniłem ją pospiesznie. Sobie także nalałem. Bourbon nie był najwyższej klasy, miał smak samogonu, ale ostatecznie na bezrybiu i rak ryba...

- Jednak w końcu się z nim umówiła. I to na wieczór, w który została zamordowana...

- Z tym umówieniem to było tak... To było już po sezonie i właściwie nie miałyśmy nic do roboty. W barze było tylko kilku klientów. Ten chłopak oczywiście też. Jak zwykle wlepił w nią oczy i pił piwo. W pewnej chwili poszła na zaplecze i zostawiła za sobą nie zamknięta drzwi, a na zapleczu był właśnie rudzielec...

- Kto?

- No, rudzielec, nasz szef. Jak zwykle, gdy mu się Marilyn nawinęła zbyt blisko, przytłamsił ją troszeczkę... Chłopak to zobaczył. Myślałam, że go szlag trafi! Zrobił się okropnie błydy i ręce zaczęły mu latać. Poderwał się zza stolika, przeskoczył ladę i dopadł rudzielca...

- Dopadł go?

- Jeszcze jak! Myślałam, że przyłoży solidnie świntuchowi! Ale nie... Odepchnął go tylko tak mocno, że stary zatoczył się i rąbnął plecami o ścianę. Potem wziął Marilyn za rękę i wyprowadził z baru... Rudy nie powiedział ani słowa. Bardzo się widać przestraszył. Wyszedł z zaplecza, spokojnie usiadł przy barze i zaczął czytać jeden z tych swoich komiksów. Ale mogę przysiąc, że

nie widział żadnego obrazka! Był cholernie blady i zdenerwowany. Aż przyjemnie było popatrzeć - dodała ze złośliwą satysfakcją i sięgnęła po szklaneczkę.

Przysunęła się do mnie. Poczulem na ramieniu ciepło jej ciała.

- I co było dalej?

- Dalej? Marylin wróciła za jakieś dziesięć minut. Była bardzo zła i zdenerwowana. Bała się, że rudy ją wyleje. Zależało jej na posadzie... Czuła się tu jak ryba w wodzie...

- Co mówiła?

- Usprawiedliwiała się. Mówiła, że chłopak chyba zwariował. Nie chciał, żeby wracała do baru, podobno dopiero nieco zmiękł, kiedy umówiła się z nim na następny wieczór. Powiedziała, że zrobiła to tylko dla świętego spokoju, aby się od niego odczepić. I chyba była szczerą. Wybrał najgorszy moment do takich propozycji. Gdyby zrobił to kiedykolwiek indziej, poleciałaby do niego jak na skrzydłach, ale wtedy była na niego okropnie zła i nie miała zamiaru pójść na to spotkanie... Należ mi jeszcze...

Oparła się całym ciężarem ciała o moje ramię. Z każdą chwilą sytuacja stawała się coraz bardziej intymna. Oczy panny Kate rozmaślały się w miarę spadku poziomu whisky w butelce.

- Gdzie umówiła się z Hiltonem?

- Mówiła, że przy moło.

- A gdzie znaleziono zwłoki?

- Nie wiesz'? W wesołym miasteczku.

- W wesołym miasteczku?

- Od tygodnia było nieczynne. Kiedy sezon się kończy, Halifax je zamyka i zwalnia cały personel. To jest tylko sezonowa robota. Tam nie ma nawet nocnego stróża. U nas kradzieże są raczej rzadkie. Tam zresztą nie ma co ukraść... Co cenniejsze urządzenia Halifax każe rozmontować i zamknąć w magazynie.

Słuchałem z napięciem i nie zwracałem uwagi na to, że panna Kate przytula się do mnie coraz bardziej i że w jej głosie pojawiają się niskie, gardłowe tony.

- Właścicielem wesołego miasteczka jest Halifax?

- Stan Oliver Halifax. On tu jest właścicielem prawie wszystkiego. Taka nadęta stara purchawka... Czasami zachodzi do baru „U Freda”. Obsługuje go wtedy sam rudy świntuch... Zapomniałam, jak masz na imię...

- George...

- To ładnie. Lubię to imię...

- Daj spokój, Kate... Opowiadaj mi lepiej o tym Halifaxie...

- Nie ma o kim, to nieciekawo facet. Ty jesteś znacznie ciekawszy... Wasz takie fajne usta. Kobiety musiały ci o tym nieraz opowiadać... Teraz żałuję, że posłuchałam szeryfa i zatelefonowałam do niego... Przez okno widziałam, jak cię zgarniali.

- Nie ma sprawy. Nie przejmuj się. Nie wnoszę pretensji...

- ...George... jesteś z Nowego Jorku?

- Tak.

- To dlaczego jesteś taki niemrawy? Słyszałam, że chłopcy z Nowego Jorku umieją zabierać się do dziewczyn.

Nie odsuwałem jej od siebie, ale także nie zachęcałem do niczego. Uśmiechnąłem się półgębkiem.

- Już dawno nie jestem chłopcem. Podrywałem dziewczyny, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie. Jestem tylko starym, złażdaczonym prywatnym łapsem.

- Mnie to nie przeszkadza...

Jedną ręką zaczęła bawić się moimi włosami, drugą rozpinąć bluzkę. Pamiętałem oczywiście o zapłakanej dziewczynie z Nowego Jorku, która miała piękne ręce i nieprawdopodobne oczy. Zdecydowałem jednak, że panna Kate była ważnym świadkiem, którego w żadnym wypadku nie powinienem do siebie zrażać. Była poza tym cholernie pociągająca. Muszę przyznać, że to drugie było decydujące. Sięgnąłem ręką w kierunku kontaktu nocnej lampy.

- Nie potrzebujesz gasić - powiedziała. - Mnie światło nie przeszkadza. Nie lubię ciemności...

\* \* \*

Kły wampira spłynęły krwią. Oderwał zęby od szyi dziewczyny, której głowa osunęła się bezwładnie na jego ramię... Długie, porośnięte włosami i uwieńczone hakowatymi szponami palce zacisnęły się na jej nagim ramieniu. Kontrast między ciemną plamą tej wampirzej dłoni a delikatną, rozróżowioną bielą kobiecego ciała był równie szokujący i brutalny jak obraz i ociekających krwią kłów z poprzedniego ujęcia. I teraz zresztą także pojawiła się krew. Jej duże krople spłynęły sznureczkiem spod wbitych w ramię dziewczyny szponów...

Lucille Ambler, wtulona bezpiecznie w miękki kinowy fotel, zamierała z rozkoszy. Zaciskała spazmatycznie dłonie na poręczach i całkowicie nieświadoma obecności innych widzów, zatopiona w anonimowej ciemności sali kinowej, każdym nerwem zespałała się z rozgrywającym się na panoramicznym ekranie misterium grozy.

W końcu wampir wypuścił dziewczynę z uścisku. Osunęła się powoli, a jej jasne, prawie białe włosy i błękitna suknia utworzyły efektowną, barwną plamę na żółto--czarnej szachownicy posadzki... Potem było zbliżenie bladej, umęczonej twarzy martwej dziewczyny i znowu na ekranie pojawiła się krew. Dużo gęstej, połyskliwej krwi w kolorze rubinu. Nad włosami nieżywej dziewczyny zapłonął wielki czerwony napis: „Koniec”.

Zapaliło się światło, salę kinową wypełnił szmer szeptów, szum i stukotów krzeseł. Lucille budziła się powoli z odrętwienia. Poczła odrobinę zawodu, że wszystko się skończyło i nie będzie już więcej ani wampira, ani jego ofiary. Wielki ekran był biały i pusty. Filmowa krew nie pozostawiła na nim śladów. Dziewczyna podniosła się niechętnie i poczuła, że nogi ma zupełnie zdrętwiałe. Salę kina opuściła jako jedna z ostatnich. Kiedy znalazła się na zewnątrz w dusznym upale późnego wieczoru, jej myśli w dalszym ciągu krążyły wokół filmu.

Porównywała nowe wcielenie wampira z tymi, które dotąd widziała. Nowy Drakula bardzo jej się podobał. Błada, martwa twarz, spojrzenie obojętnych, jakby szklanych oczu i delikatny grymas sinawych warg, odsłaniający biel ostrych jak sztylety kłów, o których wiadomo, że wbijają się w końcu w czyjąś szyję, wywierały mocne wrażenie...

Lucille zbierała fotosy z filmów grozy, a przede wszystkim portrety monstrów i wampirów. Wytwórnice przesyłały je chętnie. Wystarczyło napisać do działu reklamy. Gdy wsiadała do samochodu, przypomniała sobie, że nie pamięta, kto wyprodukował „Rendez-vous z Drakulą” i gdzie trzeba wysłać prośbę o fotosy. Przez chwilę myślała, żeby wrócić i sprawdzić to. Zrezygnowała jednak. Parking położony był w pewnej odległości od kina, a zdrętwiałe nogi nie powróciły jeszcze do normy. Postanowiła, że jutro albo najdalej pojutrze obejrzy film jeszcze raz i wtedy zapamięta, która wytwórnia go nakręciła.

Niekiedy zdarza się, że jakieś drobne, pozornie zupełnie nieważne zaniechania przynoszą nieproporcjonalnie poważne skutki. Czasem nieodwracalne. Tak było i tym razem. Gdyby Lucille wróciła do kina, nie umarłaby jeszcze tej nocy. Morderca był już bowiem zmęczony oczekiwaniem. Wiedział, że musi zabić Lucille, ale uważał, że nie jest to aż tak pilne. Dlatego w pewnej chwili postanowił, że czekać na nią będzie jeszcze tylko piętnaście minut. Kiedy zobaczył wóz powracającej z kina dziewczyny, brakowało dwóch minut do wyznaczonego terminu.

Żył jeszcze, gdy zawlókł ją do miejsca, które dla niej przeznaczył. Żałował, że znowu było to tylko zabójstwo z konieczności. Zrozumiał, że jedynie zbrodnia pozbawioną elementu użyteczności może mu przynieść takiej przeżycia, jakich doznał w czasie ostatniego spotkania z Marilyn Stocker. Stare przysłowie mówi: „Apetyt rośnie w miarę jedzenia”. Całą duszą, każdym nerwem, każdą komórką mózgu zapragnął powtórzenia tego, co się stało przed kilku tygodniami... Z ulgą pomyślał, że być może już jutro uda mu się zaspokoić to pragnienie. Wierzył, że tym razem pójdzie jeszcze lepiej. Przestał być przecież nowicjuszem...

Otworzyła jedną z walizek i wyciągnęła z niej jakieś tekturowe pudełeczko. Wróciła na tapczan i ułożyła się obok mnie.

- Chcesz zapalić? - zapytała leniwie.

- Papierosy mam w marynarce...

- Mam coś lepszego... - otworzyła pudełeczko.

W środku znajdowało się kilka grubych ustnikowych papierosów. Podsunęła mi je na otwartej dłoni.

Nie palę marihuany. Mam swoje zasady i nigdy nie sięgam po narkotyki. Należę do pokolenia, któremu do szczęścia wystarczy zwyczajna whisky, a nawet piwo.

- Nie chcę... nie lubię tego świństwa...

- Jak uważasz... - włożyła jeden z papierosów między wargi, z których pocałunki starły ostatnie ślady szminki. - Podaj mi ognia...

Postulaznie siegnalem po zapalniczke.

- Nie pal lepiej tego - powiedzialem powaznie - to naprawde nic dobrego...

- Dlaczego? To bywa zabawne... Zreszta to tylko trawka.

- Zaczyna sie od trawki. Potem przychodzi ochota na cos naprawde mocnego. A jeszcze potem zaczyna sie pieklo. Koszmar, z ktorego juz nie ma wyjscia... Widzialem takich, co gryzli sciany, kiedy zabraklo im proszku. Wierz mi, to nie byl przyjemny widok...

Przypalila papierosa, zaciagnela sie glęboko i rozesmiala sie wzgardliwie:

- Nie wiedzialam, ze prywatne lapsy zajmuja sie nawracaniem zblykanych owieczek. Widocznie wynajela cię Armia Zbawienia...

- To nie temat do zartow, dziewczyno. Przezyłem juz dosyc lat, zeby sie przekonac, jakie sa skutki takich zabaw. Mozesz mi wierzyc...

- Stajesz sie nudny, dzidziusiu... Niedawno byles znacznie ciekawszy. W lozku jestes zupełnie niezly... Masz ten nowojorski sznyt... - Rozesmiala sie i wypuscila wielki klab dymu o odorzajacym, slodkim zapachu, ktorego serdecznie nie znosze.

Wstalem i zaczalem sie ubierac.

- Wybierasz sie gdzieś?

- Juz bardzo pozno. Wiesz, ze zatrzymalem sie daleko, w Everglades. Musze sie zmywac. Ty tez zreszta powinnaś sie przespac... O ile - dodalem po chwili - rzeczywiscie chcesz sie stad zabrac pierwszym autobusem, ktory rano stad odjedzie...

- Moze masz racje.

Zawiazalem krawat i narzucilem marynarkę. Z chęcia po prostu wyciagnalbym sie na tapczanie i usnal natychmiast, jak przestraszony sloncem susel, ale wiedzialem, ze nie wolno mi tego zrobic.

- Jeszcze jedno - powiedzialem jakby od niechcenia i tonem, ktory mial wskazywac, ze specjalnie nie zalezy mi na odpowiedzi. - Z tego, co mowilas, wynika, ze niej, bardzo wierzysz, aby to Hilton zalatwil twoja kolezanke...

- Nigdy nie wierzylam. Mowilam o tym glósno, ale potem przestalam.

- Dlaczego?

- To bylo tak... Kiedy odkryto zwloki Marilyn, zczal; sie szum. Przesluchiwano mnie kilka razy. Nawet nie wspomnialam im o Hiltonie. Po prostu zapomnialam o tym, co sie zdarzylo. Zreszta pamietalam dobrze, ze Marilyn nie miala wtedy najmniejszego zamiaru spotkac, sie z Hiltonem...

- I potem mieli do ciebie pretensje, ze im nie powiedzialas?

- Mieli. Ale to niewazne. Stalo sie cos znacznie gorszego...

- Gorszego?...

- Tak. Po przesluchaniu szeryf przyszedl do tego mieszkania i zabral sie do przeszukiwania jej rzeczy. Jak skonczyl, to zabral sie do moich szuflad. Zaczalam krzyczec, zeby zostawil je w spokoju. Nie lubie, gdy obcy mezczyzna gmera pomiedzy moimi majtkami. Po prostu nie lubie...

- Ale on szukał nadal?

- Szukał. Wcale się nie przejął protestami. I co gorsza, znalazł wśród moich rzeczy paczkę papierosów z trawką. Od razu rozpoznał, co to jest.

- Wystarczy powąchać.

- Zapowiedział, że wniesie oskarżenie o posiadanie narkotyków... Przeszukał potem całe mieszkanie, znowu mnie wypytywał o Marilyn, jej znajomych i wreszcie sobie poszedł. O trawce więcej nie wspomniał. Myślałam, że sprawa jakoś przyschnie.

- Nie przyschła?

- W kilka dni potem zamknięto jakiegoś typa. Zaraz go jednak wypuścili i przyskrzynili Hiltona. Bardzo mi się to nie spodobało. Mówiłam o tym wszystkim, i to bardzo głośno. - Roześmiała się i głęboko zaciągnęła odurzającym dymem.

- Ale potem przestałaś?

- Ty też byś przestał... Znowu rozmawiał ze mną szeryf. Miał pretensję o to, że nie powiedziałam mu o umówieniu się Hiltona z Marilyn. Groził, że mogę być oskarżona o zatajanie istotnych dla przebiegu śledztwa informacji.

- Czy zeznawałaś pod przysięgą?

- Nie...

- No to nie miałaś żadnego obowiązku mówić o Hiltonie.

- Nie znam się na przepisach. Jestem prostą dziewczyną. Straszyl także, że może mnie posadzić za coś takiego jak... - zająknęła się - współnictwo... współnictwo...

- Wspólnictwo po fakcie?

- Właśnie! Nie bardzo mu wierzyłam, ale zawsze.. ^ Gorzej, że znowu przypomniał mi tę cholerną trawkę. Powiedział, że gotów jest to potraktować wyrozumiale, ale nie wolno mi przeszkadzać policji. Dodał, że wina Hiltona jest udowodniona i nie powinnam robić żadnego zamieszania... No i przestałam robić zamieszanie. Zamknęłam buzię na kłódkę i myślałam, że na tym skończą się moje kłopoty.

- Ale się nie skończyły - stwierdziłem z przekonaniem - potem znowu ci przypomnieli trawkę i kazali zatelefonować, kiedy się u ciebie zjawię... Gliny mają już taką naturę, że jak raz się przykleją, cholernie trudno się od nich oderwać... Jeżeli mają na człowieka jakiegoś haka. nie dadzą mu już nigdy spokoju. Nie ufaj łasce glin, dziewczyno. Jeżeli już zdarzy ci się coś przeszkrobać, { lepiej odpokutować za to do końca, niż zdawać się na wspaniałomyślność policji. Tak już jest na tym świecie...

- Dlatego rano wyjeżdżam.

- Masz rację. Tu już nie miałabyś życia.

Pomilczeliśmy przez kilka minut. Paliła powoli swoją trawkę, jej oczy stawały się dalekie i nieobecne. Dwie, zapakowane walizki stały na podłodze, obok tapczanu. Otwarta szafa była pusta. Pusta też była butelka na stole. Pomyślałem tęsknie, że łyknąłbym z przyjemnością nową porcję

bourbona. Mógłby być nawet taki sam, jaki wydudliłem przed godziną. Zapach samogonu tak znowu bardzo mi nie przeszkadza. W każdym razie jest znacznie przyjemniejszy od woni świństwa, które paliła Kate...

- Jeżeli Hilton nie zabił Marilyn - zacząłem na nowo - kto mógł to zrobić?... Nie przychodzi ci coś sensownego, do głowy?

Dość długo czekałem na odpowiedź. Była pogrążona w swoim odurzającym dymku. Leniwie poruszyła głowę i mruknęła:

- Jesteś nudny... Nie chcę już o tym rozmawiać... Na początku, zanim jeszcze zamknęli Hiltona, pytali mnie o to w kółko i bez przerwy... Znienawidziłam te pytania...

- A co im odpowiadałaś? - nie ustępowałem.

- To, co odpowiem teraz i tobie, nudziarzu... Po prostu nie mam zielonego pojęcia, kto ją mógł zabić... Znała tylu chłopów...

- Z kim chodziła ostatnio?

- Ostatnio?... Ostatni to był chyba taki sklepikarz z Cleveland... Spędzał tu swoje wakacje. Wyjechał na kilka dni przed śmiercią Marilyn.

- A potem był ktoś nowy?

- Nie wiem... Chyba musiał być. Przecież w końcu poszła do tego wesołego miasteczka. Sama by tam nie polazła...

- Zadawała się tylko z turystami?

- Najczęściej. Ale zdarzali się i miejscowi... choć ostatnio raczej nie... Daj mi zresztą spokój z Marilyn. Nic jej już nie wskrzesi.

- Czy zadawała się kiedyś z tym... właścicielem tego wesołego miasteczka, jakże mu tam... - udawałem, że nie mogę przypomnieć sobie nazwiska.

- Z Halifaxem? Coś ty... Za wysokie progi dla małej Marilyn. Ona z pewnością nie miałaby nic przeciwko temu, ale grubasek był już mocno obstawiony. Załatwia te rzeczy z taką jedną blondyneczką z biustem jak Miss Cyc. Ze swoją sekretareczką.

- A z tym waszym rudzielcem - dopytywałem cierpliwie - co ją łączyło z waszym rudzielcem?

Zaczęła się śmiać. Trochę nienaturalnie i odrobinę za głośno. Pomyślałem, że koktajl złożony z whisky, miłości i marihuany był trochę za mocny na jej głowę. Dałem jej jednak wychichotać się do woli. Wreszcie przestała, tak samo nagle, jak rozpoczęła.

- A jak myślisz? Co ją mogło łączyć z rudą świnią?! Nie domyślasz się, chłoptasiu? A wiesz, że on i do mnie się dobierał? Ma strasznie lepkie łapy ta ruda świnia. I strasznie szybkie... Trudno się od niego opędzić... I wiesz, jakie on miał wymagania? Prawdziwa obrzydliwa; świnia!

Nie miałem ochoty wysłuchiwać zwierzeń o erotycznych obyczajach rudego właściciela baru „U Freda”. Byłem zmęczony i niewyspany. Chciałem jak najszybciej opuścić już to mieszkanie. Pokiwałem głową ze współczuciem i jeszcze raz wróciłem do interesujących mnie spraw:

- Co ty właściwie wiedziałaś o Marilyn? Miała jakąś rodzinę? Skąd się tu wzięła?



- Powtarzam, że nudzisz mnie, chłopczyku. Nie będę już mówiła o tej małej kurewce. Daj mi spokój.

- Co się stało z jej rzeczami?

- Są w tamtej szafie... - Wskazała na drzwi w ścianie. - Ja ich nie potrzebuję... Nikomu nie są potrzebne. Możesz je sobie zabrać, łapsie... Możesz w nich grzebać do woli.

Nie potrzebowała powtarzać zaproszenia. W jednej chwili byłem przy szafie. Niedużo było tam tych rzeczy: Trochę sukienek, bielizny, kilka par pantofli. Na jednej z półeczek leżały dwie napoczęte szminki, słoiki z kremami, butelka drogich perfum, dwa pojemniki płynu do opalania w aerozolu, grzebień i rozpieczętowane pudełko pigułek antykoncepcyjnych. Nie było za to żadnego listu, notatnika czy choćby jakiejś fotografii.

- Niewiele tu tego - powiedziałem nie kryjąc rozczarowania. - Nie miała żadnego papierka? Żadnego listu albo fotografii?

- Była fura papierzysek, ale gliny wszystko chapnęli. Nic nie zostało dla ciebie, łapsie... Obejdiesz się smakiem. - Znowu zaczęła się śmiać. - Przestań się zajmować umarłą. Nie rozumiesz, że ona już nie żyje? Zajmij się lepiej mną. Czyż nie widzisz, na co mam jeszcze ochotę?

Oczywiście już od jakiegoś czasu widziałem, jednak wcale nie miałem chęci na to samo. Znowu wsadziłem nos w szafę i ponownie zacząłem przewracać garderobę zmarłej. Po chwili zaryzykowałem ostrożnie jeszcze jedno pytanie:

- I nie zostało po niej nic, choćby papierek, jakaś notatka? Dosłownie nic?

Zerwała się z tapczanu, jakby ją smagnięto pokrzywami. Ładnie nawet wyglądała. Była naga, wspaniale opalona, włosy spływały jej na kark miękką, jasną falą. Z oczu szły takie iskry, że zachodziło niebezpieczeństwo pożaru. Porwała z półki jakieś ilustrowane czasopismo i z całej siły cisnęła nim w moim kierunku. Ledwo zdążyłem się uchylić. Czasopismo z furkotem przeleciało koło mej głowy, obilo się o ścianę i wylądowało na podłodze. Odruchowo spojrzałem na okładkę. Pod wielkim tytułem „Poznajmy się”, na kolorowym zdjęciu mocno rozneglizowana brunetka przytulała się namiętnie do atletycznego typu, szczerzącego w uśmiechu oszłamiająco białe zęby.

- Został papierek! - krzyknęła histerycznie. - Masz, udław się! To jej własność! Czytała tę szmatę od rana do wieczora!... Ty też sobie przeczytaj i obejrzyj obrazki... Może wtedy zaczniesz zachowywać się jak mężczyzna!

\* \* \*

Bobbie Norton jeszcze raz delikatnie nacisnęła klamkę u drzwi. Była zamknięta. Była uwięziona we własnym pokoju. Zagryzła ze złością wargi, ale tym razem zrezygnowała z krzyków... Przekonała się, że nie dają one żadnych rezultatów. Usiadła przy lustrze i zaczęła się uważnie przeglądać. Oczy miała zapuchnięte od płaczu, a lewy policzek nienaturalnie zaczerwieniony i nabrzmiały. Sprawiało to bardzo niekorzystne wrażenie. Wytarła oczy chusteczką, a potem delikatnie obmacywała koniuszkami palców palący policzek. Od dotknięć zostawały białe plamki, które już po kilku sekundach z powrotem nabiegały czerwieni. Znowu zebrało się jej na płacz i

ogarnęła ją przemożna chęć ucieczki. Wyrwać się z zamknięcia. Za wszelką cenę wydostać się, z przytulnego pokoiku, który z bezpiecznego schronienia przemienił się w celę więzienną. Z zimną nienawiścią popatrzyła na ściany, na których porozwieszała koperty od płyt i kolorowe fotografie gwiazd filmowych, na wąskie staroświeckie łóżeczko, na którym kłębiła się zmiętoszona pościel, i na ścienną, szeroko otwartą szafę. Sukienki, porozwieszane normalnie na wieszakach, poniewierały się teraz po podłodze. Dywan był częściowo podwinięty, a płyty, wyciągnięte ze stojaka i przemieszane z książkami, piętrzyły się na podłodze.

Pokój, w którym zwykle panował wymuskany porządek - matka Bobbie nie tolerowała choćby śladu bałaganu - sprawiał wrażenie miejsca nawiedzonego podmuchem tropikalnego cyklonu. Sprawczynią tego bałaganu była matka Bobbie. Gdyby poszukiwania przeprowadził szeryf Norton, rujnacja byłaby znacznie mniejsza - miał wprawę w szukaniu. Jego żona przeprowadziła rewizję, zupełnie po amatorsku i nie zostawiła w spokoju nawet takich miejsc, w których nic nie mogło być schowane. Alei matka Bobbie nie zastanawiała się nad tym. Ogarnięta świętym gniewem, wybebeszyła dokładnie cały pokój, wkładając w to wiele pasji. Rewizja nie dała rezultatów., Bobbie nie przechowywała starych numerów „Poznajmy się”... Ten, który pani Norton wykryła wieczorem w torbie plażowej Bobbie, był jedynym, jaki znajdował się w tym domu.

Dziewczyna popełniła fatalną nieostrożność. Leciutko i podniecona wypita w barze „U Freda” whisky, zapomniała o rygorystycznie dotąd przestrzeganych środkach ostrożności. Żółtej koperty z numerem „Poznajmy się” nie ukryła od razu pod materacem, ale pozostawiła w torbie plażowej. Była to już nieostrożność, ale Bobbie nie poprzestała na jednym potknięciu. Zamiast zawiesić torbę na haczyku, w miejscu do tego przeznaczonym, zaabsorbowana problemem ukrycia leciutkiej woni alkoholu - manewrowała tak, by nie zbliżyć się do matki - postawiła ją na podłodze, w pobliżu drzwi od łazienki. Taki niebezpieczny zaczątek bałaganu, który mógł jak zaraza rozprzestrzenić się po schludnej siedzibie Nortonów, nie uszedł uwagi matki. Natychmiast podniosła torbę i trzymając ją w rękę, udała się na poszukiwania córki, aby skarcić ją za nieporządek. Znalazła dziewczynę w jej pokoju. Bobbie, widząc torbę w rękach matki, przypomniała sobie o jej niebezpiecznej zawartości i straciła głowę. Pobladła straszliwie. Zamiast pokornie wysłuchać wymówek, przyrzec poprawę i odebrać torbę, poderwała się z krzeselka, z przerażeniem wpatrując się w przedmiot w rękach matki.

Dziwne zachowanie dziewczyny nie uszło oczywiście bystrego spojrzenia pani Norton, nastawionego na wykrywanie wszelkich zakłóceń i nieporządków w obrazie otaczającego ją świata. Przestach i wzburzenie Bobbie były tak nieproporcjonalne w stosunku do wagi popełnionego przez nią przewinienia, obłądne spojrzenie tak niedwuznaczne, iż w umyśle pani Norton natychmiast zrodziło się podejrzenie, ba, nawet pewność, że stało się coś niesłychanie poważnego. Bez słowa otworzyła trzymaną w rękę torbę. Od razu zobaczyła kopertę, na której ktoś dużymi, starannie wykaligrafowanymi literami wypisał imię i nazwisko córki. Bobbie nawet nie próbowała protestować, gdy matka niecierpliwie rozrywała kopertę (pani Norton zawsze kontrolowała listy,

które otrzymywała Bobbie) i wyciągnęła z koperty numer „Poznajmy się”. Spojrzała na okładkę i na jej twarzy odmalował się wyraz przeogromnego zdumienia. Trwała w osłupiałym milczeniu przez dobre kilkanaście sekund. Wymowa ilustracji okładkowej była jednoznaczna. Powoli, jakby dotykała czegoś niesłychanie obrzydliwego, zaczęła kartkować czasopismo. Ilustracje wewnątrz numeru były jeszcze śmielsze od fotki okładkowej. Pani Norton oczywiście słyszała o istnieniu tego rodzaju ilustracji, nigdy jednak w życiu nie widziała niczego podobnego. Wrażenie było piorunujące...

Bobbie podeszła cichutko do matki i pełna trwogi, wyszeptwała:

- Mamusiu... to nic takiego... to naprawdę nic nie; znaczy...

Pani Norton oderwała wzrok od fotografii, na której pod podpisem „Szczęśliwa rodzina” przedstawiono mamę, tatę oraz czwórkę dzieci różnej płci i różnego wieku uganiających się na golasa po nasłonecznionej plaży za wielką kolorową piłką. Nieprzytomnym spojrzeniem obrzuciła przerażoną twarz swej córki. Jednocześnie poczuła delikatną woń alkoholu... Uniosła rękę i otwartą dłońią trzasnęła Bobbie w twarz. Policzek nie był symboliczny. Pani Norton była silną kobietą i włożyła w uderzenie całą moc swego oburzenia i zgrozy. Bobbie, zupełnie zaskoczona, zatoczyła się i upadła na łóżko. Uczuła palący ból w twarzy i odruchowo uniosła ramiona, zasłaniając głowę przed następnymi razami. Ale więcej uderzeń nie było. Pani Norton z fanatycznym błyskiem oczu rozpoczęła systematyczne przetrząsanie pokoju córki. Myszkowała zajadle, milcząca, z mocno zaciśniętymi wargami... Zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na dziewczynę, która skulona w kącie, zanosiła się płaczem. Policzek nabrzmiewał i pulsował piekącym bólem, łyzy rozmazywały się po twarzy, tworząc płaskie bruzdy w grubej warstwie kremu przeciw piegom. Po kilku minutach, tłumiąc narastający szloch, spróbowała przeprosić matkę. Zapewniała o głębokiej skruszce, przysięgała, że już nigdy w życiu nie spojrzy na coś podobnego... Pani Norton zachowywała się tak, jakby słowa córki do niej nie docierały. Z ponurą zawziętością zaglądała do każdej kieszonki, studiowała każdy strzępek zapisanego papieru, przeglądała wszystkie książki. A potem, nawet nie spojrzawszy na córkę, skierowała się do wyjścia. Bobbie podjęła jeszcze jedną próbę. Zbiegła matce drogę i usiłowała ucałować pokornie jej rękę. Próba zakończyła się fatalnie. Nowe uderzenie, równie silne jak pierwsze, wylądowało na tym samym co poprzednie policzku dziewczyny.

Pani Norton bez słowa wyszła z pokoju. Oszołomiona Bobbie nie usiłowała nawet wybiec za nią. Pozostała sama, przeżywając wśród płaczu swój ból, wstyd i przestrasz...

Potem było jeszcze gorzej. Minęło pół godziny i zjawił się szeryf Norton. Bobbie zawsze trochę się go bała. Gdy wszedł tego dnia do pokoju, ogarnęła ją panika. Bała się jego gniewu, strachem przejmował widok jego luźno zwisających, silnych rąk, które w każdej chwili zawęzić się mogły w twarde pięści. Pomna reakcji matki, w panicznej trwodze wyobrażała sobie siłę uderzeń dłoni ojca.

Ale szeryf nie miał zamiaru bić córki. Nie okazał jej także ani gniewu, ani oburzenia. Było jeszcze gorzej. Po prostu potraktował ją jak osobę podejrzaną o jakieś przestępstwo. Przydusił

beznamiętnymi pytaniami, zmusił do szczerości, do szczegółowego wyznania winy... Osaczona niespiesznymi pytaniami, przerażona tonem głosu, tonem, którego jeszcze nigdy nie słyszała, załamała się od razu. Drżącym głosem opowiedziała, od kogo dowiedziała się o istnieniu „Poznajmy się”, jak załatwiła prenumeratę, w jaki sposób odbierała kolejne numery i co z nimi po przeczytaniu zrobiła... Gdyby szeryf naciskał dalej, oczywiście powiedziała by więcej. Ale nie naciskał. W pewnej chwili uznał widać, że wydobył z dziewczyny już wszystko. Bez słowa podniósł się z krzesła. Bobbie spojrzała błagalnie. Wypowiadała się szczerze i podświadomie czekała na rozgrzeszenie i wyznaczenie pokuty. Ale nie było żadnego rozgrzeszenia. Szeryf po prostu powiedział:

- Będziesz zamknięta w swoim pokoju - i wyszedł.

Kiedy usłyszała chrobot klucza przekręcane w zamku, odetchnęła z ulgą. Wydało się jej, że najgorsze minęło. Gdy jednak poczuła głód i spróbowała się wydostać, okazało się, że drzwi są zamknięte. Nie dano jej kolacji ani niczego do picia. Około północy nie wytrzymała i zaczęła łomotać do drzwi, a nawet krzyczeć. Nie otworzono. Nie zwracano na nią uwagi. Jak osoba zakażona zaraźliwą chorobą została całkowicie wyłączona z obrębu rodzinnej społeczności. Poczucie izolacji, odsunięcia na margines było dojmujące i trudne do zniesienia. Potem, już głęboką nocą, wiedzioną irracjonalną nadzieją, że jakimś cudem nie dosłyszala chrobotu klucza, jeszcze kilkakrotnie sprawdzała, czy drzwi są nadal zamknięte.

Teraz spróbowała po raz ostatni. Chciała stąd wyjść, ale postanowiła, że nie będzie już więcej się ponizala stukaniem, płaczem i prośbami... Dość tego... Poczucie winy i strach powoli przemieniały się w gniew i zimną nienawiść. Już ona ich urządzi! Jeszcze raz obmacała delikatnie nabrzmiały i obolały policzek. Nie będą jej wiecznie trzymali w zamknięciu... Wcześniej czy później będą musieli otworzyć. Przecież nie mogą zagłodzić jej na śmierć. A kiedy już się wydostanie... Po raz pierwszy od kilku godzin uśmiechnęła się do siebie. Nie był to przyjemny uśmiech. Postanowiła, że odegra się na rodzicach. Bez względu na konsekwencje wytnie im taki numer, że mamie oko zbieleje! Przypomniała sobie o liście, który kilka dni temu wysłała, i odpowiedzi, jaką otrzymała.

Odpowiedź nadeszła, podobnie jak numery „Poznajmy się”, na poste restante. List Bobbie zniszczyła, ale dobrze zapamiętała jego treść. Każde słowo... To, co dotąd traktowała jako dwuznaczny, podniecający żart, stało się nagle sprawą poważną...

\* \* \*

Jakoś nie mogłem usnąć. Kiedy wracałem do leśnego schroniska przy wejściu do Narodowego Parku Everglades, prawie że drzemałem za kierownicą. Raz nawet musiałem się zatrzymać, wyjść z wozu i wykonać kilkanaście przysiadów. Ale na miejscu chęć do snu całkowicie mi minęła. Pozostało jednak zmęczenie. Byłem nim naładowany jak pieczony kurczak nadzieniem. I w dodatku te moskity. Atakowały z taką zajadłością, że o zaśnięciu nie było mowy. Toteż wielkim podziwem nappełnił mnie widok podpatrzony przez okno chatynki przy szlabanie. Telewizor był nadal włączony, piwo wypite — puste puszki poniewierały się po podłodze -a dzielny strażnik

Narodowego Parku Everglades spał spokojnie w leżaku, nie zwracając uwagi na roje unoszących się wokół niego owadów. Nie zauważył mojego powrotu, podobnie jak nie zareagował na odjazd.

Leżałem na pryczy, walczyłem z moskitami i zastanawiałem się, co robić dalej. Sprawa Jamesa Hiltona wyglądała zdecydowanie źle. Oczywiście, zawsze istnieje możliwość starań o rewizję wyroku lub o ułaskawienie, zwłaszcza że w ostatnich latach wyroków śmierci w naszym kraju nie wykonuje się zbyt często, niemniej wydało mi się, że gdyby Hiltonowi przyszło obecnie stanąć przed sądem przysięgłych, skutek byłby jednoznaczny. Dobrze znałem przysięgłych z głębokiego Południa. Tacy faceci na ogół nie przepadają za ludźmi, którzy demonstracyjnie palą karty powołania, i jeżeli prokuraturze uda się zgromadzić jako tako przekonywujące poszlaki, z czystym sumieniem i poczuciem dobrze spełnionego patriotycznego obowiązku pošlą Hiltona na elektryczny ruszt.

Żeby wyciągnąć Jamesa Hiltona z przedsionka celi śmierci, trzeba było znaleźć tego, kto naprawdę załatwił pannę Marilyn, i przywlec go za kark przed oblicze sprawiedliwości. I to w dodatku obciążonego taką porcją oczywistych dowodów winy, żeby panowie przysięgli nie mogli mieć ani cienia wątpliwości... Tylko że wcale nie było to takie proste... Nie miałem żadnego dostępu do! materiałów śledztwa i nic nie wskazywało, żebym kiedykolwiek mógł go uzyskać. Dla miejscowej policji, a pewnie i dla prokuratury, sprawa była definitywnie zamknięta. Czasu miałem diabło mało. Byłem tu sam i działać musiałem zupełnie po omacku.

Z tego, co dotychczas wyniuchałem, niewiele wynikało... Marilyn pokładała się z całą masą chłopaków... Sądząc z charakteru zbrodni, właśnie jeden z nich może okazać się mordercą. Trzeba by było rozejrzeć się wokół tych chłopaków, popytać, poobserwować... Byłem wyznawcą zasady, że nawet i ślepiej kurze trafi się ziarno, jeżeli będzie systematycznie dziobać raz koło razu. Czasami stosowałem metodę ślepiej kury i... udawało się^ Nieszczęście polegało na tym, że szeryf Norton był zdecydowany ugotować rosółek ze ślepiej kurki, która by rozgrzebywała jego podwórko... Sytuacja wydawała się bez-nadziejna. Ale nie należałem do facetów, którzy rezygnują ją z tak błahego powodu.

Bohatersko, nie zwracając uwagi na moskity, zapaliłem światło i zabrałem się do lektury. Gdy znajduję się w kropce i zupełnie nie wiem, co robić, zaczynam czytać: Wszystko jedno co. Może to być powieść, tabela notowań giełdowych albo nawet kodeks karny. Wyciągnąłem z kieszeni marynarki egzemplarz czasopisma, którym : usiłowała trafić mnie w głowę spragniona miłości panna Kate. Czasopismo to, według słów Kate Malory, było własnością zamordowanej dziewczyny...

Wyglądziłem pomięte kartki, rozłożyłem magazyn na zielonym kocu, pokrywającym pryczę, i nie zaprzestając krwawej wojny z moskitami, zabrałem się do czytania. Tytuł czasopisma brzmiał: „Poznajmy się”. Na kolorowej okładce jakaś zafrasowana pani wlepiła smętne spojrzenie w swój obnażony biust, który podtrzymywała obiema dłońmi. Wewnątrz numeru były artykuły, ilustracje i ogłoszenia. Ilustracje obejrzałem na początku. Przedstawały z reguły mniej lub bardziej rozebrane

panie i równie roznegliżowanych panów, spędzających czas razem lub osobno. Trudno to było nazwać pornografią. Fotografowie unikali scen i zbliżeń zbyt drastycznych. Ale wszystko to wyglądało jakoś dwuznacznie, ślisko i w sumie dosyć obrzydliwie. Po zaznajomieniu się z ilustracjami zabrałem się do artykułów. Dotyczyły spraw seksu i utrzymane były w tonie stanowiącym zadziwiające połączenie cikliwego sentymentalizmu, naukowego seksuologicznego żargonu i trywialnego dowcipu. Artykuły były tylko trzy. Wszystkie pozbawione sensu i przerażająco głupie. Na zakończenie przystąpiłem do lektury ogłoszeń i po chwili zorientowałem się, że to one właśnie stanowią gwóźdź programu i nadają sens tytułowi czasopisma. Nie chodziło tu o duże, ilustrowane ogłoszenia reklamujące wąskotaśmowe filmy erotyczne, półprzezroczystą bieliznę, atrapy biustów, pigułki i galaretki antykoncepcyjne, ale o ukryty na końcu numeru dział drobnych ogłoszeń osobistych.

Czytałem:

*B.362 Atrakcyjna brunetka bez przesądów pozna pana po czterdziestce, także pozbawionego przesądów.*

*E.363 Młode małżeństwo o intensywnym życiu seksualnym poszukuje innej pary w celu wymiany doświadczeń.*

*B.364 Mam lat dwadzieścia, jestem czarny, nie wierzę w miłość heteroseksualną i nie mam rasowych uprzedzeń.*

*B.365 Nazywam się Stella. Mam dwadzieścia pięć lat, luksusowe mieszkanie. Lubię dojrzałych panów. Satysfakcja gwarantowana!*

*B.366 Halo, ciekawscy! Mamy z mężem po dwadzieścia lat! Kochamy się jak wariaci! Możecie nas oglądać!*

*B.367 Subtelny intelektualista po pięćdziesiątce, długoletni mieszkaniec Paryża, pozna młodą, bardzo inteligentną damę także kochającą wyrafinowaną kulturę francuską. Profesjonalistki wykluczone!*

*B.368 Zaufajcie Drakuli! Piękne miłośniczki filmów grozy zaznają niezapomnianych przeżyć w ramionach „wampira”. Dyskrecja zapewniona! Zaufajcie Drakuli.*

To ostatnie ogłoszenie obwiedziane było delikatniej linią nakreśloną długopisem. Przejrzałem anonsy do końca. Nigdzie więcej nie znalazłem podobnej linii. Tylko ten jeden kogoś zainteresował. Odszukałem w czasopiśmie stopkę z adresem redakcji... Po krótkim namyśle ułożyłem sobie plan działania na zbliżający się dzień.

Nagle poczułem, że ogarnia mnie tak dawno oczekiwana i upragniona senność. Zgasilem światło, zaprzestałem beznadziejnej walki z moskitami i usnąłem prawie od razu. Jeszcze tylko przez chwileczkę dolatywało do moich uszu cykotanie świerszczy i ten przerażający wrzask ptaka, który za pierwszym razem napędził mi tyle strachu. Przyśniła mi się Kate Malory. Pochylała się nade mną. Z ust wystawały jej długie kły. Delikatnie szczypała mnie w policzki i szeptała: „Nazywam się Drakula, pokochajmy się, dzidziusiu”...

\* \* \*

Patrick Halifax z uwagą obserwował zachowanie ojca. Nie mógł oderwać oczu od jego bladej, nalanej twarzy, lśniącej teraz od potu. Stan Oliver Halifax wyglądał zdecydowanie źle. Pod oczami utworzyły mu się obwisłe worki, spojrzenie miał znużone i przygaśnięte. Patrick nie widział go nigdy w takim stanie. Halifax zauważył wzrok syna. Szybko opuścił głowę, przymknął oczy. Starał się nie spoglądać więcej w kierunku Patricka.

Słońce stało jeszcze nisko, ale upał był już trudny do wytrzymania. Patrick nie był wytrzymały na upały, a już szczególnie nie cierpiał lekkiego, bagiennego odorku, jaki zawsze unosił się w bezpośrednim sąsiedztwie obetonowanych stawików z aligatorami. Najchętniej poszedłby sobie i zabrał się do czytania książki. Jednak odejście zostałoby z pewnością zauważone i ocenione jako gruby nietakt. v

Wiele osób po cichu i oczywiście nie w obecności Stana Olivera Halifaxa zarzucało Patrickowi snobizm, wyniosłość i lekceważący stosunek do współobywateli Holiday Beach. Ojca szanowano i bano się trochę, ale na ogół go lubiano. Patricka nikt się nie obawiał, ale jednocześnie nikt go też nie obdarzał sympatią. Kpiono z jego intelektualnych ambicji, które oceniano jako głupawe fanaberie maminsynkowatego paniczyka, drażnił też jego wyniosły, pełen uprzejmej obojętności sposób bycia. Stan Oliver Halifax wpadał od czasu do czasu na szklaneczkę whisky do baru „U Freda”. Wdawał się wtedy w przyjazne pogawranki z bywalcami, którzy - choć tego nie okazywali - czuli się tym trochę zaszczytzeni. Patrick nigdy nie odwiedził baru i chyba nie zdarzyło się, aby przemówił do jakiegoś zwykłego mieszkańca Holiday Beach, jeżeli nie było to absolutnie konieczne. Wszystko to budziło niechęć, jaką zawsze w małej społeczności wywołuje postawa izolacji.

Patrick zdawał sobie z tego sprawę, ale w gruncie rzeczy opinia obywateli Holiday Beach była mu obojętna. Z wielu jednak względów nie zależało mu na pogłębianiu konfliktów i dlatego pozostał wśród grupki osób zgromadzonych wokół jednej z krokodylich sadzawek.

Szeryf Norton pochylił się nad złożonymi na plastikowej płachcie krwawymi szczątkami wyłowionymi z basenu.

- Doktorze - powiedział do lekarza klęczącego nad płachtą - proszę mi podać ten zegarek...

Lekarz ujął wskazany przedmiot pincetą i włożył go do małego, plastikowego pudełeczka, wyciągniętego ze skórzanej walizki, która leżała nie opodal jego nóg. Zamknął przezroczyste pudełko i podał szeryfowi. Norton trzymał je ostrożnie w wielkiej, niedźwiedziej dłoni i chwilę się wahał, zanim zdecydował się podsunąć pudełko właścicielowi farmy.

- Czy poznaje pan ten przedmiot?

- Tak... Poznaje. To jest zegarek mojej sekretarki, panny Lucille...

- Na pewno?

- Na pewno... znam go dobrze...

- A więc - powiedział szeryf - to już trzeci element identyfikacji... Można przyjąć, że to właśnie ta dziewczyna wpadła do tej przeklętej sadzawki... Czy ktoś widział dziś pannę Ambler? - Powiedział wzrokiem po zgromadzonych.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Nie stawiała się dziś do pracy - powiedział cichym głosem po długiej chwili Stan Oliver Halifax.  
- Nie mogłem zrozumieć, co się stało... Ale żeby coś takiego... Nie, to niemożliwe... Coś takiego nie mogło się wydarzyć...

Znowu nikt się nie odezwał. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z charakteru związków łączących Halifaxa z sekretarką i jakoś nikt nie miał serca przekonywać go, że to właśnie jej szczątki znaleziono.

Szeryf Norton zdecydował się w końcu na mruknięcie:

- To jednak chyba ona, panie Halifax...

- Rozstaliśmy się w Miami po południu... Ja miałem tam jeszcze coś do załatwienia, ona spieszyła się do kina - drewnianym, nieswoim głosem wyjaśnił Stan Oliver Halifax - wzięła mój wóz. Ja wróciłem taksówką... Wieczorem już jej nie widziałem. Miała iść do kina...

- Gdzie jest teraz ten pana wóz?

- Nie wiem...

- Wóz szefa, ten, którym pojechali do Miami - zajazgotał zaśliniony człowieczek, który w gospodarstwie Stana Olivera Halifaxa spełniał rolę specjalisty od samochodów, silników, chłodziarek, klimatyzacji i instalacji elektrycznych - stał dzisiaj rano na podjeździe przed głównym wejściem, kluczyków nie było...

- Oto kluczyki - powiedział cicho lekarz i znowu pogmerał pincetą w krwawej miazdze złożonej na płachcie. - Oto one... - Triumfalnym ruchem podniósł pincetę, potrząsając kluczykami od samochodu...

Wszystkie oczy wlepiły się w Stana Olivera Halifaxa.

Wpatrywał się w przedmiot demonstrowany przez lekarza... Choć nie powiedział ani słowa, nie mogło być wątpliwości, że rozpoznał kluczyki. Skurcz, który wykrzywił mu bladą, spoconą twarz, mówił wszystko.

- To chyba było tak — powiedział szeryf cicho i beznamiętnie - że panna Ambler wróciła z kina późnym wieczorem, zostawiła wóz na podjeździe i zanim wprowadziła go do garażu, poszła pospacerować po farmie... Było ciemno. Musiała się potknąć i wpaść do tej cholernej sadzawki... - Podniósł nagle głos: - Czy ktoś wieczorem coś słyszał?

Znowu cisza świadcząca, że nikt nie ma nic do powiedzenia.

- Musiała krzyżeć, gdy ją capnęły. Czy tu wieczorem nie ma nikogo?

- Byłem ja - powiedział czarnoskóry chłopak - siedziałem w dozorcówce, o tam - pokazał maleńki baraczek z eternitu, ustawiony w sporej odległości od nieszczęsnej sadzawki, w której



wygrzewały się spokojnie olbrzymie aligatory, zupełnie obojętne na panujące od rana w pobliżu ich siedziby zamieszanie.

- I nie słyszałeś nic? - w głosie szeryfa zabrzmiały twardsze, nieprzyjemne tony.

W rzeczywistości ten sposób mówienia nie oznaczał wcale, że nie wierzy chłopcu albo że ma do niego pretensję. Po prostu w taki właśnie sposób zwykł zwracać się do ludzi o kolorze skóry odmiennym od jego. Chłopak jednak o tym nie wiedział. Przestraszony, zaczął gęsto się tłumaczyć. Zapewniał, że w nocy nie spał, choć wolno mu było to robić, gdyż do jego obowiązków należał tylko trzykrotny obchód farmy w ciągu nocy.

- I robiłeś te obchody?

- Robiłem... Nie widziałem niczego. Wszystko było tak jak zawsze, naprawdę...

- Jest jeszcze jedno, szeryfie - wtrącił się nagle starszy, siwy mężczyzna, który pełnił na farmie funkcję szefa pielęgniarzy zwierząt. - Nie słyszałem jeszcze nigdy, aby dorosłe gady zaatakowały kogoś. Zwłaszcza gdy są nażarte... Gdyby panna Ambler przypadkowo wpadła do basenu, to raczej one by się przestraszyły... Co innego, gdyby to był basen z młodymi sztukami... Te są zawsze głodne i trzeba z nimi uważać. - Pokazał odsłonięte ramię, na którym widać było potworną, szeroką na dwa i długą na dziesięć cali bliznę...

- A jednak ją załatwiły... - powiedział szeryf. - Co do tego nie ma wątpliwości. - Wskazał na to, co pozostało z Lucille Ambler. - Może były nie nażarte?

- One boją się ludzi - nie ustępował szef pielęgniarzy. - Te stare diabły są cholernie sprytne i wola nie zadzierać z człowiekiem. Są bardzo leniwe, ale ilekroć wchodzi do basenu, budzą się i próbują uciekać. Gdyby któryś nie chciał ustąpić mi z drogi, wystarczy, abym na niego krzyknął, a już zmyka... Gdyby panna Ambler wrzasnęła, choćby z przestachu, zmykałyby tak, że woda by tylko bulgotała...

- Może nie krzyknęła? - odezwał się nagle doktor. — Wpadając mogła się o coś uderzyć i stracić przytomność. Wtedy...

- Wtedy to co innego - zgodził się szef pielęgniarzy. - Jakby była cicho i w dodatku się nie ruszała... Tak... wtedy to co innego...

Jeden z ogromnych aligatorów, wylegujący się tuż obok betonowej krawędzi basenu, bardzo powoli otworzył paszczę. Ziejąca dziesiątkami ostrych jak szpilety zębów różnej wielkości otchłań wydawała się rozszerzać w nieskończoność. Stan Oliver Halifax wpatrywał się w nią zafascynowany, nie mogąc oderwać wzroku od połysku ociekającego wodą uzębienia gada. Poczul, że robi mu się niedobrze. Wzdrygnął się i z wysiłkiem odwrócił głowę. Napotkał spojrzenie syna. Patrick przyglądał mu się bardzo uważnie.

- Przepraszam, szeryfie - powiedział cicho Stan Oliver Halifax - czy jestem tu niezbędny? Chciałbym odejść.. .

Szeryf Norton ze zrozumieniem skinął głową.

- Oczywiście, proszę pana. Może pan odejść...

Stan Oliver Halifax postąpił jeszcze chwilę bez słowa, a potem ciężkim krokiem ruszył w kierunku domu. Szedł powoli wzdłuż palmowej alei, słońce kąsało go w pochylony kark, a stróżki potu spływały po plecach i brzuchu. Czuł na sobie ciężar współczujących spojrzeń towarzyszących mu w tej drodze. Myślał o krokodylich zębach, o Lucille Ambler, o tym, co z niej pozostało, i wiadomości, którą usłyszał rano przez radio, zanim jeszcze przestraszony pielęgniarz, połykając z emocji słowa, zawiadomił go, że w basenie numer sześć leżą nie dojedzone przez gady ludzkie szczątki...

Radiowa wiadomość nadana w lokalnym programie brzmiała:

*„Dziś wczesnym rankiem znalezione zostały zwłoki pani Jocelyn Fletcher, lat czterdzieści trzy, znanego w naszym mieście lekarza psychiatrii. Ciało doktor Fletcher, która została brutalnie zamordowana nożem do krajania mięsa, znaleziono na terenie jej ogrodu, na przedmieściu Miami. Rzecznik policji, porucznik Samuel O'Brien, oświadczył, że władze prowadzą intensywne, śledztwo i są już na tropie sprawcy tego potwornego zabójstwa. Odmówił jednak podania bliższych szczegółów. W miarę uzyskiwania wiadomości będziemy je przekazywać na bieżąco w kolejnych wydaniach radiowych dzienników. Słuchajcie naszych najnowszych wiadomości z miasta, kraju i ze świata, podawanych co godzinę...”*

\* \* \*

- Nie był pan umówiony z mecenasem - stwierdziła autorytatywnie sekretarka Corneliusa Forda, przerzucając kartki notesu oprawionego w czerwony safian.

Nosiła wielki, niemodny kok, miała usta rozciągnięte' od ucha do ucha i zapadłą pierś, bez najmniejszych śladów biustu. Robiła wrażenie zaszuszonej ropuchy.

- Właśnie to pani mówiłem - powiedziałem lekko już zniecierpliwiony - nie ma pani po co szukać w tym notesie. Nie byłem umówiony z mecenasem Fordem i nie ma pani zanotowanego mojego nazwiska...

- W takim razie czego pan chce?

- Rozmawiać z mecenasem.

- Nie był pan umówiony.

- Proszę pani, o tym wiem doskonale. Proszę nie tracić czasu i zameldować mnie mecenasowi. Proszę powiedzieć moje nazwisko. Nazywam się George Quiryn. Quiryn - powtórzyłem dobitnie. - Przyjechałem tu z Nowego Jorku. Pracuję dla panny Mary Hilton, siostry klienta pana mecenas. Proszę mnie zameldować...

- Nie jest pan umówiony - powtórzyła z tępym uporem,

- No i co z tego?

- Mecenas Ford nie może pana przyjąć. Mecenas przyjmuje tylko ludzi, z którymi jest umówiony...

Miałem ochotę wyciągnąć starą zza ogromnego biurka i zabawić się w dusiciela z Bostonu. Przez chwileczkę zdawało mi się nawet, że w pełni rozumiem motywy poczynań różnych sławnych morderców kobiet. Pohamowałem się jednak i uśmiechnąłem się słodko.

- Kochana pani! Po prostu niech się pani przekona, czy mecenas rzeczywiście nie zechce ze mną rozmawiać... Wystarczy w tym celu podnieść słuchawkę... - Wskazałem palcem jeden z telefonów umieszczonych na jej monstrualnych rozmiarów biurku.

Spojrzała na telefon i wyraźnie się zawahała.

Jedno więc było pewne - mecenas był w swoim gabinecie. Napawało to optymizmem. Nie dam się stąd wykopsać starej ropusze! Postanowiłem, że nie ruszę się, dopóki nie zobaczę się z panem Fordem.

- Mecenas Ford jest bardzo zajęty... ma ważną konferencję...

Odetchnąłem z ulgą.

- Nic nie szkodzi! Mam czas, poczekam, aż konferencja się skończy. Czy można tu zapalić? -i nie czekając na zaproszenie, usiadłem wygodnie w jednym z głębokich foteli, obok którego ustawiono kutą z żelaza popielniczkę na bocianiej nodze.

Wydobyłem papierosy i zapalniczkę. Zapaliłem jednego i wydmuchałem w kierunku ropuchy wielki kłąb sinego dymu. Miałem nadzieję, że nie cierpi zapachu tytoniu.

Była wyraźnie zgorzona moim postępowaniem i nie | bardzo wiedziała, co robić. Najchętniej z pewnością wyrzuciłaby mnie za drzwi, ale nie miała pod ręką spychacza. Zaczerwieniła się lekko i przyglądała mi się surowo. dzielnie wytrzymałem spojrzenie. Przez dobre kilkadziesiąt sekund przepieraliśmy się wzrokiem. Lepszy w tej konkurencji okazałem się ja. Zrezygnowanym ruchem sięgnęła po słuchawkę.

- Zobaczmy - powiedziała cierpko - co się da zrobić. Sądzę jednak, że mecenas pana nie przyjmie! Nie był pan umówiony...

Babsko się myliło. Moje okazało się na wierzchu. Już po minucie siedziałem w fotelu naprzeciw mecenasa Corneliusa Forda. Palił cygaro i wpatrywał się we mnie beznamiętnie. Był ubrany bardzo starannie i elegancko. Miał pięknie wypielęgnowane siwe włosy i wygląd skończonego dżentelmena.

- Więc to jest pan - powiedział. - Panna Hilton dzwoniła do mnie i poinformowała, że zatrudniła pana... Byłem temu stanowczo przeciwny. Powiedziałem jej o tym...

Zastrzygłem uszami - jednak Mary wypaplała komuś o mojej misji. To, że poinformowała obrońcę brata, było czymś naturalnym, choć prosiłem, aby nie wspominała o mnie absolutnie nikomu. Ciekawe jednak, komu zwierzyła się jeszcze. Nagle uderzyła mnie oczywista prawda. źródłem przecieków niekoniecznie musiała być Mary a to, że w dalekim Nowym Jorku znalazł się ktoś, kto po usłyszeniu nowiny, iż George Quiryń wraca do akcji, zdecydował się natychmiast powiadomić o tym szeryfa maleńkiej dziury na Florydzie, było diabło mało prawdopodobne. Bardziej pasowała inna możliwość. Zdecydowałem się zapytać:

- Czy rozmawiał pan o mnie tylko z Mary?

- Nie bardzo rozumiem...

- Widzi pan - wyjaśniłem - tutejsze gliny dostali cynk, że przyjechałem pogrzebać wokół sprawy Hiltona. Bardzo im się to nie spodobało. Usiłowali mnie stąd wykopsać. Ale jestem dla nich trochę za cwany. Jakoś ich dotąd kołuję. Zachodzę jednak w głowę, skąd o mnie wiedzieli. Ani przez radio, ani w telewizji nie zapowiadano mojej wizyty. Nie jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych ani gwiazdą filmową. Tymczasem pierwszą gębą, którą z bliska zobaczyłem po przyjeździe do Holiday Beach, była twarzyczka tamtejszego szeryfa. Tak mu było pilno ze mną rozmawiać, że nie pozwolił mi się obmyć po podróży... Ciekawe, nie?

Odłożył cygaro i zmarszczył się z niesmakiem.

- Nie podoba mi się ten cwaniacki ton ani pana wyrażonka. Widzę, że miałem stuprocentową rację, gdy radziłem panie Hilton, aby trzymała się od pana z daleka. Sądzę, że ją przekonałem... Pan okazał się akurat tak nieprzyjemnym typem, jak to sobie wyobrażałem...

Zrobiłem szczerze zmartwioną minę.

- O Boże, ale pan zasunął... Bardzo mi przykro, że nie przypadłem panu do gustu. Ale nie musi mnie pan lubić. Ważne jest tylko, aby się nam dobrze współpracowało... Ostatecznie i pan, i ja mamy jeden cel. Musimy wyciągnąć tego małego z potrzasku. Jest naszym wspólnym klientem...

Uśmiechnął się ironicznie.

- Pan się myli, drogi panie. James Hilton jest wyłącznie moim klientem. To ja - podkreślił z naciskiem słowo „ja” - wydobędę go z biedy. Pan tu nie ma nic do roboty... Ale jeżeli jesteśmy już przy tym, czy nie zechciałby mnie pan poinformować, jak pan sobie wyobraża udział w tej sprawie? Nie jest pan przecież prawnikiem. Hiltonowi potrzebny jest dobry prawnik, a nie detektyw...

- Chcę - wyjaśniłem uśmiechając się do mecenasa - ustalić, kto naprawdę zakatrupił Marilyn Stocker. To by z pewnością najlepiej urządziło naszego klienta, nie sądzi pan, mecenasie?

Stracił nagle surową oficjalność i stał się niespodziewanie przyjacielski. Przechylił się w moim kierunku, w oczach zamigotały mu iskiereki świadczące o rozbawieniu.

- Pan się trochę spóźnił, panie Quiryn... My już mamy prawdziwego mordercę. Od wczoraj nie może być najmniejszych wątpliwości, kto naprawdę zabił pannę' Stocker.

Tym razem byłem rzeczywiście zaskoczony i nie udało' mi się tego ukryć.

- Jak to? Nie rozumiem... Kto jest tym mordercą?

Mecenas Ford wyraźnie delectował się moim zaskoczeniem. Nie spieszył się z odpowiedzią. Rozparty wygodnie w fotelu, mocno zaciągnął się cygarem, wypuścił z ust trzy zgrabne kółka dymu, odłożył cygaro na popielniczkę z napisem: „Pamiętka z Miami Beach” i dopiero wtedy powiedział:

- Zabójcą panny Stocker okazał się. bez cienia wątpliwości mój klient, James Hilton.

Parsknąłem gniewnie:

- Pan żartuje, mecenasie!

- Ani mi w głowie żarty. Wczoraj spisał w mojej obecności obszerne zeznanie, w którym przyznał się do winy. Podpisany dokument przekazałem prokuratorowi. W tej sytuacji nie ma pan tu już nic do roboty. Niech więc pan zwija manatki i wraca do domu, panie Quiryne... Tym razem się nie udało. Nie wyciągnie pan z panny Hilton nawet złamanego centa. Musi pan rozejrzeć się za jakąś inną robotą...

W gardle mi zaschło z wrażenia i poczułem gwałtowne pragnienie łyknięcia solidnej porcji bourbona. To by, mnie postawiło na nogi. Tęsknie popatrzyłem na szafę biblioteczną za plecami mecenasa. Tam zapewne, na którejś z półek, za parawanem oprawnych w skórę prawniczych książek, stary krokodyl chował swoją butelczynę. A że ją miał, to nie ulegało dla mnie wątpliwości - obok zapachu cygara od siwego dżentelmena dolatywała także leciutka woń whisky. Szansa na to, że mi zaproponuje szklaneczkę, była jednak znikoma. Wyraźnie nie przypadłem do gustu panu mecenasowi.

- Przyznał się do winy na piśmie? - zapytałem wracając do rzeczywistości. - Przecież to samobójstwo!

- Nie sądzę. - Znowu zeszytniał jak świeżo zamrożony nieboszczyk. - Zresztą nie mam zamiaru omawiać z panem spraw mojego klienta. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. - Podniósł się i wyraźnie czekał, aż wyjdę. - Radzę panu - dodał - aby pan szybko wracał do domu. Tu, w Miami, damy sobie doskonale radę bez pana...

Wstałem z fotela, przeciągnąłem się bezceremonialnie i powiedziałem:

- No, rzeczywiście, na mnie już czas. Żegnam pana, mecenasie. Mam jednak nadzieję, że się jeszcze spotkamy...

Wyszedłem z gabinetu. Sekretarka popatrzyła na mnie znacznie przychylniej niż przed kwadrans. Fakt, że nie byłem umówiony, ale mecenas Ford zdecydował się mnie natychmiast przyjąć, usposobił ją przyjaźniej. Obdarzyła mnie nawet czymś w rodzaju uśmiechu.

Jestem szybki, więc od razu postanowiłem tę zmianę nastroju wykorzystać. Pomyślałem, że wnętrza oszklonych budek z telefonami musiały przypominać teraz najgorętsze pomieszczenia tureckiej łaźni. Nie miałem ochoty na łaźnię. Zapytałem:

- Czy mogę skorzystać z telefonu?

Jeszcze jeden uśmiech. Tym razem nie mogło być już wątpliwości, że babsko jest blisko spokrewnione z ropuchą.

- Oczywiście... proszę skorzystać z tego aparatu - wskazała biały telefon i krzeselko przy swoim biurku

Skinałem głową w uprzejmym podziękowaniu, przysiadłem i wykręciłem odpowiedni numer. Połączenie otrzymałem natychmiast. W słuchawce usłyszałem szcęknięcie i za chwilę znudzony głos jakiegoś faceta: j

- Redakcja „Poznajmy się”, słucham...

- Dzień dobry. Chciałem zamieścić u was ogłoszenie.. Jak to należy zrobić?

- Proszę wpaść do redakcji albo przesłać tekst i pieniądze pocztą. Cennik podajemy w każdym numerze! Jeżeli pan nie ma żadnego pod ręką, to służę informacjami.

- Dziękuję. Wpadnę osobiście. Jestem niedaleko.

- Będzie nam bardzo przyjemnie...

Odłożyłem słuchawkę.

W czasie tej króciutkiej rozmowy obserwowałem kątem oka sekretarkę mecenasa Forda. Skończyła właśnie przeglądać wypełniony formularz zeznania podatkowego. Złożyła go starannie, wygładziła i umieściła w dużej szarej kopercie. W lewym górnym rogu koperty był druk firmowy kancelarii Corneliusa Forda, w prawym odpowiednia porcja kolorowych znaczków z astronautami spacerującymi po Księżycu. Nie ciekawiły mnie znaczki! Nie jestem filatelistą. Za to zainteresowało mnie nazwisko adresata, wypisane dużymi literami. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Mecenas Cornelius Ford przesyłał w liście poleconym panu Stanowi Oliverowi Halifaxowi wypełniony egzemplarz formularza z zeznaniem podatkowym. Znaczyło to, że utrzymują ściśle kontakty, a naj-prawdopodobniej mecenas jest stałym doradcą prawnym pana Halifaxa i pomaga mu wypełniać rojący się od pułapek niebezpieczny formularz.

W świetle tego odkrycia fakt, że w Holiday Beach już przed moim wyjazdem wiedziano, po co się tam zjawię, przestawał być tak bardzo tajemniczy... Pozostawało tylko do rozstrzygnięcia pytanie: dlaczego pan Stan Oliver Halifax, stateczny obywatel Holiday Beach, właściciel nieruchomości, krokodylej farmy i lunaparku, tak bardzo nie chce, bym kręcił się wokół sprawy Jamesa Hiltona, oskarżonego o sadystyczny mord seksualny...

\* \* \*

Jozua Rotfeld, właściciel i redaktor miesięcznika „Poznajmy się”, zagłębił się w lekturze listu, który leżał przed nim na biurku, wśród korektorskich odbitek, składów i ilustracji.

Redaktor Jozua Rotfeld był chudym, niewielkim brunetem o zapadłych policzkach. Przerzedzone wąsiki upodabniały jego twarz do szczurzej mordki. Małe, bystre 'i' rozbiegane oczka zwiększały jeszcze to podobieństwo. Redaktor Rotfeld nosił białą koszulę i spodnie na szelkach. Marynarka wisiała na oparciu krzesła. W pokoju było pełno tytoniowego dymu, w wielkiej popielniczce piętrzyła się góra petów, wypalonych zapalek i popiołu.

List nie był skierowany do redaktora. Była to odpowiedź na ogłoszenie oznaczone kryptonimem B. 370, zamieszczone w ostatnim wydaniu „Poznajmy się”. Ogłoszenie z miejsca wywołało zainteresowanie Rotfelda. Wynikało z niego w sposób oczywisty, że nadawca swoje erotyczne zainteresowania kierował w stronę bardzo młodych dziewcząt. Prawo karne stanu Floryda zawiera kilka paragrafów, których celem jest ochrona nieletnich. Nic więc dziwnego, że redaktor zwrócił uwagę na ogłoszenie. Rotfeld zajmował się szantażem nie tylko dla korzyści materialnych, ale także z zamiłowania. Umiejętne osaczanie ofiary, oplątywanie jej precyzyjnie splecioną siecią zagrożeń sprawiało mu satysfakcję.

Gdy zawodowy szantażysta dostrzeże, że ofiara jest zbyt biedna i tak mało zaradna, iż mimo panicznego strachu nie potrafi zgromadzić odpowiedniej sumy pieniędzy, najczęściej rezygnuje z nacisków. Rzykowna zabawa przestaje się wtedy opłacać. Redaktor Jozuai Rotfeld nie rezygnował nigdy. Wyduszenie kilku dolarów od uczniaka sprawiało mu taką samą przyjemność, jaki strzelenie na parę setek nieostrożnego męża, który dał się przyłapać na cudzołóstwie.

Ogłoszenie B. 370 wyglądało obiecująco. Wprawdzie redaktor Rotfeld nie miał pojęcia, kto był jego autorem, jako że tekst, pieniądze i numer skrytki pocztowej, na który należało przesłać odpowiedzi, nadesłano pocztą, ale nie stanowiło to wielkiej przeszkody. Rotfeld wiedział, że w odpowiednim momencie dowie się wszystkiego bez trudu. Wystarczyło tylko cierpliwie poczekać. Człowiek o szczurzej mordce i najeżonych, rzadkich wąsikach był cierpliwy. Potrafił czekać długo i na ogół mu się to opłacało. Tym razem oczekiwanie nie przeciągnęło się zbyt długo. Pierwszy list skierowany do B. 3701 otrzymał z dzisiejszą pocztą. Otworzył go delikatnie nad unoszącą się z elektrycznego czajnika parą. Jakaś panienska podpisująca się „Super-Lolitka” zapewniała, że nie ukończyła jeszcze piętnastu lat i bardzo lubi dojrzałych panów. Proponowała spotkanie. Wyznaczyła termin, miejsce i znaki rozpoznawcze. Pisała, że do umówionego snack-baru przyjdzie w żółtej sukience, do której przypnie duży czerwony kwiat.

Redaktor Rotfeld wynotował wszystkie szczegóły, włożył list z powrotem do koperty, starannie ją zalepił i sprawdził, czy nie pozostały jakieś ślady otwierania. Kopertę umieścił w innej, większej, na której czytelnym pismem wypisał podany przez B- 370 numer skrytki pocztowej. Postanowił, że wyśle list jutro. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie właściwie znajduje się snack-baru w którym wyznaczyła spotkanie Super-Lolitka. Kiedy przypomniał sobie, zdecydował, że uda się tam osobiście.

Redaktor Rotfeld współpracował z kilkoma facetami, ale nie miał do nich pełnego zaufania. Starali się, lecz bywali zbyt gorliwi. Czasami brali pragnienia za rzeczywistość. Podstawowym zadaniem „Operacji Super-Lolitka”. było ustalenie, czy podpisująca się tak dziewczyna rzeczywiście nie ukończyła piętnastu lat. Tylko w tym wypadku warto było inwestować w ten interes. Postanowił osobiście ocenić wiek panienski.

List do B. 370 nie był jedynym, jakie przyniosła dzisiejsza poczta. Przyszło sporo innych. I choć nie były skierowane do adresatów, których ogłoszenia redaktor Rotfeld uznał kiedyś za obiecujące, niemniej zamierzał przeczytać wszystkie. Hołdował zasadzie, że trzeba pilnie wypatrywać, a wtedy wcześniej czy później coś ciekawego się wypatrzy. Na wszelki wypadek wynotował sobie to i owo. Przede wszystkim adresy, miejsca proponowanych spotkań oraz zawarte w listach aluzje dotyczące stanu rodzinnego i pozycji zawodowej lub towarzyskiej korespondentów. To wszystko mogło się kiedyś przydać.

Kiedy uporał się z robotą, był już trochę zmęczony. Nalał sobie solidną porcję whisky, zapalił kolejnego papierosa i wygodnie rozwalony w fotelu, zaczął się zastanawiać nad słusznością podjętej wczoraj decyzji. Zlecił kumplowi pewne delikatne zadanie... Ogłoszenie, które zwróciło

uwagę Rotfelda, było niezwykle... Najprawdopodobniej chodziło tylko o wygłup, o oryginalność za wszelką cenę, być może jednak, za tym dziwnym anonsem kryło się coś, na czym nieźle można będzie zarobić... Człowiek, któremu redaktor polecił bliższe zaznajomienie się ze sprawą i ewentualne wykonanie fotografii, był z pewnością zręcznym facetem, ale istniała możliwość, że zechce poskakać na własną rękę. To ostatnie nie odpowiadało Rotfeldowi. Nie lubił, gdy go wyłączano z interesu.

Pomyślał z rozdrażnieniem, że w dniu wczorajszym musiał mieć rzeczywiście solidnego kaca. Zdarzało się, że pod wpływem przepicia tracił jasność rozeznania, bojowość i popadał w lenistwo. A właśnie lenistwo było przyczyną, że zdecydował się wyręczyć kurierem. Po prostu nie chciało mu się w taki cholerny upał jechać do Holiday Beach.

\* \* \*

Zamówiłem kanapki i piwo. Piwo było nie najgorsze, kanapki przypominały przekładaniec z kolorowego plastyku. Żułem je pracowicie, jak gumę, z której człowiek już dawno wysał ostatni cień smaku.

W nie najlepszym byłem humorze. James Hilton przyznał się do winy. Sprawa była, praktycznie rzecz biorąc, zamknięta. Jeżeli Hilton złożył samooskarżające zeznanie, to najprawdopodobniej był po prostu winien. Zdarzają się wprawdzie faceci, którzy uwielbiają oskarżać się o nie popełnione zbrodnie, i wszystkie policje świata dobrze znają to zjawisko, ale z tego, co wiedziałem o Jamesie Hiltonie, nie wynikało, by był maniakiem ogarniętym pragnieniem samozagłady.

Oczywiście, istniała jeszcze możliwość, że gliniarze dali mu solidny wycisk, i w rezultacie zeznał wszyściutko, czego sobie życzone, ale to też było mało prawdopodobne. Hilton nie wydawał mi się aż takim mięczakiem. Bądź co bądź miał na tyle odwagi, by demonstracyjnie spalić kartę powołania do wojska. Oczywiście, różnie może się zdarzyć, ale na ogół, aby tego rodzaju człowieka skłonić do przyznania się do nie popełnionych win, nie wystarczy policyjna pałka. Trzeba do tego użyć środków naprawdę specjalnych. Ale na szczęście Stany nie są jedną z bananowych republik.

Zacząłem rozmyślać o mecenasie Fordzie. Coś za bardzo zależało mu, bym się odkleił od sprawy Hiltona. I on także namawiał mnie do natychmiastowego powrotu do Nowego Jorku... A poza tym pozostawał w bliskich kontaktach z panem Halifaxem, który w jakiś sposób był związany ze sprawą Hiltona... To właśnie Halifax wynalazł świadka, którego zeznanie przygwoździło Hiltona, to on dzwonił do urzędu szeryfa w Holiday Beach, żeby sprawdzić, czy gliniarze już się ze mną uporali, to właśnie na terenie należącego do niego lunaparku znaleziono zwłoki zamordowanej dziewczyny...

Stanowczo za dużo było pana Halifaxa w tej sprawie.

Myślałem też o rudzielcu, który miał powody, aby odegrać się na Hiltonie, i rzeczywiście złożył cholernie obciążające go zeznania. Pomyślałem o Kate Malory, którą gliniarze groźbą i szantażem zmusili do zamknięcia buzi, kiedy paplała, że James Hilton jest niewinny, a panna Stocker wcale nie miała zamiaru pójść na umówione z nim spotkanie. Pomyślałem wreszcie o zakreślonym



długopisem ogłoszeniu w czasopiśmie, które czytała dziewczyna, zanim zamordowano ją na terenie wesołego miasteczka...

Wokół sprawy Jamesa Hiltona unosił się podejrzany smrodek. Zdecydowałem, że jest za wcześnie, bym się od niej odkleił. Być może przywiozę jednak dziewczynie o morskich oczach jakieś pomyślniejsze wiadomości...

Siedziałem na wysokim stołku przy barze, zułem pracowicie bezwonne i bezsmakowe kanapki i ze spotniałej, wysokiej szklanki sączyłem zamrożone piwo. Nadal byłem w nie najlepszym humorze. Płynący z umieszczonego na półce radia afektowany i donośny głos spikera informował o jakimś lokalnym morderstwie. Spiker zapewniał, że policja jest już na tropie zbrodniarza, który wczoraj wieczorem zarznął niejaką doktor Jocelyn Fletcher w jej własnym mieszkaniu.

Nic mnie nie obchodziła zamordowana pani doktor ani człowiek, na którego tropie podobno byli już policjanci. Miałem własne kłopoty.

Kiedy spiker zakończył recytowanie wiadomości i jego głos ustąpił miejsca hałaśliwej muzyce, przeplatanej gęsto reklamami, morderca wyłączył radio. Już po raz drugi dziś usłyszał zapewnienie, że policja jest na tropie zabójcy Jocelyn Fletcher. Zbyt nie przejął. Pomyślał, że to takie zwyczajne policyjne gadanie. Gliny zawsze twierdzą, że są na tropie. Nigdy nie bywa inaczej. Słyszał, że takie publiczne przechwałki są składową częścią rutynowego postępowania policji. Chodzi w nich nie tyle o autoreklamę, co o spłoszenie zbrodniarza. Pod wpływem paniki może zrobić jakieś głupstwo, które go zdradzi.

Pomyślał z satysfakcją, że jest za mądry, aby tego rodzaju prymitywne metody okazały się wobec niego skuteczne. Wierzył, że ma silne nerwy i nie tak łatwo da się wyprowadzić z równowagi. Jeszcze raz przypomniał sobie przebieg wydarzeń. Był pewny, że nikt go nie widział, kiedy włamywał się do domu doktor Fletcher. Przez cały czas nie zdejmował rękawiczek. Nie miał w kieszeni żadnych drobnych przedmiotów, które mógłby zgubić na miejscu zbrodni, nie zostawił tam też niedopałków ze śladami swojej śliny. Żeby wpaść na trop, policja musiałaby ustalić przyczynę, która sprawiła, że doktor Fletcher musiała umrzeć. A tej nigdy nie będą znali. Jediną osobą, która wiedziała, co było powodem zabójstwa, był on sam...

To samo dotyczyło śmierci Lucille Ambler. Piękna sekretarka aż do samego końca nie przeczuwała, dlaczego umiera. Wierzono zresztą, że śmierć Lucille była wynikiem nieszczęśliwego wypadku... Pomysł dostarczenia aligatorom dodatkowej porcji żywności okazał się niezły.

Tak więc nie powinno być powodu do obaw. Tymczasem odczuwał niepokój. Niewyraźny, ale natrętnie obecny, jak leciutkie ćmienie w chorym zębie, który nie zdążył jeszcze eksplodować przeszywającym bólem...

Skarcił się w duchu za te irracjonalne lęki. Od dawna prowadził intymny dziennik. Wiedział, że zapisywanie własnych myśli, formułowanie w okrągłych zdaniach tego, co w świadomości było jeszcze nie do końca jasne i precyzyjne, zawsze przynosiło uspokojenie.

Sprawdził, czy drzwi do pokoju są zamknięte, i wydobyl z przemysłnej skrytki gruby zeszyt w plastikowej oprawie. Otworzył go na odpowiedniej stronie i zaczął pisać.

*„Przebyłem kolejny próg. Poznałem smak zabójstwa z konieczności. Zabijanie dla osiągnięcia konkretnego celu okazało się czynnością mało atrakcyjną. Spodziewałem się zresztą tego. Obawiałem się nawet, że zabójstwom z konieczności towarzyszyć może niesmak i wstręt, które nieprzyjemnym cieniem położą się na wspomnieniach tamtej nocy, kiedy to starałem się doświadczyć pełni swych możliwości. Na szczęście obawy były płonne. Wspomnienia pozostały żywe i niezakłócone. ,*

*Pamiętam wszystko. Czynności, słowa i reakcje. To było piękne, ale nie jestem jednak w pełni zadowolony. Brak mi było doświadczenia i nie wiedziałem, do czego naprawdę jestem zdolny. Nie zrealizowałem wszystkiego, co potrafiłem sobie wyobrazić.*

*Tym razem będzie inaczej. Wiem, co potrafię. Nie zawiodę tej dziewczyny. Obiecałem jej mocne przeżycia. Dotrzymam słowa ”.*

Odłożył pióro i uważnie przeczytał, co napisał. Jedne zdania podobały mu się, inne znacznie mniej. Nie oddawały w pełni tego, co odczuwał. Poczul rozczarowanie, a jednocześnie gdzieś na samym krańcu świadomości rozblęły na nowo drobne iskierki niepokoju...

Logicznie rzecz biorąc, nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Powtarzał to sobie wielokrotnie i upewniał się w swoich racjach. Nie pomagało. Płomyczki niepokoju tliły się nadal. I nagle zrozumiał, czego się obawia. Jakże mógł o tym zapomnieć! Istniał przecież jeszcze ktoś, kto stanowił potencjalne zagrożenie... ba, źródło wszelkiego zagrożenia...

\* \* \*

Oczy redaktora Rotfelda były rozlatane, a twarzyczka wyrażała niesmak i oburzenie. Rzadkie wąsiki nastroszyły się jak piórka na łebku rozzłoszczonego kaczora. Długie, pokryte żółtymi plamami nikotyny palce redaktora rozkładały się i składały jak scyzoryki. Siedział za biurkiem, po którym poniewierały się stosy zadrukowanych kartek papieru i zdjęcia roznegliżowanych pańienek. W pokoju pełnym szaf, szafek i segregatorów nie było klimatyzacji, więc powietrze było duszne, a w dodatku przeniknięte ciężkim odorem tytoniowego dymu. Całe wnętrze pokryte było kurzem i dosłownie lepiło się od brudu.

- Nie rozumiem, czego właściwie pan sobie życzy! - głos Rotfelda był piskliwy i nieprzyjemny. - Powiniennem pana stąd wyrzucić!

- Ale pan mnie nie wyrzuca - stwierdziłem spokojnie i dmuchnąłem w jego kierunku kłęb dymu z palonego właśnie papierosa.

- Zadzwońię po policję! - stwierdził nagle i sięgnął do telefonu.

Nie przeszkadzałem mu, tylko uśmiechnąłem się szeroko. Zauważył uśmiech i jego ręka zamarła nad słuchawką.

- A może - powiedział i przyjrzał mi się uważnie - pan jest z policji?

Nie odpowiedziałem i nie przestawałem wyszczerzać zębów w dobrej imitacji uśmiechu. Wyraźnie był zbity z pantafelku. Zupełnie nie wiedział, jak mnie potraktować.

- Ja znam policję... Jestem porządnym obywatelem i mam dobre stosunki z policją... Poskarżę się porucznikowi Futrelle, że mnie pan nachodzi... Porucznik Futrelle porozmawia z panem. Pan wie, jaki jest porucznik...

Nie miałem pojęcia, jakim człowiekiem jest porucznik Futrelle, ale nie miałem też wątpliwości, że redaktor Rotfeld ma znajomości w policji. Nie można prowadzić takiego interesu, jeśli nie ma się w kieszeni choć jednego wpływowego gliny.

- Panie Rotfeld - powiedziałem - gwizdę na pańskiego porucznika... A poza tym wcale nie jestem z policji. Chciałem po prostu pogadać o interesach... ale jeżeli pana to nie interesuje, niech pan dzwoni po gliny. Z nimi także mogę pogadać. Mogę im opowiedzieć wiele ciekawych rzeczy, tak ciekawych, że nawet porucznik Futrelle posłucha z przyjemnością.

- Ja nie chcę mieć z panem żadnych interesów! — zapiszczał. - Ja pana w ogóle nie znam i wcale nie chcę znać! Mnie pan zupełnie nie ciekawi. Ja tu pracuję, a pan mi przeszkadza. Ja się poskarżę policji!

- Niech się pan skarży. Czekam... No, niech pan dzwoni do swojego porucznika.

Pomyślałem, że jeśli rzeczywiście zatelefonuje, będę miał na głowie oprócz policji z Holiday Beach także gliny z Miami. Nie zadzwonił jednak. Ludzie jego pokroju, nawet jeżeli mają na pensji cały komisariat, niezbyt chętnie wzywają na pomoc gliniarzy, przynajmniej do momentu, kiedy nie staje się to zupełnie niezbędne. A on jeszcze nie wiedział, czego właściwie chcę i czym mu mogę zaszkodzić. Nie podniósł więc słuchawki, tylko rozłożył szeroko ręce w teatralnym geście.

- Ja już mam pana dosyć. Pan przyszedł do redakcji i powiedział, że chce dać ogłoszenie. W porządku. Chętnie zamieścimy pana ogłoszenie. Zapłaci pan według cennika, ogłoszenie się ukaze i pan dostanie na nie mnóstwo odpowiedzi. One przyjdą pod nasz adres i będzie je pan mógł odebrać. Za pośrednictwo nie trzeba płacić dodatkowo. My chcemy pomagać ludziom, a nie tylko zarabiać pieniądze... Przyszedł pan i powiedział, że chce dać ogłoszenie. Ale pan nie dał żadnego ogłoszenia, tylko zaczął marudzić i robić bardzo nieprzyjemne insynuacje... Takie insynuacje są karalne, a poza tym przeszkadza mi pan w pracy. Proszę w tej chwili opuścić lokal! Proszę wyjść!

Wiem z doświadczenia, że słodki uśmiech może w odpowiednim momencie wyrzucić nie mniejsze wrażenie niż solidny prawy sierpowy czy lewy prosty. Rozjaśniłem więc twarz w promiennym uśmiechu.

- Dobrze - powiedziałem - jeżeli pan już tak nalega, to rzeczywiście mogę sobie pójść i więcej nie wracać. Może pana, redaktorze, zainteresuje jednak, dokąd pójdę...

- Może pan pójść do samego diabła! Mnie to zupełnie nie obchodzi. Pan może robić, co pan zechce. Tu jest wolny kraj... - przerwał mi nerwowo, ale widać było, że w rzeczywistości interesuje go, jest ciekawy, co mu mam do powiedzenia.

Postanowiłem zaspokoić jego ciekawość.

- Pojadę stąd prosto do redakcji „Miami Star”. Czy pan zna „Miami Star”? Czy pan zna redaktora Hotchkinsa? To mój stary, wypróbowany przyjaciel. Jemy sobie z dzióbków...

W rzeczywistości ledwo znałem redaktora Hotchkinsa. Spotkałem się z nim zupełnie przypadkowo w Nowym Jorku i facet zapewne by mnie sobie nawet nie przypomniał. Ja jednak zapamiętałem, że jest redaktorem naczelnym „Miami Star”, rewolwerowego tygodnika, którego kilka numerów wpadło mi kiedyś w ręce. Odniosłem wtedy wrażenie, że głównym tematem zainteresowań tego pisma są skandale wszelkiego rodzaju i kalibru. Artykuły w nim były niezwykle zwięzłe, treściwe i ocierały się niedwuznacznie o denuncjację i zniesławienie karalne. Trzeba było nie lada zręczności, by prowadzić takie piśmko i nie spędzać większości życia za kratami więzienia.

- Nic mnie nie obchodzi redaktor Hotchkins! Nic mnie nie obchodzi „Miami Star”. Ja w ogóle nie czytam tej szmaty! - wyrecytował znowu redaktor Rotfeld, ale zrobił to bez większego przekonania.

Widać było, że nie miałby nic przeciwko temu, by go oświecić, po co wybieram się do redaktora Hotchkinsa.

- Ale będzie pan czytał „Miami Star”. Zapewniam, że przeczyta pan dokładnie numer, w którym będzie o panu. Jestem gotów założyć się o dolara, że pan przeczyta i bardzo się zmartwi. Bardzo...

- Niech pan nie będzie śmieszny! Straszyc to pan może własne dzieci, bo ja się pana nie boję. Na szantażystów to ja zawsze wzywam policję - zasyczał. - A w ogóle to co takiego ten Hotchkins może o mnie napisać? Nic. Nic nie może napisać! W tej szmacie piszą o kanciarzach, o aferzystach i oszustach. Ja jestem uczciwym obywatelem i płacę podatki... Jeżeli ten Hotchkins napisze o mnie choć słóweczko, to ja go zaskarżę do sądu! Czy pan zrozumiał?!

Przyjazny uśmiech nie zniknął z mej twarzy. Sprytne oczy redaktora Rotfelda obracały się jak oszalałe, zaduch wypełniający zagracony pokój redakcji miesięcznika „Poznajmy się” gęstniał i nabierał zawiesistości. Odczekałem jeszcze chwilę, a widząc, że lamenty nie ustają, uznałem, że skończył się czas żartów. Starłem z twarzy uśmiech, przybrałem minę surową i rąbnąłem pięścią w blat biurka tak silnie, że stojąca na nim popielniczka podskoczyła do góry. Posypały się z niej pety, popiół i wypalone zapałki. Rotfeld zamilkł z otwartymi ustami, a ja powiedziałem:

- Dosyć tej komedii. Posłuchaj uważnie, co mam do powiedzenia. Lamentować będziesz potem!

Skrzywił się, wzruszył chudymi ramionami, ale dopuścił mnie wreszcie do głosu. Wygarnąłem, co o nim wiem.

Redaktora Rotfelda znałem już od kilku lat. On o mnie nie słyszał, ale ja kiedyś interesowałem się bardzo jego osobą. Nie używał wtedy tytułu redaktora. Kazał nazywać się doktorem. Zajmował się... poradnictwem psychologicznym. Prowadził małe biuro w Bronx i zamieszczał w gazetach ogłoszenia utrzymane mniej więcej w takim stylu:

*„Masz życiowe trudności? Myślisz o samobójstwie? Cierpisz? Sądysz, że znalazłeś się w sytuacji bez wyjścia. Odwagi, przyjacielu! Nie jesteś sam! Biuro porad psychologicznych dra J. Rotfelda pomoże ci wybrnąć z sytuacji i zdobyć spokój wewnętrzny! Pamiętaj, nie ma sytuacji bez wyjścia!!!”*

Moja klientka miała poważne kłopoty. Tonący chwytła się brzytwy. Poszła do Rotfelda. Zainkasował za wizytę dwadzieścia dolarów, wypowiedział ją i udzielił mnóstwa dobrych rad. Jak mnie zapewniała, niektóre były nawet zupełnie sensowne. A potem zaczął się szantaż. Przy okazji zwierzeń, jakie moja klientka uczyniła, Rotfeld dowiedział się o pewnych sprawach, które miały pozostać tajemnicą dla jej męża. Potem wyniuchał jeszcze więcej i kazał sobie płacić. Nie tak dużo. Jej tajemnice nie były znowu tak straszne i gdyby zażądał na przykład kilku tysięcy dolarów miesięcznie, moja klientka z pewnością posłałaby go do diabła. Ale on chciał tylko po pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Nie było to takie straszne obciążenie i posłusznie płaciła przez siedem miesięcy. Ósmego miesiąca „doktor” Rotfeld uznał, że ofiara jest już dostatecznie urobiona i podniósł miesięczną opłatę do stu dolarów... Postanowiła odczepić się od szantażysty. Zrozumiała, że apetyt pana Rotfelda będzie stale rósł. Ktoś ją skierował do mnie. Zabrałem się do rozpracowania szantażysty. W ciągu miesiąca zgromadziłem masę obciążającego materiału. Byłem w stanie udowodnić mu bezspornie co najmniej cztery wypadki niewątpliwego szantażu. Zaproponowałem klientce, że zebrane materiały przekazemy gliniarzom. Stanowczo odmówiła. Szantażysta by się wprawdzie odczepił raz na zawsze, ale jej tajemnica przestałaby być tajemnicą. Mąż klientki był zazdrosny i niezbyt zrównoważony psychicznie. Kto wie, jakby zareagował, gdyby się dowiedział, co przydarzyło się jego żonie, kiedy on przebywał na dłuższej kuracji w szpitalu dla nerwowo chorych...

Postanowiłem zadziałać inaczej. Iść do Rotfelda, powiedzieć, co wiem, i kazać mu odczepić się od mojej klientki, zwrócić wyłudzoną forszę i zmywać się z Nowego Jorku. Do rozmowy nie doszło, gdyż akurat został aresztowany i oskarżony o uprawianie szantażu. Proces odbył się po kilku tygodniach. Siedziałem na sali i przysłuchiwałem się rozprawie. Rotfeld miał szczęście, dobrego obrońcę, prokurator był ciamajda, a świadkowie jacyś zastraszeni i nie budzący zaufania. W rezultacie zapadł wyrok uniewinniający. Sędzia, ogłaszając werdykt, był wyraźnie zmartwiony. Ja też. Cholernie nie lubię szantażystów. Aż mnie korciło, żeby zameldować się w prokuraturze z zebranymi materiałami. Niestety, moja klientka była innego zdania. Bała się o swoją tajemnicę.

Po procesie Rotfeld rozpląnął się w powietrzu. Moja klientka nie była więcej niepokojona i sprawę uznaliśmy za zamkniętą. A teraz spotkałem Rotfelda w redakcji „Poznajmy się”. Na stare lata zajął się dziennikarstwem... Nie miałem jednak wątpliwości, że nie wyrzekł się swego procederu. Natura ciągnie wilka do lasu. Pomyślałem, że ogłoszenia publikowane w „Poznajmy się” stanowią wręcz idealny punkt zaczepienia dla zręcznego szantażysty, a Rotfeld był w tej dziedzinie wybitnym fachowcem.

Powiedziałem mu, co wiem o jego nowojorskiej działalności. Wymieniłem nazwiska i fakty. Opisałem dowody, jakimi rozporządzam. Słuchał uważnie, w głębokim skupieniu, jego szczerze

wąsiki jeżyły się coraz bardziej, a wydatna grdyka podrygiwała tak, jakby pan redaktor zadławił się właśnie kością kurczaka.

Kiedy skończyłem, nawet nie usiłował zaprzeczać. Widać zorientował się, że nie blefuję. Spróbował z zupełnie innej beczki:

- To są bardzo dawne sprawy... Stawałem już przed sądem i zostałem uniewinniony. Prawo mówi, że nikt niej może być dwa razy sądzony za to samo przestępstwo...

Znowu przywołałem na oblicze mój reprezentacyjny! uśmiech.

- Nie bądź za cwany, kotusiu. Oczywiście, że masz rację. Tylko że ty nie będziesz sądzony za te same przestępstwa, ale za podobne. Sprawy, o których ci opowiadałem, w ogóle nie były rozpatrywane w toku procesu. Prokurator nie miał o nich zielonego pojęcia. I nie myśl że na tym się skończy. Twój obecny biznes – wskazałem na leżący w kącie pokoju stosik numerów „Poznajmy się” - też zalatuje czymś paskudnym... Wspominałeś mi o poruczniku Futrelle. Ale on, choćby był twoim najlepszym przyjacielem z lat bezgrzesznego dzieciństwa, też ci nie pomoże. Jest z pewnością oblatanym człowiekiem i wie co można, a czego nie można. Co innego osłaniać kogoś kto zajmuje się seksowym interesem, a co innego chronić szantażystę... Można przy tym złamać kark... Będzie miał przeciwko sobie prasę. A prasa to potęga, kochasiu...

- Jaką prasę?! O czym pan opowiada?

Wycofałem uśmiech, podrapałem się w czubeczek nosa .oznajmiłem spokojnie:

- Jeżeli się nie dogadamy i nie zechcesz ubić ze mną interesu, obiecuję ci, że już w najbliższym numerze „Miami Star” pan redaktor Hotchkins opisze ze szczegółami, co zdołałeś w Nowym Jorku, i zwróci uwagę na „Poznajmy się”... Będzie załamywał ręce nad upadkiem obyczajów i da subtelnie, ale niedwuznacznie do zrozumienia, że i za „Poznajmy się” ukrywa się szantaż... Redaktor Hotchkins ma ostre i wnikliwe pióro. Jeżeli będziesz go miał przeciwko sobie, porucznik Futrelle z pewnością umyje ręce... Wybieraj więc, kochasiu. Chcesz ubić ze mną interes czy nie?

- To szantaż! - wrzasnął, a w głosie jego zabrzmiały autentyczne oburzenie i zgroza.

Nie potrzebowałem przywoływać na twarz służbowego uśmiechu. Roześmiałem się naprawdę szczerze, z całego serca.

- Pismo Święte, kochasiu, mówi, że kto mieczem wojuje, ten od miecza często ginie... Nie rozśmieszaj mnie, bądź poważny...

Był cholernie poważny. Jego rozbiegany wzrok uciekł z mojej twarzy i błądził gdzieś po segregatorach, ścianach i suficie, ozdobionym festonami pajęczyn. Pomilczeliśmy przez chwilę. Potem zapytał rzeczowo:

- A jaki właściwie ma pan do mnie interes? Czym mogę panu służyć?

Wyjaśniłem, o co mi chodzi.

- To niemożliwe - powiedział - pan się pomylił, ja nie mogę panu pomóc, choćbym nawet najbardziej chciał, ja nie mam takich materiałów.

Oznajmiłem mu, żeby się nie wygłupiał i nie uważał mnie za skończonego naiwniaka. Byłem pewny, że spełnienie moich życzeń leży całkowicie w granicach jego możliwości, i powiedziałem mu to.

- Jak już pan tak nalega... - westchnął ciężko -... .tylko - dodał - mam wyrzuty sumienia. To będzie naruszenie dyskrecji, jaką zapewniam moim klientom...

Roześmiałem mu się w nos i kazałem się pospieszyć.

Wzruszył ramionami i sięgnął do szuflady biurka.

Coś za szybko się zgodził - pomyślałem. Popatrzyłem, jak grzebie w szufladzie, i nagle poczułem niepokój. Ale było za późno na jakąkolwiek interwencję. Już trzymał w łapie automatyczny pistolet dużego kalibru, którego lufę skierował prościutko w mój brzuch. Poczułem, że mam brzuch i jednocześnie zrobiło mi się przykro. Ja, stary wyjadacz, dałem się wykołować temu szczurkowi jak jakiś zupełnie zielony szczawik...

\* \* \*

- Od dziś nie dostaniesz ani centa na swoje potrzeby. Pamiętaj, ani centa. Ojciec tak postanowił - powiedziała pani Northon i zaraz dodała: - Straciliśmy do ciebie zaufanie. Nie zdajesz sobie nawet sprawy! z wielkości swojego upadku.

Usta pani Norton zacisnęły się w wąską, bezbarwną linię, a na policzkach pojawiły się kółeczka wypieków| Nienawidziła grzechu i nienawidziła grzeszników. Fakt, że grzesznicą była jej córka, wcale nie zmniejszył siły nienawiści... Przeciwnie, czynił ją bardziej osobistą.

Bobbie milczała ze spuszczoneymi oczami. Słowa matki nie docierały do jej świadomości. Była po prostu głodna. Przed kilkunastu minutami matka weszła do jej pokoju i postawiła na stole tacę, na której stał kubek mleka i talerzyk z dwoma kawałkami ciemnego chleba, leciutko pociągniętego masłem. Bobbie wpatrywała się w jedzenie i czekała cierpliwie.

Dopiero kiedy matka wyszła, dopadła jedzenia. Ani się nie najadła, ani nawet całkowicie nie zaspokoila pragnienia, ale głód doskwierał mniej intensywnie. Mogła pomyśleć teraz o czymś więcej niż o jedzeniu i piciu. Pierwsza myśl dotyczyła chrobotu przekręcanej klucza. Delikatnie spróbowała nacisnąć klamkę. Przekonała się, że nie jest już zamknięta. Mogła się stąd wydostać! Mogła wyjść!

Przejrzała się w lustrze. Oczy miała ciągle zapuchnięte od płaczu, ale obrzmienie na policzku znacznie się zmniejszyło. Postanowiła, że nie będzie już więcej płakać. Za wszelką cenę trzeba doprowadzić się do porządku. Wieczorem musi być piękna i pociągająca... Uśmiechnęła się złośliwie, a fala mściwej satysfakcji wypełniła ją po brzegi.

- No, starucho - powiedziała półgłosem, wpatrując się w lustro i myśląc o matce - zobaczysz jeszcze, do czego jest zdolna twoja córeczka!

\* \* \*

Lufa pistoletu była niebezpiecznie blisko. Gdyby nacisnął spust, musiałby przedziurawić mi brzuch. O chybieniu nie było mowy. Redaktor Rotfeld ział nienawiścią. W jego spojrzeniu był

mord, a w uśmiechu sama nienawiść. Wydawało się, że jeszcze chwila, a ta nienawiść go rozsądzi i redaktor Rotfeld, eksplodując, rozleci się na wiele tysięcy kawałków.

Nie mówiłem nic. Bardzo lubię żyć. W pewnych sytuacjach sprawa przedłużenia życia choćby o kilka sekund staje się czymś najważniejszym... Odniosłem wrażenie, że choćby słowo, jakikolwiek ruch czy skrzywienie warg jedynie przyspieszą moment wystrzału. Nie wykonałem najmniejszego gestu, twarz miałem zupełnie nieruchomą. Słyszałem bicie swojego serca i przepływ krwi w tętnicach. Mijały sekundy. Powoli, bardzo powoli mijały. Rozciągały się jak dobrze przeżuta bryłka gumy, wymiędlona należycie językiem.

Pomyślałem, że może pan redaktor jednak na razie nie wystrzeli. Facet mnie nienawidził, ale do odważnych nie należał. Szantażyści rzadko zabijają. Taka podobno jest reguła.

Przewyciężając odrętwienie i prawie siłą przełamując stężenie języka, powiedziałem:

- No, panie Rotfeld... to nieładne żarty...

- To nie są żarty - warknął i pistolet lekko zakołysał mu się w dłoni. - Przekonasz się o tym, sukinsynu!

Wyglądało to i brzmiało groźnie, ale zrodziła się we mnie odrobina nadziei. To tylko w powieściach kryminalnych morderca, trzymając ofiarę na muszce, spowiada się ze swoich zamiarów i tajemnic oraz szczegółowo wyjaśnia, dlaczego musi wyprawić rozmówcę w zaświaty. W rzeczywistości morderca po prostu strzela i nie marnuje czasu na głupie gadki. Jeżeli tego nie robi znaczy to, że na razie nie ma zamiaru zabijać... Może jednak - pomyślałem - Rotfeld przeczytał dużo powieści! kryminalnych i po prostu uważa, że nie wypada nie uciąć sobie pogawędki z ofiarą...

- Zachciało ci się mnie wykończyć, sukinsynu, a teraz ty będziesz wykończony... Wpakuję ci w brzuch cały magazynek i będę patrzył, jak umierasz. Zabiję cię sukinsynu... - wymamrotał z przejęciem.

Było lepiej, niż myślałem. Rotfeld wyraźnie zwlekał z wykonaniem egzekucji. Być może chciał sobie dodać odwagi tym gadaniem albo zrodziły się w jego mózgowi nicy jakieś wątpliwości.. Może zastanawiał się, w jaka sposób pozbędzie się ciała lub czy ktoś z sąsiadów nie usłyszy wystrzału.

Postanowiłem w miarę możliwości wzmocnić te wątpliwości.

- Niepotrzebnie sięgałeś po splotkę - powiedziałem -przecież nie będziesz strzelać... Nie możesz wystrzelić -; podkreśliłem z naciskiem.

- Niby dlaczego? - warknął szyderczo.

- Zastanów się, a zrozumiesz... Wyobraźmy sobie, że mnie wykończysz. W porządku. I co dalej? A jeżeli mam kumpli, którzy wiedzą dokąd i po co poszedłem? A jeżeli ktoś usłyszy? Pamiętaj też, że tu w każdej chwili ktoś może wejść. A potem przecież nie upchniesz mnie do tego kosza... - pokazałem mu kosz w rogu pokoju. Z całą świadomością zaryzykowałem ten ruch, czując jednocześnie, jak cierpnie mi skóra.



Nie zareagował na to, że się poruszyłem. Wykrzywił się w ironicznym grymasie, ale nie strzelał. Postanowiłem pójść za ciosem.

- Nie strzelisz nie tylko dlatego, że potem miałbyś niebываłe kłopoty, ale także i dlatego, iż ci się to nie opłaca... Jesteś cwany facetem i bez potrzeby nie będziesz ryzykować...

- Za dużo o mnie wiesz - powiedział miękko i oblizał się - jesteś niebezpieczny. Tak niebezpieczny jak grzechotnik...

- Jestem niebezpieczny jak grzechotnik. Zgadza się. Mogłem cię zniszczyć tak, że ani byś zdążył pisnąć. Nie zrobiłem tego. Woląłem przyjść do ciebie i pogadać o interesach. Widać tak bardzo nie zależy mi na tym, aby cię zgnoić. Naprawdę cwany facet wolałby się ze mną dogadać, niż wdeptywać w mokrą robotą... Oczywiście pod warunkiem, że rzeczywiście byłby to cwany facet...

Plotłem dalej takie kosałki-opałki i bardzo się starałem, żeby wypadły przekonująco. Nie miałem jednak najmniejszych wątpliwości, że gdyby mógł mnie zlikwidować bez nadmiernego ryzyka, nie zawahałby się ani przez chwilę. Jeżeli więc do tej pory żyłem, wynikało to chyba z tego, że Rotfeld jeszcze nie wymyślił, gdzie ukryć zwłoki i jak się ich następnie pozbyć. Nie wiedział też, czy nie stoi za mną ktoś jeszcze, kto wie doskonale, dokąd i po co poszedłem...

Gadałem i gadałem, a on nie opuszczał pistoletu, wykrzywił się niemiłosiernie i prawdopodobnie kombinował, jak wszystko załatwić, aby posłać mnie na tamten świat, ryzykując przy tym jak najmniej.

Trwało to dość długo. Nagle w jego niespokojnych oczach pojawił się błysk, a jednocześnie z twarzy zniknął grymas imitujący ironiczny uśmiezek. Zrozumiałem, że podjął decyzję i że nie była to decyzja dla mnie pomyślna. Wyczułem to intuicyjnie.

- Wstań z krzesła - powiedział - przespacerujemy' się...

Nie zareagowałem. Nie miałem najmniejszej ochoty iść za nim dokądkolwiek.

- Wstawaj! - powtórzył. - Nie każ się za długo prosić... j

- Dokąd mamy iść? - zapytałem starając się, by pytanie zabrzmiało możliwie najobojętniej.

- Pójdziemy do sąsiedniego pokoju - wyjaśnił - tam jest zejście do piwnicy... - W jego oczach znowu zapaliła się nienawiść. - I będziesz musiał mnie posłuchać! Jeżeli tego nie zrobisz, zabiję cię natychmiast! - dodał z mściwą j satysfakcją.

Delektował się swoją przewagą, możliwością rozporządzania moim życiem, przedłużania go dowolnie) o sekundy.

- Nigdzie nie pójde...

- Pójdiesz, zapewniam cię, że pójdiesz. - Roześmiał się półgłosem. - Mówię ci ostatni raz, żebyś podniósł tyłek, więcej nie będę powtarzał...

Uwierzyłem. Wątpliwości się skończyły. Był zdecydowany zabić. Oczywiście, wolał zrobić to w piwnicy, ale czułem, że jeżeli spróbuję stawiać opór, załatwi sprawę natychmiast. Wstałem z krzeselka.

- Którędy mam iść? - zapytałem cicho i starałem się, aby w moim głosie nie było słycać zwierzęcego strachu, który mnie przepelniał.

Nagle z przerażającą jasnością zrozumiałem, że to, czy dostrzeże mój lęk, nie ma najmniejszego znaczenia... Nie będę mógł się przed nikim pochwalić, że umierałem odważnie.

- Tędy - wskazał mi kierunek ruchem lewej ręki.

Posłusznie poczłapałem w stronę drzwi, które mi pokazał. Widziałem stosy zakurzonych papierzysek, poniewierających się na regałach, czułem ostry, wypełniający cały pokój odór tytoniowego dymu, a krople potu powolutku ściekały mi po plecach. Byłem świadomy ich drogi, mogłem je porachować i obliczyć szybkość, z jaką spływają.

Zatrzymałem się przed drzwiami. Były odrapane i brudne. Tkwiło w nich kilka pinezek. Z tyłu dobiegł mnie szmer. Jozua Rotfeld podszedł do mnie. Słyszałem jego głośny, podniecony oddech. Był blisko, bliźniutko. Moja śmierć stała za mną. Tuż za plecami. Wyciągnąłem rękę do klamki, ująłem ją i nacisnąłem. Drzwi powoli ustępowały. I wtedy zbuntowałem się. Nie było w tym śladu jakiegokolwiek kalkulacji, jedynie odruch krańcowej rozpacz, fizyczna wręcz niemożność dalszego oczekiwania na nieuchronny koniec. Gwałtownym ruchem szarpnąłem drzwi do siebie, przysiadłem w akrobatycznym skřęcie, jakiego mnie nikt nigdy nie uczył, i z tego przysiadu wyprowadziłem na oślepotę potężnego kopniaka, w który włożyłem całe swoje siły, cały strach i rozpacz.

Strzał huknął w tej samej chwili, gdy poczułem, jak moja noga trafia w coś miękkiego. Usłyszałem przeraźliwy skowyt i łoskot upadającego na podłogę pistoletu. I już siedziałem na Rotfeldzie i tłukłem go ile wlezie... Nie stawiał żadnego oporu, tylko skrzeczał rozpaczliwie jak deptana ropucha.

Po jakimś czasie dałem spokój. Nie chciałem robić mu zbyt wielkiej krzywdy, a poza tym boleśnie poobijałem sobie dłonie. Podniosłem się i zostawiłem go leżącego na podłodze. Już nie skrzeczał, dla odmiany popiskiwał żałośnie. Odszukałem porzucony pistolet. Schowałem go do kieszeni. Potem podszedłem do wyjściowych drzwi. Przekręciłem tkwiący w zamku klucz, wyjąłem go i wrzuciłem do tej samej kieszeni, w której spoczywał już' pistolet. Powybijane palce bolały coraz bardziej. Podszedłem do Rotfelda, trąciłem go lekko końcem buta i powiedziałem:

- Wstawaj, szczerku! Poczęstuj gościa whisky. Wypijemy i pogadamy o interesach...

Ciężko mu było się podnieść. Wyglądał bardzo kiepsko i ktoś obdarzony miękkim sercem pewnie by się na jego widok popłakał. Nie mam widać miękkiego serca.

Poczęstował mnie whisky. Miał schowaną butelkę, w regale z papierzyskami. Teraz już zupełnie chętnie rozmawiał o sprawach, które mnie interesowały. Tylko że miał pewne trudności z mówieniem. Jakoś go jednak zrozumiałem.

Patrick Halifax wszedł do gabinetu ojca. Stan Oliver Halifax wyłączył radio. Wyjące dźwięki/jazzu urwały się nagle.

- Słuchałeś radia? - miętko zapytał Patrick i przysiadł na skraju biurka.

Ojciec powoli skinął głową.

- Tak, słuchałem wiadomości. Następne będą za godzinę...

- Ja też słuchałem...

Zapadło niezręczne milczenie. Pierwszy przerwał je Stan Oliver.

- Chciałem z tobą porozmawiać... Już wczoraj chciałem z tobą porozmawiać... Nie bardzo nam to wtedy wyszło. Dziś - uśmiechnął się gorzko - chyba już trochę za późno na rozmowę...

Patrick Halifax pomyślał, że rzeczywiście jest już za późno. Mimo wszystko żal mu było trochę ojca i aż się zdziwił, gdyż nigdy nie podejrzewał siebie o sentymentalizm. Opanował się jednak szybko. Zaszły pewne istotne fakty i trzeba było z tego wyciągnąć logiczne konsekwencje. Patrick uważał, że odwracanie głowy od rzeczywistości nie może przynieść właściwych rezultatów. Trzeba chwycić byka za rogi. Dość już zabawy w kotka i myszkę...

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał spokojnie.

- Nie wiem... jeszcze nie wiem. Muszę pomyśleć... Stan Oliver Halifax chciał powiedzieć o wiele więcej, ale zrezygnował. Popatrzył na kamiennie spokojną twarz syna i zrozumiał, że nie miałyby to żadnego sensu. Poczł się zupełnie bezradny wobec jego obojętności. Jest podobny do matki - pomyślał - wykapana matka. Ingrid była tak samo chłodna i nieobecna, a wszelkie próby przeniknięcia do jej wewnętrznego świata kończyły się żalonym fiaskiem.

- Źle wyglądasz - powiedział nagle Patrick - niepotrzebnie tak strasznie się przejmujesz, wszystko się jakoś jeszcze ułoży. Nie wiesz o wszystkim. Jest jeszcze szansa...

- O czym ty mówisz?!

- Kiedy, ojciec - w głosie Patricka była solenna żarliwość - ty naprawdę nie wiesz o wszystkim...

Chodź ze mną, a coś ci pokażę, wtedy zrozumiesz, że jest jeszcze szansa...

Ktoś energicznie zastukał do drzwi gabinetu.

- Proszę wejść - powiedział Stan Oliver.

Wszedł szeryf Norton. Wielki, zwalisty stanął w drzwiach pokoju, przypatrując się ojcu i synowi.

- Nie będę przeszkadzał, ojciec - powiedział cicho Patrick i zsunął się z biurka, na którym siedział. - Porozmawiamy później...

Szeryf odsunął się i pozwolił mu wyjść z pokoju. Był wyraźnie zakłopotany. Chciał usiąść, ale Stan Oliver Halifax go do tego nie zapraszał. Wpatrywał się w szeryfa martwym, zgaszonym wzrokiem. Niezręczne milczenie przeciągało się. W końcu szeryf zapytał:

- Czy mogę usiąść?

Gospodarz apatycznie poruszył głową, co mogło oznaczać przyzwolenie, ale mogło też być ruchem zupełnie mimowolnym, nic nie znaczącym. Norton przyjął ten gest jako zaproszenie. Usiadł ostrożnie i powiedział:

- Nie chciałbym panu przeszkadzać, ale sądziłem, że moim obowiązkiem jest o czymś pana zawiadomić...

Stan Oliver Halifax milczał. Na jego twarzy nie pojawiła się choćby najmniejsza oznaka zainteresowania.

- Otóż, panie Halifax - kontynuował szeryf - otrzymałem telefon z Miami. Z policji. Chcą jutro z panem porozmawiać... Uważałem, że lepiej będzie, jeżeli o tym panu powiem...

Znowu żadnej reakcji. Stan Oliver Halifax pozostał nieobecny...

- Wczoraj wieczorem - brnął dalej Norton - w Miami zamordowana została jakaś lekarka... Ustalili, że pan był jednym z jej pacjentów i że wczoraj, na kilka godzin przed jej śmiercią, był pan u niej... To znaczy, jako pacjent pan tam był... Jej sekretarka, to znaczy sekretarka tej lekarki... - szeryf Norton trochę się zaplątał. Przyzwyczajony do żywiołowej energii Halifaxa, nie mógł zrozumieć jego obecnej apatii. Wydawała mu się tak zdumiewająco nienaturalna, że zapominał języka w gębie. - Wydawało mi się, że dobrze by było, gdyby pan wiedział, co oni...

Speszony brakiem reakcji, zamilkł. Przypomniawszy sobie dziewczynę, której szczątki znaleziono dziś rano w basenie z aligatorami, i pomyślał, że ta tragedia musiała nadspodziewanie mocno wstrząsnąć Halifaxem. Oczywiście, że tak jak wszyscy orientował się, co łączyło Halifaxa z piękną sekretarką, ale mimo to nie wyobrażał sobie, by jej tragiczna śmierć mogła go do tego stopnia załamać. Stan Oliver robił wrażenie człowieka startego na proch.

Szeryf podniósł się niezgrabnie.

- Nie będę panu więcej przeszkadzał... Po prostu przyszło mi do głowy, że będzie lepiej, jeżeli pan się dowie i nie będzie zaskoczony, gdy przyjedzie tu ktoś z Miami. Uważałem...

- Dziękuję, szeryfie - głos Halifaxa był pusty i bezbarwny. — Dobrze, że pan wpadł...

Nie dodał ani słowa więcej i pozostał w dalszym ciągu zmartwiałym i nieruchomym, ale kiedy szeryf już wyszedł, ożywił się. Zmęczenie nie ustępowało, lecz Stan Oliver postanowił działać. Nigdy nie lubił biernie poddawać się fali. Dzisiejsze załamanie było czymś zupełnie wyjątkowym. To, co usłyszał od szeryfa, pomogło mu je przezwyciężyć. Zrozumiał, że skończył się czas półśrodków. Jego osobiste bezpieczeństwo było zagrożone. Nadszedł moment trudnych, radykalnych decyzji.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił odpowiedni numer. Mecenas Cornelius Ford był w swoim biurze. Stan Oliver Halifax poprosił go, aby natychmiast przyjechał do Holiday Beach. Mecenas próbował delikatnie wywiedzieć się, co tak przypiliło jego klienta, ale Halifax I przerwał mu ostro:

- Nie będziemy o tym rozmawiać przez telefon. Potrzebuję natychmiastowej pomocy prawnej. Płacę za to, że jest pan do mojej dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Proszę natychmiast przyjeżdżać. Chciałbym porozmawiać z panem, zanim zjawi się u mnie policja...

Ten przeklęty lunapark położony był tuż przy głównej drodze, łączącej Holiday Beach z Miami. Aby się do niego dostać, trzeba było przedelfilować przez pół miasteczka, a to mi zupełnie nie pasowało. Zapamiętałem gliniarzy z Holiday Beach. Oni też chyba mnie zakarbowali w pamięci.

Nie paliłem się do odnawiania znajomości. Wolałbym pozostać dla tych dzielnych chłopców tylko wyblakłym wspomnieniem. Ale nie było rady. Nie rozporządzałem śmigłowcem ani czapką niewidką.

Przez jakiś czas zastanawiałem się nad zupełnie oficjalnym zjawieniem się w Holiday Beach i opowiedzeniem szeryfowi o odpisie listu, który udało mi się wydusić od Rotfelda. Uznałem jednak, że to nie najlepszy pomysł. Dzielny szeryf uznałby moje rewelacje po prostu za głupi pretekst do powrotu do Holiday Beach. Redaktor Rotfeld, ulegając łagodnej, ale stanowczej perswazji, udostępnił mi odpis listu, podpisanego przez Drakulę i wysłanego z Holiday Beach na poste restante do dziewczyny, która odpowiedziała na jego ogłoszenie. Ale nie był to żaden dowód. Sam przecież mogłem sporządzić ten! świstek...

Po opuszczeniu lokalu redakcji „Poznajmy się”, w której zapewne pozostawiłem po sobie niezatarte wspomnienia, udałem się do najbliższej restauracji. Podjadłem zdrowo i zacząłem kombinować. W wewnętrznej kieszeni marynarki czułem ciężar pistoletu, który pozwoliłem sobie wypożyczyć od redaktora Rotfelda. Odpis listu, Drakuli ukryłem w portfelu...

Żaden rewelacyjny pomysł nie wynurzył się z tego rozmyślania. Nieczęsto zresztą miewam rewelacyjne pomysły, zwłaszcza po sutym obiedzie i dużej ilości dobrego, piwa. Jedyne, co zdolny byłem wymyślić, to to, by nie pchać się do Holiday Beach własnym wozem.

Odprowadziłem ramblera na parking i ruszyłem na poszukiwanie biura wynajmu samochodów. Wypożyczyłem starego chryslera o mocno poobijanych bokach. Prawdę mówiąc, przypominał raczej wrak niż pełnosprawny samochód. Facet z biura wynajmu utrzymywał jednak, że można na nim wyciągnąć i dziewięćdziesiąt mil.

Do Holiday Beach ruszyłem, gdy zaczynało zmierzchać. W lecie mrok na Florydzie zapada znacznie wcześniej niż w Nowym Jorku. Różnica położenia geograficznego zaznacza się w ten sposób najwyraźniej. Gdy wyjechałem już z Miami, wypróbowałem wóz. Rzeczywiście, z łatwością osiągał dziewięćdziesiątkę i dobrze trzymał się szosy. Większych szybkości nie próbowałem. Nie miałem zamiaru wpadać w oko glinom. Droga do Holiday Beach nie była zatłoczona. Jechało mi się dobrze. Szybko dotarłem na miejsce.

Nie chciałem zatrzymywać się zbyt blisko lunaparku. Skręciłem w jedną z przecznic i tam zaparkowałem. Było pusto. Przeznaczone do wynajęcia, rozciągnięte z obu stron uliczki domki były prawie bezludne. Tylko w dwóch paliło się światło. Znowu dopadły mnie moskity. Nie było ich tak wiele jak w Everglades, ale starczyło. Zacząłem rozumieć, dlaczego w miesiącach letnich turyści unikają Holiday Beach.

Do wesołego miasteczka podszedłem od tyłu, tak aby mnie nikt nie zobaczył. Do niewielkiego płotka otaczającego trawniki, na których rozłożyły się karuzele i pawilony z różnymi rozrywkami, przedzierać się musiałem przez dość gęste i kolczaste krzewy. Gdy udało mi się pokonać tę przeszkodę, znalazłem się na terenie dobrze oświetlonym przez zawieszony wysoko, na wygwieźdzonym niebie księżyc. Zorientowałem się, że przechadzając się między zabudowaniami

wesołego miasteczka, będą zupełnie niezłe widoczny dla każdego, kto by się ukrył gdzieś w cieniu. Wprawdzie do wyznaczonego w liście terminu spotkania było jeszcze daleko, ale nigdzie nie było powiedziane, że któryś z uczestników schadzki nie zjawi się wcześniej.

Postanowiłem znaleźć jakiś wygodny punkt obserwacyjny. Najpierw pomyślałem o jednym z wagoników, diabelskiego młyna, ale diabelski młyn, podobnie jak karuzele, otulony był plastikowymi płachtami. Po namyśle wybrałem stanowisko w pawilonie gier, ustawionym na stosunkowo wysokim, betonowym podeście. Stamtąd widać było najwięcej. Na podest prowadziły! szerokie, drewniane schody.

Sam pawilon był konstrukcją bez ścian. Fantazyjny dach z półprzezroczystego plastyku spoczywał na kilku smukłych kolumnkach. Całość otoczona była ażurowa balustradą z cieniutkich, wymyślnie poskręcanych prętów. Wzdłuż balustrady ustawiono automaty do gry. Jednoręczni bandyci pogrążeni byli we śnie. Nie słychać 'było charakterystycznego dla tego rodzaju przybytków' szczęku naciskanych dźwigni i przeraźliwych dzwonek oznajmiających wygraną.

Odczułem irracjonalną pokusę uruchomienia którejs z maszyn. Osobiście bardzo lubię chwilę, kiedy po wrzuceniu monety i naciśnięciu dźwigni rozpoczyna się oszalały taniec wprowadzonego w ruch mechanizmu. Człowiek nie potrafi wtedy oderwać oczu od wirujących krążków, których szczęśliwe końcowe ustawienie przynieść ma kilka garści monet, a przede wszystkim przyjemne uczucie, że los i szczęście nam sprzyja, że tym razem jesteśmy na wierzchu. Podszedłem do jednego! z automatów. Oczywiście nie wrzuciłem monety i nie pociągnąłem za dźwignię. Nie było czasu na takie zabawy. Prowadziłem zupełnie inną grę. Krążki dawno rozpoczęły swe wirowanie. Teraz pozostało tylko czekać... Trzy wisienki, trzy jabłuszka i trzy pomarańcze - maksymalny wynik i... James Hilton znowu jest wolnym człowiekiem. Każde inne zestawienie przegrywa. Trzy wisienki, dwa jabłka i jedna pomarańcza - James Hilton smaży się na elektrycznym ruszcie. .

Rozmyślając o grze, jaką prowadzę, wypatrywałem Drakuli i panienki, która zapragnęła zaznać niezapomnianych wrażeń w wampirzych ramionach. Baczenie rozglądałem się dookoła, ale jakoś nie wypatrzyłem najważniejszego.

Dostali mnie jak wilk dostaje barana, który wpadł do nory i złamał nogę. Popełniłem błąd w swoim wypatrywaniu. Nastawiony byłem na to, co się ma zjawić z zewnątrz, a tymczasem oni już tu byli. Czekali na mnie skryci w mroku, wśród automatów do gry. Widzieli, jak przelazłem przez płotek, jak krążyłem po terenie, jak wszedłem do pawilonu gier i jak zacząłem wypatrywać. Chwilę odczekali, a potem wyłonili się z ciemności. Dwaj moi znajomi gliniarze. Jeden trzymał w ręku rewolwer dużego kalibru, drugi miał obie ręce zajęte. Lewa latarką, której ostre światło przygwoździło mnie do jednego z automatów, prawa solidną policyjną pałką...

- No i znowu się spotkaliśmy - powiedział sierżant z rewolwerem. - Nie posłuchałeś naszych rad. Szkoda mi cię trochę...

- Mnie też trochę żal tego typka, taki wygadany gość... - powiedział policjant z latarką.

Głos miał łagodny i rozmarzony. Zbliżył latarkę do mojej twarzy i oświetlił ją dokładnie.

Oślepiiony jaskrawym blaskiem, odruchowo zamknąłem oczy. Nie widziałem, jak podnosił rękę, nie spostrzegłem, jak się zamierzał. Cios pałki wymierzony w prawe ramię spadł na mnie niczym jastrzęb na bezbronne kurczę. Przenikliwy ból targnął połową ciała. Skurczyłem się i spróbowałem odruchowo zasłonić się lewą ręką, wtedy potężne uderzenie kolaniem w żołądek wyparło ze mnie całe powietrze, a kiedy osuwałem się na ziemię, trzeci, najsilniejszy cios, tym razem zadany znowu pałką, wylądował na plecach. Potem były jeszcze następne uderzenia. Dotknąłem twarzą desek podłogi, poczułem na wargach smak kurzu. Pulsujący rozlewającym się, gorącą falą po całym ciele bólem, z trudem chwytający nagrzane powietrze, leżałem nieruchomo na zakurzonych deskach.

— Daj mu już spokój -- powiedział sierżant - facet ma dosyć. Dostał, na co zasłużył...

— Z ochotą przyłożyłbym mu jeszcze - odpowiedziały ten, który mnie załatwił. - Sierżant widział, że sukinsyn' stawiał opór. Należało mu się... - Tracił moją głowę; końcem buta.

— Powiedziałem, że wystarczy. Obszukaj go.

Przykląkł i zaczął wywracać mi kieszenie. Od razu znalazł pistolet, który pozwoliłem sobie pożyczyć od redaktora Rotfelda. Gwizdnął przeciągle.

— Tym razem ptaszek zabrał ze sobą spluwę. Kaliber i trzydzieści dwa.

Księżyc, zawieszony wysoko nad wesołym miasteczkiem w Holiday Beach, świecił jasno. Ustawieni w karnym szeregu jednoręcy bandyci, martwi i nieruchomi, połyskiwali ponuro niklami okuć i sterczących poziomo dźwigni. Moskity cichutkim, jednostajnym bzyczeniem wypełniały nagrzane całodziennym upałem powietrze. Leżałem na zakurzonych deskach podłogi pawilonu gier, a plama tępego bólu rozlewała mi się po barku, plecach i prawej ręce. Pomyślałem, że tym razem trzy wisienki nie spotkały się z trójkami jabłuszek i pomarańczy. Nira rozdzwoniły się dzwonki i jednoręki bandyta nie wypluł na moje dłonie zawartości swego skarbczyka. Nie zawsze jest się na wierzchu...

Fred O'Conolly, ukryty w kępie krzewów przylegających do płotka okalającego wesołe miasteczko w Holiday Beach, denerwował się coraz bardziej. Koncepcja naprowadzenia glin na prywatnego łapacza z Nowego Jorku, który najprawdopodobniej miał się pojawić dziś wieczorem w lunaparku, była mocno ryzykowna. Fred zdawał sobie z tego sprawę, ale nie widział innego wyjścia. Miał wprawdzie nadzieję, że detektyw z Nowego Jorku przyjdzie do wesołego miasteczka na długo przed dziewczyną, która otrzymała list od Drakuli, i gliny zdążą się z nim załatwić, i uwolnić teren, ale była to tylko nadzieja.

Kiedy otrzymał telefon od redaktora Rotfelda, nie miał nawet i tej nadziei. Pomysł napuszczenia gliniarzy przyszedł mu do głowy dopiero później, gdy z opisu Rotfelda zorientował się, że chodzi o tego samego faceta, który wczoraj wypytywał go o adres Kate.

Sięgnął po słuchawkę telefonu. Szeryfa nie było. Telefon podniósł sierżant MacKenzie. .

- Tu mówi Fred O'Conolly... - przedstawił się grzecznie - Jest taka sprawa... Czy interesuje was jeszcze prywatny łapacz z Nowego Jorku, ten który wczoraj dowiadywał się w moim barze o adres Kate Malory?

- Owszem, staruszk... - głos sierżanta był beznamiętny i łagodny.

- Miałbym dla was informację o tym facecie...

- Nie krępuj się. Wal śmiało, umieram z ciekawości...

- Mój przyjaciel z Miami dał mi cynk, że facet się znowu do nas wybiera... Podobno ma być o zmierzchu w wesołym miasteczku pana Halifaxa...

- Co ty powiesz? Chce się przejechać na karuzeli?

- Nie wiem... Pewnie będzie próbował tam coś wywęszyć. Mój przyjaciel z Miami nie mówił mi nic konkretnego.

- Masz niekonkretnych przyjaciół, staruszk... A można wiedzieć, jak się nazywa i co ma wspólnego z tym prywatnym łapaczem?

Fred nie miał zamiaru opowiadać sierżantowi o redaktorze Rotfeldzie.

- Nieważne, jak się nazywa... Taki jeden nieciekawy gość, tego łapacza zna zupełnie przypadkowo...

- Ejże! - W beznamiętnym dotąd głosie sierżanta I MacKenzie zadźwięczały nutki podejrzliwego niedowierzania - zna go przypadkowo, a tamten zwierzył mu się, że zamierza odwiedzić wesołe miasteczko w naszej dziurze?... I co dziwniejsze, twój przyjaciel uznał za wskazane natychmiast przekazać ci tę przypadkową, nieciekawą informację... Coś tu nie gra, staruszk...

- Myślałem - Fred najeżył się i zeszytniał - że po prostu może wam zależeć na informacjach o tym gościu z Nowego Jorku. Chciałem pomóc policji, a pan, sierżancie, zaczyna się czepiać... Tak nie wolno - dodał z wyrzutem.

- Dziękuję za pouczenie-zaśmiał się sierżant. - Wiem I już teraz, czego mi nie wolno. Na przyszłość będę uważał. Do zobaczenia, staruszk. Jeszcze sobie porozmawiamy. A tymczasem dziękuję za informację... - Odłożył słuchawkę.

Wkrótce po rozmowie z policją Fred zajął stanowisko I obok płotka okalającego wesołe miasteczko. Moskity cięły niemiłosiernie, ale on cierpliwie czekał na dalszy rozwój wypadków. W kieszeni czuł ciężar naładowanego pistoletu, który zabrał ze sobą. Ukryty w drugiej kieszeni japoński aparat fotograficzny, którym podobno zrobić można było wyraźne zdjęcia, wykorzystując tylko blask *m* księżyca, nie ważył prawie nic. Redaktor Rotfeld długo I tłumaczył, co należy nacisnąć i jak posługiwać się wmontowanym w aparat światłomierzem. Fred słuchał piąte przez dziesiąte i teraz miał mnóstwo wątpliwości. Prawdę mówiąc, nie bardzo uwierzył, żeby tym niewielkim przedmiocikiem, przypominającym raczej gazową zapalniczkę niż uczciwy aparat fotograficzny, można było rzeczywiście wykonać nocne zdjęcie.

Pal Ucho fotografie - pomyślał - ostatecznie mam oczy i pamięć. Jeżeli sprawa będzie warta zachodu, odpowiednie dowody zdobędzie się później. Są na to sposoby. Najważniejsze to ustalić,



kim są Drakula i jego partnerka i czy ich spotkanie może być punktem wyjścia dla przyszłych zarobków... Jeżeli sprawa będzie naprawdę obiecująca - pomyślał - nie wypuszcze jej z ręki. Po prostu powiem Rotfeldowi, że pojawienie się łapacza z Nowego Jorku spłoszyło Drakulę i do spotkania nie doszło...

Zaczajony w krzewach, zobaczył policjantów wkraczających do lunaparku. Nie spostrzegł natomiast przybycia Quiryra. Wraz z upływem czasu rósł jego niepokój. Jeżeli ten przeklęty łapacz nie zjawi się wcześniej, wtedy Drakula natknie się na policjantów, którzy z pewnością nie zrezygnują z oczekiwania... A jeśli nie przyjdzie w ogóle, będzie jeszcze gorzej. Sierżant MacKenzie nie należy do ludzi, których można wystawiać do wiatru, podzuczając nieprawdziwe informacje...

Zrobiło mu się trochę niewyraźnie. Nieprzyjemne rozmyślenia przerwało wydarzenie, którego tak długo oczekiwał. Przy wejściu do wesołego miasteczka usłyszał stłumione głosy i zobaczył jakiś ruch. A potem odetchnął z ulgą. Na drodze pojawiło się trójka ludzi. Kiedy podeszli bliżej, mógł ich dokładnie obejrzeć. Policjanci prowadzili człowieka, który w dniu wczorajszym wypytywał go o adres Kate Malory. Miał ręce wykręcone do tyłu. Odeszli w kierunku zakrętu. Tam stał - o tym Fred wiedział — wóz policyjny. Drakula mógł teraz spokojnie przybywać i czekać na swą wybrankę. Fred pomyślał, że trzeba znaleźć lepszą chatownię.

Wylażł z krzaków, rozprostowując zdrtwiałe mięśnie.

Ostrożnie przeszedł przez niewielki płotek. Znał dobrze lunapark i z góry wiedział, gdzie się ukryje. Najodpowiedniejszym miejscem wydawał mu się tunel grozy. Przypomniał sobie pomost przed tunelem. W jego cieniu byłby zupełnie niewidoczny, a sam swobodnie mógłby obserwować wejście.

Pod pomostem stało krzeselko z metalowych rurek. Zwykle siadywał na nim pracownik, który sprawdzał bilety ludziom zajmującym miejsca w wagonikach ruszających w podróż po mrocznej jaskini niesamowitego tunelu. Dwuosobowe wagoniki, na których wymalowano ludzkie szkielety i diabły, stały teraz nieruchome w cieniu pomostu.

Fred usiadł wygodnie na krzeselku i rozprostował długie nogi. Wokół było cicho. Tylko gdzieś z daleka dolatywał delikatny i jednostajny szum morza. Świecił księżyc. Moskity uwijały się wokół głowy i od czasu do czasu kąsały boleśnie. Nie zwracał na nie zbytnej uwagi. Przypomniał sobie o aparacie fotograficznym. Wyciągnął go z kieszeni. W miniaturowym wizjerze dojrzał wyraźnie pomniejszone odbicie diabelskiego młyna, zarysowanego ostro w księżycowym blasku. Zdziwił się, że obrazek w lusterku jest tak wyrazisty. Zaczął wierzyć, że, rzeczywiście można będzie wykonać czytelne zdjęcie. Spojrzał na światłomierz. Małeńkie nafosforyzowane cyferki, widoczne w kwadratowym wzierniku, wskazywały, że istnieje taka możliwość. Skierował tubkę teleobiektywu w kierunku wejścia do wesołego miasteczka., Postanowił, że zrobi zdjęcie natychmiast, gdy tylko ktoś pojawi się w polu widzenia.

- Fred? Chcesz sfotografować Drakulę?

Pytanie wypowiedziane zostało półgłosem, ale, w uszach Freda zabrzmiało jak wystrzał. Zaskoczenie było zupełne. Gwałtownie odwrócił głowę i zobaczył Drakulę. Poznał go oczywiście i ogromnie się zdumiał

Przestraszyć się już nie zdążył. Precyzyjnie wymierzone ostrze przeniknęło do jego serca. Kiedy umarł, Drakula zabrał mu aparat fotograficzny i przeszukał kieszenie. Znalazł pistolet i uśmiechnął się do siebie. Ale w gruncie rzeczy nie był zadowolony. To przypadkowe zabójstwo psuło mu szyki.

\* \* \*

- Chcę się widzieć z szeryfem - krzychałem łomocząc lewą pięścią w drzwi celi, w której mnie zamknięto - natychmiast muszę widzieć się z szeryfem!

Prawą rękę i kark miałem zdrętwiałe i pulsujące bólem. Każdy ruch, każde napięcie mięśni sprawiało przykrość, powodowało rozrywający ból. Całe ciało pragnęło spokoju i bezruchu. Gdybym mógł ułożyć się na brzuchu, nieruchomo i luźno, przylegając policzkiem do chłodnych desek pryczy... Głina, który sprawił mi lanie, znał się na swej robocie. Ciosy wymierzone zostały precyzyjnie, trafiły, gdzie potrzeba, i wywołały skutek, jaki powinna spowodować policyjna pałka kierowana niezawodną ręką fachowca.

Nie przestawałem łomotać do zamkniętych drzwi. Wiedziałem, że muszę to robić. Koniecznie potrzebowalem rozmówić się z szeryfem i wyłożyć mu swoją rację.

Nie chodziło tu o mnie. W gruncie rzeczy gliniarze z Holiday Beach niewiele mogli mi zrobić. Jeszcze jedno solidne manto, parę tygodni aresztu - to wszystko. Szło o coś zupełnie innego. Ten list wyglądał rzeczywiście mocno podejrzanie. Na terenie wesołego miasteczka znaleziono już jedne zwłoki. Sądziłem, że to wystarczy. No i był jeszcze James Hilton. I jego siostra, dziewczyna z ramionami jak lodygi egzotycznych kwiatów, biedna zapłakana dziewczyna z secesyjnego obrazka, dziewczyna, która uwierzyła, że potrafię uratować jej brata.

- Chcę natychmiast rozmawiać z szeryfem!

Wreszcie zdecydował się zauważyć moje krzyki i łomotania. Zdjął nogi z biurka, podniósł się z krzesła i leniwym krokiem podszedł do drzwi. Miał minę znudzonego mopsa. Przyłożył chudą głowę do osiatkowanego okienka i powiedział:

- Zamknij się. Jesteś nieznośny. Jeżeli natychmiast nie przestaniesz, wejdę tam do ciebie. My tu nie lubimy takich, co rozrabiają w areszcie...

- Sierżancie - powiedziałem - żądam natychmiastowej rozmowy z szeryfem. Niech go pan tu sprowadzi. Tu chodzi o ludzkie życie.

Roześmiał mi się w nos.

- Wymyśl coś innego. Powtarzasz się. To się staje nudne, koleś... Szeryfa zobaczysz jutro. Szeryf nie zjawia się na każde żądanie takiego pętaczka jak ty. Stul pysk! i przestań się awanturować. Tu jest Holiday Beach, a nie, Nowy Jork. Tam, u siebie, może i jesteś cholernie ważny, ale u nas to z ciebie zwyczajny gnojek zamknięty w areszcie za stawianie oporu policji. Zrozumiałeś?

Odszedł od drzwi, rozwalił się na krześle i nogi z powrotem umieścił na biurku. Zaczął pogwizdywać. Nawet, efektownie wyglądał w zgrabnym, poznaczonym naszywkami mundurze gdy tak leżał rozwalony na krześle na tle państwowego sztandaru stojącego przy ścianie i gwizdał jakąś melodię śmiało spojrzenie wlepiając w sufit. Można by go było namalować, obrazowi nadać tytuł „Na posterunku” i wysłać na festiwal sztuk policyjnych, gdyby taki gdzieś się kiedyś odbywał.

Przetrażona ręka pulsowała nabrzmiewającym rytmem narastającego bólu. Gardło miałem zaschnięte, usta spieczone, a kropelki potu spływały po czole i policzkach:

\* \* \*

Zobaczył, że ręce i ubranie ma poplamione krwią. Zaklął cicho. Tego jeszcze brakowało.

Dziewczyna, na którą czekał, nie powinna spłoszyć się w pierwszej chwili. Oczywiście, potrafiłby ją uciszyć, ale to by mu popsulo cały misterny plan, który sobie wymyślił. Zbyt wiele wysiłku wyobraźni włożył w drobiazgowo opracowanie scenariusza wydarzeń, by teraz zburzyć to wszystko. Był zdenerwowany. Myślał o człowieku, którego chciał dziś zabić, i żałował, że nie uczynił tego znacznie wcześniej. Człowiek ten żyje i w każdej chwili może wydać go policji.

Miał ochotę uciec, ale nie ruszał się z miejsca. Zdusił to pragnienie ucieczki, te myśli podstępne, które kusily, aby dać spokój, nie czekać, uciec stąd jak najszybciej. Popatrzył na swe ręce, popatrzył na plamy krwi na ubraniu. Postanowił, że na niepokój, na strach i obawy przyjdzie czas dopiero potem. Teraz powinien być po prostu cierpliwy... Wszystko musi się odbyć właśnie tak, jak to sobie uprzednio zaplanował... A potem niech dzieje się co chce... To już nie będzie ważne...

\* \* \*

Drzwi otworzyły się z przenikliwym skrzypnięciem. Sierżant z nivenowskim wąsikiem powiedział:

— Chciałeś pogadać z szeryfem. Chodź tutaj i zachowuj się grzecznie...

Nie wierząc własnym uszom, wstałem z pryczy i podszedłem do drzwi.

Sierżant przyglądał mi się z ironicznym uśmiechem. W prawym ręku trzymał pałkę. Zastanawiałem się, czy mi przyłoży, kiedy się do niego zbliżę. Wyglądało na to, że raczej sobie nie pożałuje tej przyjemności.

Zapuściłem żurawia do sąsiedniego pomieszczenia. Było puste.

- Tam nie ma szeryfa - powiedziałem.

Cofnąłem się o krok i nie spuszczałem wzroku z pałki. Postanowiłem, że tym razem tak łatwo mnie nie zaskoczą. Bez względu na konsekwencje będę się bronił. Raz kozie śmierć...

Wyczuł widać mój nastrój, bo uśmiechnął się pod tym swoim zabójczym wąsikiem i potrząsnął pałką.

- Nie bój się, koleś. Jak będziesz grzeczny, nie sprawię ci smarowania...

- Chcę rozmawiać z szeryfem. .

- Porozmawiasz z szeryfem, ale przedtem posłuchasz, co ci mam do powiedzenia. Zrozumiałeś?

- Niech będzie - zgodziłem się. - O co chodzi?

- Szeryf będzie z tobą rozmawiał jutro.

- To niemożliwe! Muszę z nim mówić! Trzeba...

- Zamknij się. Nie będziesz mnie pouczał, co trzeba, a czego nie. To ja ciebie pouczę. Pamiętaj, nie życzę sobie, żeby mój kolega miał z twojego powodu kłopoty... Jeżeli przyjdzie ci do głowy skarżyć się szeryfowi...

- To co wtedy?

- Wtedy spuścimy ci takie manto, że raz na zawsze odechce ci się wszelkich podskakiwań. Dobrze to sobie; zapamiętaj. Kolega przeciągnął cię gumą tylko dlatego, że stawiałaś opór, zrozumiałaś?

- Nie stawiałem żadnego oporu.

- Stawiałaś i teraz też próbujesz podskakiwać. Niej wiem, jak to jest w Nowym Jorku, ale u nas nie oplaca się sprzeczać z policją. Stawiałaś opór i teraz znowu to robisz - podniósł pałkę i jej końcem dotknął mego podbródka - zapamiętaj to sobie...

Dotyk zimnej gumy podziałał jak uderzenie prądem, i Miałem dość glin, dość ich bezczelnych pysków, dość tępej brutalności. Dość wszystkiego. Jestem na ogół opanowanym facetem. Bez umiejętności zapanowania nad odruchami, nad odrazą i wstrętem daleko bym w swoim zawodzie nie zaszedł. Doskonale wiedziałem, że powinienem się teraz uśmiechnąć i wdać z sierżantem w rozmowę, z której by wynikało, że choć w zasadzie jestem obrażony, to jednak uznaję jego racje, a pałka, choć staram się tego po sobie nie pokazywać, wywarła na mnie odpowiednie wrażenie... Gliny uwielbiają, gdy pokazać im, że się przed nimi pęka... Sprawia im przyjemność, kiedy czują, że mają cię w garści i tylko od ich dobrej woli zależy, czy cię zgnoją ostatecznie, czy też pozwolą ci łaskawie dogadać się ze sobą...

Ale w tej chwili nie pamiętałem o tych mądrościach i o wszystkim, co powinienem teraz zrobić, jeślibym kierował się zdrowym rozsądkiem. Czułem tylko nacisk pałki na brodę i widziałem wredną i triumfującą, pełną złośliwej satysfakcji gębę. Poczulem nienawiść. Gorącą nienawiść i święte przekonanie, że tego rodzaju typ musi zostać unicestwiony, tak jak powinien zostać za-deptany jadowity skorpion, który ma ochotę wbić swoje żądło w twoją stopę...

To było silniejsze niż rozsądek, niż instynkt samozachowawczy, niż wszystko... Cały byłem tylko gniewem i nienawiścią... Z uczuciem wyzwolenia z koszmaru, a jednocześnie z resztkami świadomości, że popełniam coś nieodwołalnego, z całej siły rąbnąłem go w szczękę lewym prostym.

Cios był wymierzony jak należy. Nie spodziewał się go zupełnie. Nie mógł się spodziewać. To było sprzeczne z całym jego dotychczasowym doświadczeniem, było rodzajem gromu padającego z jasnego nieba. Osunął się miękko na kolana, z wyrazem ogromnego zaskoczenia na pokrwawionej gębie. Pałka z głuchym stuknięciem upadła na betonową podłogę. Nie stracił przytomności, ale był tak oszołomiony, że dopiero w kilka sekund potem niemrawo sięgnął do boku, przy którym powinien dyndać wielki colt. Ale go nie było. Wszedł do celi bez pasa.

Przeskoczyłem przez niego i wypadłem z celi. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i przekręciłem płaski klucz tkwiący w zamku. Rozejrzałem się po pokoju. Na wieszaku pod ścianą, niedaleko okna, wisiał jego pas z bronią. Poczulem ogromną ochotę, by zabrać tę broń i uciekać. Niej zrobiłem tego. To byłoby ostateczne i nieodwołalne pograżenie się w topieli, z której już bym nie potrafił wypłynąć... Zresztą i teraz szanse na wypłynięcie były raczej znikome. Zdrowy rozsądek powrócił i trzeźwo oceniłem sytuację. Nie czulem żadnego żalu, nie wyrzucałem sobie niczego. To nie w moim stylu. Co się stało, to się już nie odstanie. Nie było czasu na biadolenie. Trzeba było kombinować, w jaki sposób choć o odrobinę zmniejszyć katastrofalne konsekwencje faktu, że uciekłem! z aresztu i przyłożyłem glinie pełniącemu służbę. To, że zamknięto mnie niewinnie, nie zmieniało niczego. Każdy! sąd bez cienia wahania wyśle mnie na solidną odsiadkę! Nie warto do tego wszystkiego dokładać jeszcze kradzieży policyjnej broni...

Zamknięty gliniarz nagle zaczął łomotać do drzwi. Niech sobie łomocze. Nie mam zamiaru go wypuścić. Inaczej rozegram tę partię. Oczywiście, jeżeli przyjąć, że pozostało jeszcze coś do rozegrania...

Usiadłem za biurkiem. Włączyłem ustawiony na nim wiatraczek. Poczulem na twarzy uderzenie strumienia nagrzanego powietrza. Nie przyniosło to ochłody, ale w każdym razie trochę łatwiej było oddychać. Pomyślałem, że powinienem skontaktować się z szeryfem. To była jedyna szansa, jaka mi pozostała. Trzeba odszukać szeryfa... Zapaliłem papierosa.

Sierżant coraz energiczniej domagał się uwolnienia. Zza otwartego okna dolatywało cykanie świerszczy i bardzo dalekie odgłosy jakiejś muzyki... Czas upływał. Termin spotkania Drakuli z nieznaną dziewczyną zbliżał się nieuchronnie... Trzeba koniecznie pokazać ten list szeryfowi...

Rozległ się przenikliwy dzwonek. To odezwał się telefon na biurku. Wahalem się tylko przez chwilę. Podniosłem słuchawkę. Miałem nadzieję, że usłyszę głos szeryfa.

- Słucham...

- Czy to policja?

- Tak...

- Chciałem mówić z szeryfem Nortonem...

- Na razie go nie ma. Powinien zjawić się niedługo... -Głos w słuchawce wydał mi się dziwnie znajomy, więc zaryzykowałem pytanie: - A właściwie o co chodzi? Może ja potrafiłbym go zastąpić...

Przez chwilę w słuchawce panowało milczenie. Słyszałem tylko czyjś ciężki oddech, a potem stłumione odgłosy jakiejś rozmowy. Słów nie mogłem odróżnić. Czekałem cierpliwie, nie zwracając uwagi na sierżanta, który usiłował sforsować drzwi aresztu.

- Halo, jest tam pan jeszcze?

- Słucham...

- Mówi Cornelius Ford. Doradca prawny pana Stana Olivera Halifaxa...

Nie myliłem się więc. Mam dobrą pamięć słuchową i mimo zniekształceń spowodowanych przez telefon dobrze rozpoznałem głos. Kłopot leżał w tym, że i on mógł mnie poznać. Wydawało się to jednak mało prawdopodobne. Z pewnością nie przyszłoby mu do głowy, że łaps z Nowego Jorku, którego wyrzucił ze swego gabinetu, podnosi słuchawkę telefonu w biurze szeryfa w Holiday Beach. Na wszelki jednak wypadek starałem się mówić niewyraźnie.

- Słucham uważnie. Co mam przekazać szeryfowi?

- Sprawa jest bardzo pilna. Chciałem w imieniu mego klienta złożyć pewne oświadczenie. Czy ma pan pod ręką coś do pisania?

- Oczywiście.

- Powinniśmy właściwie poczekać na szeryfa, ale nie możemy dłużej zwlekać... Sprawa jest pilna.

- Słucham uważnie. Zapisuję każde słowo.

- Chodzi o Patricka...

- O kogo? O jakiego Patricka?

- O Patricka. O syna pana Halifaxa...

Nie miałem pojęcia, że Halifax ma syna. Zrozumiałem jednak, że popełniłem błąd. Facet urzędujący przy służbowym telefonie szeryfa w Holiday Beach powinien nie mieć wątpliwości, o jakiego Patricka chodzi, jeżeli imię to wymienia doradca prawny pana Halifaxa. Na szczęście nie zauważył mojej gafy.

- ... Patrick jest niezrównoważony psychicznie. Zachodzi obawa, że może stać się źródłem zagrożenia porządku publicznego. W tej sytuacji mój klient uznał za wskazane zwrócić się do władz z prośbą o interwencję...

Umilkł i znowu usłyszałem stłumione szepty po drugiej stronie telefonicznego przewodu.

Zdecydowałem się troszkę przycisnąć swojego rozmówcę.

- Przepraszam, co to znaczy „niezrównoważony psychicznie”? I co ma z tym wspólnego policja?

- No, wie pan - w głosie mecenasa Forda wyczułem wahanie - po prostu mój klient chciał zwrócić uwagę, że pan Patrick jest czasami niezbyt odpowiedzialny za swej czyny... i może okazać się gwałtowny, bardzo gwałtowny...

- Jak dalece gwałtowny? - przerwałem mu grzecznie, ale stanowczo. - Czy może na przykład naubliżać komuś bezpodstawnie?

- Nie tylko to... Konsekwencje jego zaburzeń psychicznych mogą być znacznie poważniejsze... Chciałem wyjaśnić, że pan Patrick Halifax jest dziedzicznie obciążony... Jego matka zmarła w azylu dla psychicznie chorych... Cierpiała na bardzo poważne zaburzenia umysłowe... Usiłowała utopić własnego synka...

- Pan Patrick także chce kogoś utopić?...

- Proszę pana - głos mecenasa Forda stał się nagle twardy i zdecydowany - chciałem zwrócić uwagę, że mój klient nie jest zobowiązany do składania żadnych zeznań obciążających własnego

syna. Jeżeli zdecydował zwrócić się do policji, to tylko w wyniku poczucia odpowiedzialności i obywatelskiego obowiązku. Jestem upoważniony jedynie do złożenia oświadczenia, że w aktualnym stanie psychicznym pan Patrick Halifax może być niebezpieczny dla innych obywateli. Chciałbym, żeby pan to zanotował i przekazał szeryfowi... Zanotował pan?

- Oczywiście, proszę pana. Każde słowo...

- Proszę także zanotować godzinę złożenia tego oświadczenia... To jest ważne... Być może policja z Miami zwróci się do was w tej sprawie. Czy mógłby pan podać swoje nazwisko?...

Odpowiedziałem pytaniem:

- Gdzie przebywa pan Patrick w tej chwili?

- Przed dwiema godzinami wyszedł z domu. Wziął wóz... Proszę podać mi swoje nazwisko... Z kim mówię?

Nie uznałem za wskazane się przedstawić. Odłożyłem słuchawkę.

Od drzwi aresztu dolatywało coraz głośniejsze łomotanie i nieprzerwana litania wymyślnych przekleństw. Spojrzałem na zegarek. Zrobiło się diablo późno. Na biurku leżało kilka luźnych kartek maszynowego papieru. Wyciągnąłem długopis i zacząłem spisywać oświadczenie złożone przez Corneliusa Forda. Potem dodałem kilka zdań wyjaśnienia od siebie.

W czasie, gdy pisałem, telefon na biurku dzwonił wielokrotnie. Nie podnosiłem słuchawki. Spieszyłem się.

\* \* \*

- A więc-powiedział Patrick Halifax - zdecydowała się panienka przyjąć moje zaproszenie... - Uśmiechnął się do spłoszonej dziewczyny. - Nigdy nie podejrzewałem, że Stokrotka to będzie właśnie pani...

Bobbie nic nie odpowiedziała. Była straszliwie zażenowana. Czowała gwałtowne bicie serca i pulsowanie krwi w skroniach. Kiedy wymykała się z domu, pragnęła tylko jednego. Chciała odegrać się na rodzicach. Sam fakt, że zrobi im na złość, że swoją decyzją przybycia na spotkanie raz na zawsze wyzwoli się spod ich władzy, wydawał się jej najważniejszy... Nie bardzo wyobrażała sobie, jak będzie przebiegało to spotkanie. Nie zastanawiała się.

Kiedy wysyłała list do Drakuli, nie traktowała tego poważnie. Korespondencja miała być tylko pikantnym, podniecającym żartem. Żart niespodziewanie stał się rzeczywistością i Bobbie stanęła oko w oko z Drakulą...

Kiedy weszła do lunaparku, poczuła strach. Opar mściwej satysfakcji, który zasnuł jej myśli, rozwiął się nagle bez śladu i przez plecy dziewczyny przebiegło drzenie... Co robi wśród tych martwych karuzeli i nieczynnych strzelnic? Czego tu szuka? Kto na nią będzie czekał?

Rozejrzała się trwożnie. Oblane księżycowym blaskiem pawilony wydawały się bezludne i uśpione. Słyszała swój oddech, delikatne bzykanie moskitów i chrzęst żwiru deptanego noskami pantofli. Zapragnęła nagle być znów w domu. Zapomniała o tym, co się stało. Do domu! Szybko do

domu! To, że znalazła się tutaj, jest potwornym nieporozumieniem... To nie Bobbie, ale jakaś zupełnie inna dziewczyna zdecydowała się przybyć na to dziwaczne spotkanie.

Już chciała zawrócić, gdy nagle tuż przy niej pojawił się młody mężczyzna o jasnych włosach. Na ubraniu miał jakieś ciemne plamy. Sporo plam. Zauważyła je od razu, ale zupełnie nie zdała sobie sprawy z ich pochodzenia.

- Jestem Drakula. Dobry wieczór, Stokrotko... — odsłonił w uśmiechu białe zęby.

Poznała go natychmiast. To przecież pan Patrick. Syn starego Halifaxa. W pierwszej chwili reakcją było tylko zdumienie. Ogromne zdumienie. Nigdy, choćby przez moment, nie wyobrażała sobie, by młody człowiek takiego rodzaju jak Patrick Halifax mógł mieć coś wspólnego z ogłoszeniami zamieszczanymi w „Poznajmy się”... A potem przyszedł wstyd. Obezwładniające uczucie, które sprawiało, że pragnęła zapaść się pod ziemię... Gdyby tym Drakulą okazał się ktoś nieznamy, wtedy reakcja jej byłaby pewnie inna.

Mówił do niej, uśmiechał się, był bardzo miły i grzeczny, ale ona, sparaliżowana zażenowaniem, nie potrafiła odpowiedzieć ani słowa. Podszedł do niej jeszcze bliżej i ujął ją pod rękę. Poczula na swoim nagim ramieniu jego chłodne palce. Poprowadził ją delikatnie, ale stanowczo w kierunku jednego z budynków. Zobaczyła napis nad wejściem: „Tunel grozy”. Wyminął rząd wagoników, pchnął wahadłowe drzwi przypominające wejścia do knajp pokazywanych w westernach i powiódł ją do środka. Weszła posłuszenie, oszołomiona i nieszczęśliwa, zmiażdżona uczuciem wstydu i poniżenia.

Co sobie o niej pomyśli! Co pomyśli ten wytworny, elegancki chłopak, który studiował na najlepszym uniwersytecie i podobno pisze wiersze... Potraktuje ją jak zwykłą dziwkę, która zgłasza się na wezwanie zamieszczone w dwuznacznym anonsie... Świadomość upadku i poniżenia wypełniła Bobbie. Jeszcze się nie bała. Na razie był tylko wstyd.

Zatrzymali się i Drakula wyciągnął z kieszeni elektryczną latarkę. W jasnym kręgu jej światła pojawiły się powykręcane białe szkielety. Truposze szczyrzyły zęby i wpatrywały się w nich ciemnymi dziurami oczodołów. Poczula, że delikatny uchwyt na jej ramieniu staje się mocniejszy, bardziej zdecydowany...

— Piękna sceneria do spotkania z Drakulą - w głosie Patricka zabrzmiały tony, które ją zaniepokoiły. - Zaufałaś Drakuli, Stokrotko, i Drakula cię nie zawiedzie... Drakula dotrzymuje słowa... Przeżyjesz to, co było udziałem bardzo niewielu dziewcząt... Sama się zresztą przekonasz...

- Proszę pana - wyszeptała cichutko i były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała - ja chcę wracać do domu...

Zabrzmiało to przeraźliwie dziecinnie i żałośnie. Drakula pomyślał, że właśnie tak to powinno zabrzmieć. Poczul narastający dreszczyk emocji. Ta mała jest świetna... Trzeba tylko wszystko rozegrać tak, jak zaplanował, nie popełnić żadnego błędu i przeoczenia, nie zmarnować okazji... Jednocześnie przez głowę przemknęła niespokojna myśl o ojcu... Jeżeli stary zawiadomił policję, mogą mu jeszcze przeszkodzić. To on stanowił zagrożenie. Podstawowe zagrożenie, którego nie



zdążył już usunąć... Po rozmowie z szeryfem ojciec zamknął się w gabinecie i nie odpowiadał na pukanie. Zwiertzył chyba pismo nosem... Patrick poczuł żal, że wcześniej tego nie załatwił. To była karygodna lekkomyślność. Przecież byłej jasne, że stary z jakichś powodów domyślił się, co zdarzyło się naprawdę z tą kelnerką z baru... Może przypadkowo wpadł na skrytkę z ukrytym pamiętnikiem? Szkoda, że nie zabrał pamiętnika ze sobą... Jeżeli stary przeczytał dzisiejszy zapis... Już mógł zawiadomić policję.. Trudno. Martwić się będzie później... W każdym razie nie było wątpliwości, że ojciec wiedział wszystko... Te jego niezdarne próby rozmowy z synem, to uporczywe naleganie, by Patrick natychmiast wyjechał z Holiday Beach i to najlepiej do Europy... A potem ta gorączkowa krzątająca się do przyklepania komuś, byle komu etykiety mordercy dziewczyny z baru... Stary widać uważał, że nie można dopuścić, aby syn tak znakomitego obywatela Holiday Beach i wzoru wszelkich cnót amerykańskich mógł okazać się mordercą...

Kiedy Patrick spostrzegł tę gorączkową krzątanicę, wiedział, że stary go nie zasypie... Dopiero potem przyszło otrzeźwienie graniczące z paniką... Lucille Ambler otworzyła mu oczy. Stary mógł się wygadać... Zarówno Lucille, jak i ta śmieszna lekarka z Miami w każdej chwili mogły usłyszeć prawdę. One z pewnością nie zachowałyby dyskrekcji... I dlatego musiały umrzeć...

- Proszę pana, naprawdę chcę do domu... Chcę wracać...

Trwożny szept Bobbie przywrócił go do rzeczywistości. Skierował strumień światła prosto na twarz dziewczyny. Zobaczył szeroko rozwarte oczy, drżące wargi i pobladłe policzki. Fala rozkosznej emocji, która osłabła, kiedy myślał o ojcu, wezbrała ponownie.

— Za późno, Stokrotko. Drakula cię nie zawiedzie...

Poczuł, że wargi zaczynają mu drżeć i odsłaniają zaciśnięte kurczowo zęby, ale ruchy miał sprawne i precyzyjne...

\* \* \*

Leżał skurczony obok wagoniku, przed wejściem do tunelu grozy. Mały rudzielec z wytrzeszczonymi w potwornym strachu oczami. Był nieżywy. Nie mogło być co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie wyglądał przyjemnie. Był doskonałą reklamą dla budynku, przed wejściem którego spoczywał. Zwiedzajcie tunel grozy. Rudy, zaszlachtowany nieboszczyk uprzejmie zaprasza do środka! Czekają was niezapomniane przeżycia! Cena tylko dwadzieścia centów!

Jeszcze nie w pełni przekonany, że mam do czynienia z autentycznym nieboszczykiem, a nie z jednym z eksponatów tunelu, wywleczonym na zewnątrz w celu przewietrzenia, pochyliłem się ostrożnie nad trupozem. Był prawdziwy. Poznałem go. Wczoraj za dwadzieścia dolarów podał mi adres Kate Malory.

Wyciągnąłem z kieszeni rewolwer, który w końcu, gdy tylko utwierdziłem się w przekonaniu, że jest to rzeczywiście niezbędne, zdecydowałem się pożyczyć z urzędu szeryfa. Powolutku, na palcach zbliżyłem się do tunelu grozy. Wahadłowe drzwi były rozwarte. Czarna czeluść nie

wyglądała zachęcająco. Z duszą na ramieniu, z rewolwerem w garści i z uwagą napiętą do ostatnich granic wszedłem do środka.

Wyszedłem po kilku minutach. Świecił księżyc i gwiazdy. Moskity uwijały się wokół mojej twarzy. Nie zwracałem uwagi na księżyc, gwiazdy i moskity. Obojętnie przeszedłem koło nieżywego rudzielca. Popatrzyłem na rewolwer, który w dalszym ciągu trzymałem w ręku.<sup>^</sup> Przysiadłem na jednym z wózków stojących przed wejściem. Chwyciły mnie mdłości. Poczułem się starym i zmęczonym człowiekiem. Bardzo starym i bardzo zmęczonym.

Widziałem w życiu wiele paskudnych rzeczy. Bardzo paskudnych. Te koszmarne obrazy, wspomnienia i przeżycia, spychane do podświadomości, starannie izolowane, otaczane szczelnym murem obojętności, nawarstwiały się gdzieś w pamięci. W końcu zbiornik się przepełnił. To, co zobaczyłem w tym tunelu, stanowiło ostatnią kroplę. Fala wstrętu, przerażenia i grozy rozlała się szeroko, zerwała ostatnie tamy, zapory i umocnienia. Zatapiała mnie. Unicestwiała. Miałem dosyć. Dosyć siebie i swego życia. Pragnąłem tylko jednego. Nigdy więcej nie otrzeć się o gwałt, zbrodnię i przemoc... Zapomnieć raz na zawsze o młodych dziewczynach zaszlachtowanych przez zbrodniców, o brutalnych, przekupnych i zarozumiałych gliniarzach, o wygłodniałych oczach narko-manów, o lepkich spojrzeniach wyszczekanych adwokatów, szurzących pyskach szantażystów i wulgarnych śmiechach sprzedajnych dziwek, o wycwanionych, długonogich sekretarkach sypiających z obleśnymi staruchami, o najemnych zabójcach o zimnych oczach i gangsterach w nienagannie skrojonych garniturach, udzielających prasowych wywiadów i kpiących w żywe oczy; z sądów, prawa i sprawiedliwości, o bezczelnych reporterach węszących wszędzie za skandalem, zbrodnią i ludzkim nieszczęściem... Pragnąłem zapomnieć o świecie w którym wypadło mi żyć.

Postrzępione sylwetki palm odcinały się ostro od wygwieżdzonego nieba, słychać było dolatujący od niedalekiej plaży szum przyboju... W rajku byłem. W rajku m ziemi. „Odwiedź Florydę, zakosztujesz rajku na ziemi".. Tak namawiają prospekty biur podróży, kolorowe i lśniące, wymuskane i eleganckie... Znajdziesz tu kilometry złocistych piasków, morze tak błękitne jak nigdzie na świecie, najwykwintniejszą kuchnię i podmorskie polowania w czarownej krainie Neptuna. Czekają na ciebie ryby jak kwiaty i kwiaty o kształtach ryb. Czekają rozkosze surfingu i nocnych lokali, w których najbardziej podniecające dziewczęta świata rozbierają się non stop od zmierzchu aż do świtu... Wszystko to będzie twoje, jeżeli masz tylko odpowiednią ilość dobrych amerykańskich dolarów, na których wydrukowano wizerunki dobrotliwych ojców narodu i zapewnienie, że ufamy Bogu, że w nim pokładamy naszą nadzieję...

W rajku jestem. W prawdziwym rajku, ozdobionym palmami i wykładzinami z nylonu, oświetlonym blaskiem neonów i srebrzystego księżyca, na którym wylądowali amerykańscy chłopcy startujący z położonego w tym rajku przylądka.

A ja chcę uciec z tej krainy rozkoszy. Mam jej dość. Na zawsze dość.

Chcę zapomnieć o dziewczynie w tunelu grozy, o zakłutym rudzielcu, o panu Halifaxie, który żeby odwrócić podejrzenie od syna, może polecić policji wysłanie na fotel elektryczny niewinnego człowieka. Chciałem wyprzeć z pamięci wspomnienie o redaktorze Rotfeldzie i mecenasie Fordzie, o sierżancie z zabójczym wąsikiem i gliniarzu z mordą złośliwego buldoga.

Przemknęło mi przez głowę, że powinienem zawiadomić policję. Poinformować ich uprzejmię, co znajdują w tunelu grozy i u jego wejścia... Ale wcale nie spieszo mi było do telefonu, wcale nie spieszo... Znajdą mój list na biurku szeryfa. Wtedy tu przyjdą... I sami odkryją, co potrzeba.

Kołatała się też gdzieś we mnie myśl natrętna, że nie wolno mi uciekać... że jeżeli stąd odejdę, wpakuję się w straszną kabałę. Zabrnę w uliczkę bez wyjścia, wdepnę w trzęsawisko, które mnie pochłonie... Tak jakoś sennie, bez szczególnego zainteresowania wyobraziłem sobie krzyżące tytuły gazet: „Prywatny detektyw wampirem z Florydy!”, „Uciekł z aresztu i zamordował dwie osoby”... I jeszcze inne podobne tytuły, ale to wszystko było gdzieś obok mnie, za szklaną szybą odgradzającą od świata, dalekie i nieważne. Realny był tylko wstręt, zmęczenie i pragnienie ucieczki...

Nagle przyszło otrzeźwienie. Ta dziewczyna została zamordowana zupełnie niedawno. Jej ręka była jeszcze bardzo ciepła. Spóźniłem się niewiele... Gdybym zjawił się kilka minut wcześniej, Drakula chyba nie zdążyłby z ostatnim cięciem...

Nie mógł ujść zbyt daleko. Znajdował się pewnie jeszcze gdzieś w pobliżu. Nie wolno mi więc kapitulować, zatapiać się w otchłań odrazy, zmęczenia i rezygnacji... Na to przyjdzie czas później. Wtedy gdy ten, który popełnił tę strasliwą zbrodnię, nie będzie już zdolny zagrozić następnej ofierze...

Popatrzyłem na ukradziony colt. Była to dobra broń. Kaliber odpowiedni, lekko chodzący spust. Broń w sam raz na Drakulę. Rozejrzałem się.

Cicho było i pusto. Martwe, szeroko rozwarte oczy nieżywego rudzielca połyskiwały w księżycowej poświacie. Nadstawiłem uszu. Słyszać było tylko gwałtowne, wręcz oszalałe cykotanie niezliczonej ilości świerszczy i głuchy szum fal załamujących się na piaszczystym brzegu plaży po drugiej stronie drogi.

I nagle doszedł moich uszu dźwięk dodatkowy, dotychczas nieobecny. Od strony niewielkiego parkingu, położonego na południe od lunaparku, doleciał mnie delikatny, ale wyraźny szum zapuszczanego silnika. Idąc tu mijałem ten parking. Stały tam cztery wozy. Wokół nich było pusto. Teraz ktoś usiłował uruchomić jeden ze znajdujących się tam samochodów. Poderwałem się i pobiegłem w stronę parkingu.

Biegłem szybko, nie zwracając uwagi na nic, nie starając się zachować ostrożności. Zbyt późno jednak się zdecydowałem. Gdy dobiegłem, na parkingu stały już tylko trzy wozy.

Wybiegłem na drogę i rozejrzałem się. Daleko w mroku połyskiwały oddalające się rubinowe gwiazdy światła pozycyjnych jakiegoś samochodu. Ktoś przed chwilą ruszył stąd i pojechał na północ.

Przypomniałem sobie o wypożyczonym w Miami chryslerze. Zaparkowałem go w pobliżu. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Kluczyki od wozu spoczywały tam spokojnie. Gliniarze, którzy zgarnęli mnie z terenu wesołego miasteczka, jakoś się na nie nie połasczyli. Zabrali mi tylko broń.

Wsadziłem ciężki colt do kieszeni i przytrzymując go dłonią, aby nie wypadł, pobiegłem tam, gdzie czekał na mnie wypożyczony samochód. Moje buty głośno plaskały o asfalt. Księżyc świecił. Morze szumiało. Moskity cięły nieustannie.

Patrick Halifax był znużony i senny. Czuł niesmak. Głęboki niesmak. Wszystko odbyło się jednak zupełnie inaczej, niż sobie to wyobrażał. Był zbyt szybki, zbyt niecierpliwy. Ta dziewczyna była taka bezbronna, tak zupełnie zdana na jego łaskę... Nie potrafił tego w pełni wykorzystać. Umarła zbyt szybko... Nerwowe napięcie ostatnich godzin sprawiło, że teraz jest senny i rozluźniony. Prowadzi wóz po pustej szosie i pragnie jedynie dojechać gdzieś, gdzie można będzie rozciągnąć się wygodnie i usnąć.

Jest jak zaczadzony. Fala zmęczenia rozlewa się coraz szerzej, przenika coraz głębiej, miesza tok myśli, sprawia, że wszystkie emocjonalne odczucia stają się nieostre, rozmyte. W głębi świadomości bez przerwy rozbrzmiewa jednak alarmowy dzwonek. Pod warstwą zmęczenia, niesmaku i leniwie pełzających myśli tli się nieustannie poczucie zagrożenia.

Nie jest zdolny do chłodnej analizy położenia. Wie tylko, że nie powinien wracać do domu. Tam jest ojciec, który wie wszystko. Instynktownie czuł, że nie wolno już liczyć na jego milczenie. Nie zobaczy go już więcej. Nie wróci do domu.

Nie zastanawiał się, dokąd jedzie i co będzie robił dalej. Nie planował niczego. Był do tego niezdolny. Po prostu jechał przed siebie. Potem skręcił w jakąś drogę prowadzącą w prawo. Szlaban zobaczył w ostatniej chwili. Zdażył jednak zahamować. Przez chwilę siedział nieruchomo, a potem wyszedł z wozu.

\* \* \*

Wypożyczony w Miami grat, mimo że wyglądał na zupełnego truposza, okazał się wozem w pełni sprawnym. Już po kilkunastu minutach wariackiej jazdy na północ zobaczyłem przed sobą tylne światła jakiegoś samochodu. To musiał być ten wóz, którego odjazd z parkingu usłyszałem siedząc u wylotu tunelu grozy. Radykalnie zredukowałem szybkość i postanowiłem trzymać się w możliwie przyzwoitej odległości. Jechałem na światłach mijania. Nie chciałem, by kierowca, zobaczył w lusterku, że ktoś następuje mu na pięty.

W pewnym momencie czerwone gwiazdy tylnych świateł jego samochodu zniknęły mi z oczu. Za to przez okamgnienie dostrzegłem snop światła bijący z reflektorów. Zrozumiałem, że skręca w prawo. Jeszcze bardziej zredukowałem szybkość. Teraz już mi się nie mógł wymknąć. Widziałem, gdzie skręcił. W tej okolicy był tylko jeden skręt w prawo, w drogę wiodącą do Everglades.

Ja też tam skręciłem. Jechałem teraz już zupełnie wolno. Wyłączyłem wszelkie światła. Zatrzymałem się w dość dużej odległości od szlabanu. Przed ostatnim zakrętem. Wsiadłem z wozu i dalej poszedłem piechotą.

Zza zakrętu, idąc poboczem, tuż obok zwartej ściany tropikalnej roślinności, wyłoniłem się bardzo ostrożnie. Pamiętałem, że szlaban zagradzający dalszą drogę do parku znajduje się niedaleko stąd.

Przed szlabanem, dotykając go prawie przednim zderzakiem, stał duży wóz o bardzo opływowych kształtach. Reflektory miał włączone, w ich jaskrawym świetle widziałem szlaban, tablicę z napisami i zwartą ścianę zielonego, wilgotnego gąszczu. Przednie drzwi samochodu były szeroko otwarte. W środku nie zauważyłem nikogo. Bardzo ostrożnie, na palcach, podszedłem bliżej. W prawej ręce trzymałem odbezpieczony colt. Rozglądałem się uważnie dookoła. Nikogo nie wypatrzyłem. A jednak kierowca musiał być gdzieś w pobliżu. Zupełnie blisko. Przyjechał tu przecież przed kilkoma minutami.

Starając się, by nie oświetliły mnie reflektory, wyminąłem szlaban i podszedłem do chatynki, w której rezydował dzielny strażnik Narodowego Parku. Był tam. W tej swojej mundurowej koszuli, na rękawie której umieszczono emblemat z czarnym krokodylem. W dziwnie skurzonej, nienaturalnej pozie spoczywał na leżaku przed telewizorem. Tym razem telewizor nie był włączony. Głowa strażnika odchyłona była do tyłu. Karabin z lunetą spokojnie wisiał na ścianie.

Przypomniałem sobie rudzielca przy wejściu do tunelu grozy. Przypomniałem sobie dziewczynę w jego wnętrzu. Na karku i u nasady czaszki poczułem nieprzyjemne mrowienie.

Co za dużo to niezdrowo. Dwa trupy na jeden wieczór to porcja zupełnie wystarczająca.

Przez uchylone drzwi wszedłem do środka. W nos uderzył mnie skwaśniały odór piwa. Teraz dopiero zauważyłem, że cała podłoga zasłana była pustymi puszkami. Strażnik poruszył się i jęknął cichutko. Odczułem ogromną ulgę. Żył. Podszedłem i dotknąłem jego ramienia. Zabełkotał coś niewyraźnie przez sen i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając poźółkłe zęby. Potem czknął głośno i odór piwa stał się intensywniejszy.

Potrząsnąłem facetem energicznie. Odemknął zaczerwienione, nieprzytomne oczy i bezmyślnie wpatrywał się we mnie i w colt, który trzymałem w prawej dłoni.

- Obudź się, człowieku - powiedziałem - masz gości.

Uśmiechnął się głupio. Z rozchylonych ust pociekła mu strużka gęstej śliny.

- Witam pana w Narodowym Parku Everglades -wybełkotał - pańska cizia czeka na pana - zachichotał i porozumiewawczo zmrużył zapuchnięte oczy. - Cacy cizia, cizia, że palce lizać...

- O czym mówisz, człowieku? - zniecierpliwilem się... - Otrząśnij się, będziesz mi potrzebny...

- Dama czeka na pana... tak, czeka... - rozanielony uśmiech nie schodził z jego twarzy - przypiliło biedulkę, nie może się doczekać na słodkiego Romea.

Dźwignął się z leżaka i przykucnął na podłodze. Zaczął trochę po omacku szukać wśród wypróżnionych puszek. Podnosił jedną po drugiej i potrząsał, nasłuchując, czy w którejś rozlegnie się przyjemne chlupotanie. Widać pragnienie mocno go męczyło.

Zrozumiałem, że ten człowiek nie pomoże mi w niczym. Był wypełniony po brzegi mocnym piwem, właściwie na razie był tylko wielką beką piwa o kształtach człowieka. W takim stanie na ogół ma się wyłącznie jedno zainteresowanie - dopełnić beczkę po brzegi...

- Należy się dwadzieścia dolców - wymamrotał przerywając na chwilę swe poszukiwania - tyle się należy. Taka jest taksa. Ciziula czeka od rana... Niecierpliwi się... Karmiłem ją przez cały dzionek. Należy się dwadzieścia dolców... - Znieruchomiał w dziwacznej pozycji z puszką wzniesioną na wysokość ucha. Zmarszczył się boleśnie i zamknął oczy. - Łeb mi pęka - wyznał żałośnie. - To piwo było chyba skwaśniałe. Rany, jak mi łeb pęka...

Wycofałem się za drzwi, pozostawiając go w jego piwnej krainie. Ruszyłem w stronę domków dla turystów. Cały czas byłem czujny i napięty, z palcem na spuście odbezpieczonego colta. Miętko szedłem kocim krokiem, starając się cały czas trzymać w cieniu i omijać starannie miejsca oświetlone księżycowym blaskiem. A kiedy byłem już bardzo blisko tych domków na kurzych stopkach, usłyszałem nagle przeraźliwy krzyk, a jednocześnie czarny, rozcapierzony nietoperz przeleciał bezszelestnie tuż nad moją głową. Stałem jak wryty. Przypomniałem sobie owe wrzaski jakiegoś ptaszyska, które spłoszyły mnie tu poprzedniej nocy. Ale tym razem to nie był ptak. Krzyk powtórzył się i nie mogłem mieć najmniejszych wątpliwości - jakaś kobieta rozpaczliwie wzywała pomocy...

Twarc miał wymiętą i wymęczoną, a jego piękna opalenizna przybrała odcień popielatości. Długie jasne włosy były zmierzwione i poplamione krwią. Krew była także na koszuli, marynarce i na spodniach. Sprawiał niesamowite wrażenie. Oczy patrzyły martwo, a ręce o długich, wypiełgnowanych paznokciach sięgały ku skulonej postaci. Żarówka uwieszona u belkowanego sufitu płonęła jaskrawym światłem, oślepiła przyzwyczajone do ciemności oczy dziewczyny.

Pochylił się nad nią i powiedział:

- Dobry wieczór, panienko. Jestem Drakula...

Oczywiście wiedziała, że nie nazywa się Drakula, tylko Patrick Halifax. Jak wszystkie dziewczęta w Holiday Beach znała z widzenia pięknego młodzieńca o urodzie wikinga. Obudzona ze snu uderzeniem jaskrawego światła zapalanej żarówki, nie poznała go. Ale to trwało tylko kilka sekund. Kiedy wyciągał ku niej ręce, wrzasnęła. Głośno, przenikliwie. Nie zatrzymała go krzykiem. Nie drgnął nawet, nie zmrużył szeroko otwartych i jakby martwych oczu.

Poczuła na nagim ramieniu chłód jego palców. Dotykał jej delikatnie, z czułością. Wrzasnęła po raz drugi i z całej siły obiema rękami uderzyła go w twarz. Cofnął się o krok, opuścił ręce i uśmiechnął się do niej. Ten uśmiech, nadał twarzy Patricka miły, ujmujący wygląd, kontrastujący z martwym wyrazem oczu.

- Nie bój się Drakuli, panienko... Drakuli trzeba ufać... Zaufajcie Drakuli, dziewczyny...

Jak wyrzucona sprężyną, zeskoczyła na podłogę; Ubrana była w półprzezroczystą koszulę. Obrzucił ją uważnym, taksującym spojrzeniem.

- Jestem zmęczony - poskarżył się - bardzo zmęczony. Ale nie zawiodę cię...

Skoczyła w stronę drzwi, starając się wyminąć znowu wyciągnięte w jej kierunku ręce. Bezskutecznie. Dłoń Patricka zacisnęła się na jej koszuli. Dziewczyna szarpnęła się zostawiając w jego palcach zmięty strzęp muślinu... Runęła w ciemny, zbawczy otwór rozwartych drzwi. Oczywiście nie skorzystała z drabiny. Było dość wysoko, więc wywróciła się lądując w wysokiej trawie. Podnosząc się, zobaczyła go w jaskrawo oświetlonych od wnętrza drzwiach domku.

Rozcapierzył ręce. Jego sylwetka przypominała drapieżnego ptaka zrywającego się do lotu. Nie było wątpliwości, że skoczy za nią...

Zerwała się i zaczęła biec. Nie wybierała kierunku. Uciekała prosto przed siebie, chcąc zagubić się w mroku, w zbawczej gęstwinie. W księżycowej poświacie resztki jej białej koszuli sprawiały, że wyglądała jak wielka, trzepotliwa, tropikalna ćma, przemykająca tuż nad ziemią. Biegł, nie tracąc jej ani przez chwilę z oczu.

Nagle poczuła, że nogi grzęzną w bagnie, a po chwili cuchnąca, nagrzana woda zamknęła się wokół jej bioder. "Już nie mogła biec. Brnęła jednak uporczywie przed siebie, wyciągając stopy z uchwytu zaciskającego się wokół nich szlamu, rozgarniając ramionami wodę i wielkie sercowate liście, pływające na powierzchni. Zdażała uporczywie ku doskonale widocznej w księżycowym blasku ciemnej, zwartej kępie szuwarów. Chciała za wszelką cenę dotrzeć do tych trzcin, zagubić się wśród nich, dać się pochłonać ich czerni.

Słyszała za sobą pluskotanie wody, coraz bliższe, coraz bardziej złowieszcze. Starła się przyspieszyć kroku, ale wysiłki jej nie na wiele się zdały. Nogi grzęzły w gęstym, zalegającym dno mule. Kiedy za plecami usłyszała zdyszany oddech, wrzasnęła przeraźliwie jeszcze raz i ostatnim wysiłkiem rzuciła się do przodu. Potknęła się i tafla wody zamknęła się nad jej głową. Rozpaczliwie usiłowała się podnieść, ale nie potrafiła. Woda była płytka, sięgała najwyżej pasa, ale śliskie i lepkie dno ciągnęło ku sobie. Brakowało powietrza. Dusila się.

I wtedy poczuła, że coś chwytą ją za włosy i ciągnie do góry. Już wyprostowana, odetchnęła głęboko i otworzyła zalepione mułem oczy. Stał przy niej Patrick Halifax. Lewą ręką mocno trzymał ją za włosy, prawą błędził po jej szyi. Oddychał ciężko, chrapliwie. Z białych włosów, posrebrzonych teraz księżycem, ściekały strużki wody. Wpatrywał się w dziewczynę niewidzącym spojrzeniem antycznego posągu. Uśmiechnął się i powiedział:

- Nie uciekniesz przed Drakulą, panienko... Jesteś śliczna. Śliczna jak wodna boginka z Arkadii...

Potem zaczął mówić jakieś wiersze. Niezrozumiałe, złożone z wymyślnych, kunsztownie splecionych ze sobą słów. Palce prawej ręki coraz mocniej zaczęły zaciskać się wokół szyi dziewczyny. Lewa dłoń, kurczowo wczepiona w jej włosy, uniemożliwiała jakiegokolwiek poruszenie

głową. I właśnie w chwili, gdy ucisk palców na szyi dziewczyny stał się już trudny do zniesienia, padł strzał.

Patrick nie zmienił wyrazu twarzy. Zamilkł z otwartymi ustami. Powoli, bardzo powoli rozluźnił uchwyt na szyi. Potem osunął się w wodę. Jego lewa ręka dalej była we włosach dziewczyny. Dopiero tuż nad taflą topieli martwe palce rozluźniły uchwyt.

\* \* \*

Wlazłem do tej wody cuchnącej, do paskudnego bajora, pokrytego liśćmi wielkimi jak półmiski. Gdzieś wśród nich pływały ogromne białe kwiaty, których nazwy nie znałem. Na wszelki wypadek colta nie chowałem jeszcze do kieszeni. Byłem zdziwiony. Przede wszystkim zdziwiony. Nie rozumiałem, w jaki sposób udało mi się go trafić. Kiedy celowałem, był tylko niezbyt wyraźną, cokolwiek jaśniejszą na ciemnym tle ściany trzciny plamą. Ją było widać znacznie lepiej. Ale przecież nie do niej celowałem, tylko do niego. To był strzał rozpaczy. Był wynikiem odruchu. Gdybym namyślał się choć przez chwilę, nie zdecydowałbym się wystrzelić. Szansa trafienia dziewczyny była równa szansie trafienia jego.

Brnąłem przez wodę, przez muł, rozgarniając pływające po powierzchni liście i kwiaty. Znowu zauważyłem moskity, których miliony unosiły się nad tym bagienkiem. Przypomniało mi się, że w tego rodzaju miejscach pewnie roi się od aligatorów, węży wodnych, jadowitych pijawek i wszelkiego innego paskudztwa, i szybko odegnałem od siebie tę myśl nieprzyjemną.

Kiedy podszedłem do dziewczyny, zdziwiłem się znowu. Dopiero teraz ją rozpoznałem. To była Kate Malory, dziewczyna, która wczoraj o świcie miała wyjechać na Północ.

Pomogła mi go wyciągnąć z bagienka. Wynieśliśmy go na brzeg i ułożyliśmy wśród traw, ziół i ogromnych paproci. Był martwy, nieruchomy i oblepiony szlamem.

Sięgnąłem po papierosy. Mokre, rozlażyły się w palcach. Cisnąłem paczkę w trawy. Usiadłem ciężko i poczułem się piekielnie zmęczony. Kate przysiadła przy mnie. Krople wody lśniły na jej gładkiej skórze. Zapytałem:

- Skąd się tu wzięłaś? Miałaś wyjechać...
- Pojechałam...
- I co się stało?
- Nic. Wysiadłam po drodze.
- Wysiadłaś?
- Tak...
- Dlaczego?
- Bo chciałam, po prostu...
- Dlaczego?
- Jeszcze nie wiesz?
- Nie...
- Jesteś głupi. Głupi chłopak z Nowego Jorku...



- Nie rozumiem...

- Przecież mówiłeś, że się tu zatrzymałeś, pomyślałam, że możesz tu jeszcze wrócić... I wróciłeś...

Przypomniała mi się Mary Hilton. Dziewczyna o morskich oczach, dziewczyna, dla której człowiek może gryźć ściany i połykać szkło... Ale obraz był trochę zatarty, niewyraźny... Pomyślałem, że takie dziewczyny jak Mary Hilton dla takich facetów jak ja pozostaną na zawsze tylko pięknym snem. Marzeniem, które nie ma szans na spełnienie. Dla takich jak ja są zupełnie inne, zwyczajne. Realne, ostre dziewczyny, nie mające w sobie nic z bajki, snu i marzenia.

Taka realna dziewczyna siedziała obok mnie, a jej mokra skóra lśniła przy księżycu. Przygarnąłem ją do siebie i pocałowałem w usta. Księżyc świecił. Moskity cięży. Oddała mi pocałunek.